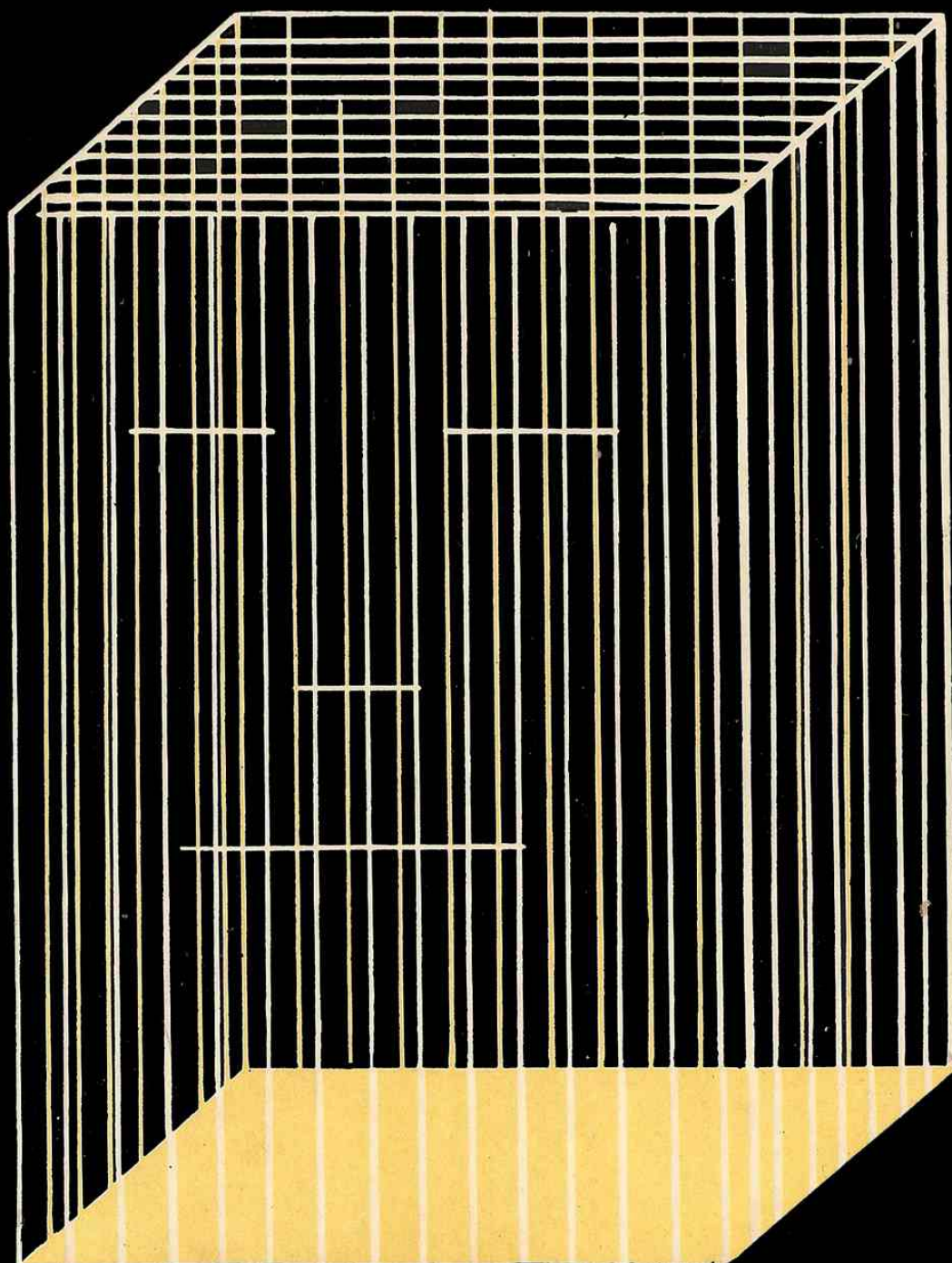


Roberto Arlt

Siedmiu szaleńców

Państwowy
Instytut
Wydawniczy



Roberto Arlt

Siedmiu szaleńców

Przełożył
Rajmund Kalicki

Państwowy Instytut Wydawniczy 1978

Rozdział pierwszy

Zaskoczenie

Po otwarciu drzwi dyrekcji, oszklonych matowymi szybami, Erdosain chciał się cofnąć; zrozumiał, że jest zgubiony, ale już było za późno.

Czekał na niego dyrektor, niski mężczyzna z wielką głową dzika, siwymi, krótko przystrzyżonymi włosami i nieubłaganim spojrzeniem sączącym się z szarych, rybich oczu; Gualdi, księgowy, mały, chudy, przymilny, z badawczym wzrokiem, i zastępca dyrektora, syn owego głowiastego mężczyzny, przystojny trzydziestoletni młodzieniec z włosami całkowicie białymi, cyniczny z wyglądu, o głosie surowym i spojrzeniu twardym jak u ojca. Te trzy osoby, dyrektor pochylony nad rachunkami, zastępca rozparty w fotelu i kołyszący nogą na jego oparciu oraz pan Gualdi, z szacunkiem stojący koło biurka, nie odpowiedziały na powitanie Erdosaina. Tylko zastępca dyrektora ograniczył się do podniesienia głowy:

– Doniesiono nam, że jest pan oszustem i że przywłaszczył pan sobie sześćset pesos.

– I siedem centavos – dodał pan Gualdi osuszając bibułą podpis, jaki na jednym z rozliczeń złożył dyrektor. Wtedy ten, jakby ogromnym wysiłkiem swej byczej szyi, uniósł głowę. Z palcami wciśniętymi w dziurki kamizelki rzucał przenikliwe spojrzenie spod przymrużonych powiek i bez urazy wpatrywał się w wychudłą twarz Erdosaina, który stał obojętnie.

– Dlaczego chodzi pan tak nędznie ubrany? – zapytał.

– Nic nie zarabiam jako inkasent.

– A pieniądze, które pan nam kradł?

– Niczego nie kradłem. To kłamstwo.

- Czy jest pan zatem w stanie rozliczyć się z nami?
- Jeśli pan sobie tego życzy, nawet dzisiaj w południe.

Ta odpowiedź chwilowo go ocaliła. Trzej mężczyźni porozumieli się wzrokiem, a w końcu zastępca dyrektora wzruszył ramionami i powiedział, przy zgodliwym milczeniu swego ojca:

- Nie... ma pan czas do jutra, do trzeciej. Proszę przynieść wykazy i pokwitowania... Może pan odejść.

Ta decyzja zaskoczyła go tak bardzo, że stał dalej przygnębiony i przyglądał się im trzem. Tak, wszystkim trzem. Panu Gualdiemu, który wciąż nim poniewierał, choć sam był socjalistą; zastępcy, który bezczelnie wbił wzrok w jego strzępiący się krawat; dyrektorowi, który zwrócił w jego stronę swój ogolony łeb i rzucał teraz cyniczne, wstrętne spojrzenia spod szarej kreski na wpół przymkniętych powiek.

A mimo to Erdosain nie odchodził... Chciał coś powiedzieć, nie wiedział jak, coś, co pozwoliłoby im zrozumieć cały ów bezmiar nieszczęścia, jakie ciążyło na jego życiu; i stał dalej, nieswój, z czarną metalową skrzynką kasy przed oczyma, czując, że z każdą minutą plecy garbią mu się coraz bardziej, kiedy tak nerwowo gniecie rondo swego czarnego kapelusza, a spojrzenie staje się coraz płochliwsze i smutniejsze. Wreszcie zapytał gwałtownie:

- Więc mogę odejść?

- Tak...

- Nie, chciałem powiedzieć, czy będę dzisiaj ściągać należności...

- Nie... Proszę przekazać kwity Suarezowi, a jutro o trzeciej być tutaj, koniecznie, ze wszystkim.

- Tak... ze wszystkim – odwrócił się i wyszedł bez pożegnania.

Ulicą Chile ruszył w dół do przyportowego Paseo Colón. Czuł się osaczony przez jakieś niewidzialne siły. Słoneczne promienie odsłaniały brudne podwórza spadzistej ulicy. Rozmaite myśli kipiały w nim, tak niezborne, że uporządkowanie ich zajęłoby wiele godzin.

Później przypomniał sobie, że ani przez chwilę nie przyszło mu do głowy pytanie, kto go mógł zadenuncjować.

Stany świadomości

Wiedział, że jest złodziejem. Ale nie było dla niego ważne, do jakiej kategorii ma siebie przypisać. Być może samo słowo „złodziej” nie odpowiadało stanowi jego ducha. Zawładnęło nim inne uczucie; krąg ciszy, który niby stalowy pierścień zaciskał się na czaszce tak, że stał się głuchy na wszystko, co nie miało związku z nieszczęściem.

Ta cicha i mroczna obręcz rwała bieg jego myśli i Erdosain, przy tym ograniczeniu zdolności rozumowania, nie potrafił nawet skojarzyć miejsca, które nazywał domem, z instytucją określaną mianem więzienia.

Myślał telegraficznie, pomijając przyimki, co jest irytujące. Poznał, czym są owe martwe godziny, kiedy mógłby popełnić każdą zbrodnię i nie czuć się winnym. Logiczne, że sędzia nie zrozumiałby tego. Ale on był już pusty, był skorupą człowieka poruszaną automatyką przyzwyczajęń.

Pracował dalej w Firmie Cukrowniczej, nie po to jednak, żeby sprzeniewierzać jeszcze większe sumy pieniędzy, ale dlatego, że oczekiwał jakiegoś niezwykłego wydarzenia, na tyle niezwykłego, aby mogło odmienić jego życie i ocalić przed katastrofą stukającą do drzwi.

Ten klimat sennych rojeń i niepokoju, który kazał mu krążyć przez całe dni jak lunatykowi, Erdosain nazywał „strefą smutku”.

Wyobrażał sobie, że strefa rozciąga się ponad miastami, na wysokości dwóch metrów, a graficznie przedstawiała mu się pod postacią owych solnisk lub pustyń, które na mapach oznaczone są mrowiem punktów, gęstych jak ikra.

Tę strefę smutku zrodziły ludzkie cierpienia. I jak chmura trującego gazu przemieszczała się ona ciężko z jednego miejsca na drugie, przenikała mury i wciskała się do gmachów, nie tracąc nic ze swej płaskiej i poziomej formy; dwuwymiarowy smutek, który ściskając gardła pozostawiał w nich gorzyc płaczu.

Tak to sobie wyjaśniał Erdosain, kiedy poczuł pierwszy mdły smak cierpienia.

– Co robię z własnym życiem? – pytał wtedy sam siebie, chcąc być może pytaniem tym dotrzeć do źródeł niepokoju, każącego mu pożądać takiego życia, w którym dzień jutrzejszy

nie byłby czasowym przedłużeniem dzisiejszego, lecz czymś odmiennym i zawsze niespodziewanym, jak w zakończeniu amerykańskich filmów, kiedy wczorajszy żebrak staje się dzisiaj szefem tajnego stowarzyszenia, a szukająca przygód maszynistka ukrytą multimilionerką.

Ta potrzeba cudów, nie znajdująca zaspokojenia – jako że był zawiedzionym wynalazcą i przestępcą, któremu groziło więzienie – pozostawiała w myślach wściekłą gorycz i piekła w ustach jak cytryna.

W takich sytuacjach roiły mu się nedorzecznosci. Wyobraził sobie kiedyś, że bogaci, znużeni słuchaniem biadających nędzarzy, zbudowali straszliwe klatki, ciągnięte przez czwórki koni. Oprawcy, wybierani spośród najsilniejszych, łowili wszystkich smutnych ludzi na hycłowskie lasso i stanęła mu przed oczyma taka scena: matka, wysoka, z rozwianymi włosami, biegła za klatką, skąd zza prętów wołał ją jednooki syn, aż jakiś hycel, znudzony krzykami, powalił ją mocnymi uderzeniami bata w głowę.

I kiedy rozwiał się ten koszmar, Erdosain przerażony pytał siebie:

– A jaką duszę, jaką duszę mam ja? – a ponieważ jego wyobraźnia zachowała impuls, który ożywił tamten koszmar, ciągnął: – Powiniennem być urodzić się na fagasa, jednego z tych uperfumowanych i podłych lokai, co to pomagają bogatym kurwom zapinać biustonosz, podczas gdy kochanek leży na sofie i pali papierosa.

I znowu jego myśli odbiły się i stoczyły do kuchni w suterenie jakiejś luksusowej posesji. Koło stołu kręciły się dwie służące, był tu poza tym szofer oraz jakiś Arab, sprzedawca podwiązek i perfum. On miałby na sobie czarny smoking, nie zasłaniający mu nawet tyłka, i białą muszkę. Nagle wezwałby go „pan”, mężczyzna będący jego lirycznym sobowtórem, który jednak nie golił wąsów i nosił okulary. Nie wiedział, czego pan sobie życzy od niego, ale nigdy nie zapomniałby szczególnego spojrzenia, jakim ten obdarzył go wychodząc z domu. Wrócił więc do kuchni, żeby porozmawiać o różnych świństwach z szoferem, który ku uciesze służących i milczeniu Araba pederasty opowiadał, jak zdeprawował małą córkę pewnej wielkiej damy.

I powtarzał znowu:

– Tak, jestem lokajem. Mam duszę urodzonego fagasa –

i zaciskał zęby, z satysfakcją ubliżając sobie i poniżając się.

Innym razem widział siebie wychodzącego z sypialni jakiejś starej panny, dewotki: niósł właśnie z namaszczeniem urynał, kiedy natknął się na gorliwego domowego klechę, który z uśmiechem przyklepionym do twarzy zapytał go:

– A jak tam z naszymi religijnymi powinnościami, Ernesto? A on, Ernest, Ambroży lub Józef, będzie wiódł w złości plugawe i zakłamate życie służącego.

Ilekcroć pomyślał o tym, wstrząsał nim dreszcz szaleństwa.

Wiedział, dobrze wiedział, że bezzasadnie znieważa, kła własną duszę. I gdy tak sobie rozmyślnie złorzeczył, doznawał uczucia grozy jak człowiek walący się w jakimś koszmarze sennym w przepaść, w której nie zginie.

Gdyż chwilami powodowała nim chęć ukorzenia się, jak u owych świętych całujących wrzody na ciele nędzarzy, nie z litości, lecz po to, żeby być jeszcze mniej godnymi miłosierdzia Pana, który poczuje wstręt widząc, że szukają nieba w sposób aż tak odrażający.

Ale kiedy odstępowały go te obrazy i pozostawało tylko w jego świadomości „pragnienie poznania sensu życia”, mówił sobie:

– Nie, nie jestem fagasem... naprawdę nie jestem... – i już chciał iść prosić żonę, aby mu współczuła, ulitowała się nad jego myślami okrutnymi i niskimi. Ale wspomnienie, że właśnie dla niej musiał się tyle razy poświęcać, syciło go głuchą nienawiścią i miał wtedy ochotę ją zabić.

I dobrze wiedział, że ona pewnego dnia odda się innemu mężczyźnie, co było tylko elementem dopełniającym jego rozżalenie.

Toteż kiedy zdefraudował pierwszych dwadzieścia pesos, zdziwiła go łatwość, z jaką mógł „to” uczynić, być może myślał, że przed kradzieżą będzie musiał zwalczyć w sobie skrupuły, jakie w obecnych warunkach życia musiały mu być obce. Potem powtarzał:

– Trzeba mieć tylko silną wolę i to zrobić, nic więcej.

A „to” przyniosło ulgę, dzięki „temu” miał pieniądze, które budziły w nim dziwne uczucia, bo nic go nie kosztowało ich zdobycie. Najdziwniejsza dla Erdosaina była nie sama kradzież, ale to, że jego twarz nie zdradzała, iż stał się złodziejem. Musiał kraść, bo jego miesięczny zarobek był znikomy. Osiemdziesiąt, sto, sto dwadzieścia pesos, zależnie

od wysokości pobranych sum, gdyż pensję stanowił pewien procent od inkasa.

Bywały więc dni, kiedy pobierał cztery lub pięć tysięcy, a sam jadł byle co i musiał znosić odór teczki ze sztucznej skóry, w której wnętrzu gromadziło się szczęście pod postacią banknotów, czeków, przekazów i rachunków na okaziciela.

Żona wypominała mu codzienny niedostatek; wysłuchiwał w milczeniu jej wymówek, a potem, gdy był sam, mówił do siebie:

– A co ja mogę na to poradzić?

Kiedy przyszedł mu do głowy ten pomysł, kiedy natchnęła go myśl, że może okraść pracodawców, poczuł radość odkrywcy. Okraść? Że też nie pomyślał o tym wcześniej!

I Erdosain zdziwił się własnej nieudolności, a nawet wymawiał sobie brak inicjatywy, bo dokuczały mu (na trzy miesiące przed opisanymi wydarzeniami) najróżniejsze potrzeby, choć przez jego ręce przechodziły codziennie coraz większe sumy.

Tym, co ułatwiło mu oszukańcze manipulacje, był brak należytej administracji w firmie.

Uliczne lęki

Nie ulegało wątpliwości, że prowadził dziwne życie, gdyż czasami jakaś nagła nadzieja wyrzucała go na ulicę.

Wskakiwał wtedy do autobusu i wysiadał w Palermo lub Belgrano. Przebiegał w zamyśleniu ciche aleje i myślał:

„Zauważy mnie jakaś dziewczyna, wysoka, blada i poważna, siedząca przypadkowo za kierownicą swego rolls-royce’a. Będzie jechała przygnębiona. Nagle spojrzy na mnie i zrozumie, że jestem jedyną miłością jej życia, i to spojrzenie, będące znieuwagą dla wszystkich nieszczęśliwych, spocznie na mnie, u oczu jej wypełnią się łzami.”

Murzenia plątały się wokół tej głupiej myśli, kiedy tak wolno przesuwiał się w cieniu wysokich domów i zielonych plutonów, które na białej mozaice chodnika rozbijały jego cień na trójkąty.

„Będzie milionerką, ale ja jej powiem: Nie mogę pani

dotknąć. Nawet gdyby pani chciała mi się oddać. Spójrzy na mnie zaskoczona; wtedy jej powiem: Wszystko to na nic, proszę pani, na nic, bo jestem żonaty. Ale ona zaoferuje Elsie majątek, aby się zgodziła na rozwód, a potem pobierzemy się i popłyniemy jej jachtem do Brazylii.”

I prostotę tego marzenia wzbogacało słowo Brazylia, które, szorstkie i ciepłe, ożywiało przed nim różowy i biały brzeg, wrzynający się cyplami i ławicami w delikatny błękit morza. Dziewczyna wyzbyła się swego nieszczęśliwego wyglądu i była teraz – w stroju z białego jedwabiu, prostym jak sukienka uczennicy – uśmiechnięta, nieśmiała i zarazem zuchwała.

A Erdosain myślał:

„Nie dojdzie między nami do żadnych zbliżeń cielesnych. Aby miłość naszą uczynić bardziej trwałą, poskromimy nasze pragnienia i nie będę całował jej w usta, tylko w rękę.”

I roił o szczęściu, jakie miało oczyścić jego życie, gdyby wydarzyło się to, co niemożliwe, bo wiadomo, że łatwiej zatrzymać obracającą się ziemię niż doczekać się spełnienia podobnej niedorzeczności. Wtedy mówił sobie, nękany nieokreślonym gniewem:

– No więc zostanę alfonssem. – I nagle lęk, okrutniejszy niż wszystkie dotychczasowe, rozdzierał jego świadomość. Miał uczucie, że wszystkie blizny jego duszy zaczęły krwawić, i oszołomiony, otępiały z żalu, rzucał się w wir szalonych rajfurskich przygód.

Rozumiał wtedy, czym jest lęk oszusta, lęk oślepiający jak wybuch słonecznego dnia nad lśniąca taflą wody.

Dał się nieść impulsom gubiącym każdego mężczyznę, który po raz pierwszy czuje, że grozi mu więzienie, ślepym impulsom zmuszającym nieszczęśnika do postawienia wszystkiego na jedną kartę lub na jedną kobietę. Być może do szukania w kartach lub kobiecie brutalnego, smętnego pocieszenia, do szukania na dnie, pośród zła, takiej czystości, która ocali go ostatecznie.

I w upalne południe, pod żółtym słońcem, stąpał po ciepłych płytach chodnika w poszukiwaniu najbrudniejszych burdeli.

Wybierał najchętniej te, gdzie w sieni znajdował skórki pomarańczy i niedopałki papierosów, gdzie widział okna zasłonięte czerwoną lub zieloną szmatą, zabezpieczone drucianą siatką.

Wchodził z duszą na ramieniu. W patio, pod kwadratowym błękitem nieba, stała zwykle jedna tylko, pomalowana na żółto ławka, padał na nią wyczerpany, pod lodowatym spojrzeniem bajzelmamy, i czekał na wyjście panienki, przerażająco grubej lub niesamowicie chudej.

Zza uchylonych drzwi, za którymi słychać było ubierającego się mężczyznę, kobieta krzyczała:

– Idziemy, kochasiu? – i Erdosain wchodził do innej sypialni z szumem w uszach i mgłą przed oczyma.

Potem kładł się na łóżku pociągniętym wstrętnym, krwistym lakierem, na zabrudzonych butami kocach, które osłaniały materac.

Chciało mu się płakać, chciał pytać tę okropną górę sadła, czym jest miłość, anielska miłość, o której niebiańskie chóry śpiewają u stóp tronu żywego Boga, ale żal ścisnął mu krtań, a żołądek ze wstrętu kurczył się jak pięść.

A kiedy prostytutka przesuwiała niespokojną dłoń po jego odzieży, Erdosain pytał sam siebie:

– Co zrobiłem ze swoim życiem?

Słoneczny promień wdzierał się przez okienko nad drzwiami, zasnuwane pajęczyną, a panienka, z policzkiem wspartym o poduszkę i nogą zarzuconą na jego nogę, poruszała teraz wolno ręką, podczas gdy on, zaszepiony, pytał siebie:

– Co też zrobiłem ze swoim życiem?

Wyrzuty sumienia zasmucały go nagle, przypominał sobie żonę, która z braku pieniędzy musiała sama prać bieliznę, choć była chora, i wtedy, pełen wstrętu do siebie, wyskakiwał z łóżka, wręczał prostytutce pieniądze i nie skorzystawszy z jej usług pędził szukać innego piekła, gdzie mógłby wydać cudze pieniądze, tonąc jeszcze bardziej w szaleństwie, które jęczało w nim o każdej porze.

Dziwny człowiek

O dziesiątej rano Erdosain znalazł się na ulicy Perú i Avenida de Mayo. Wiedział, że jego sprawa nie ma innego rozwiązania jak więzienie, gdyż Barsut z pewnością nie da mu pieniędzy. Nagle zdziwił się:

Przy kawiarnianym stoliku siedział aptekarz Ergueta.

W kapeluszu nasuniętym po uszy i z rękoma splecionymi na grubym brzuchu, kiwał głową z kwaśnym, nadętym wyrazem swej żółtej twarzy.

Szklistość jego rozbieganych oczu, gruby, zakrzywiony nos, blade policzki i obwisła dolna warga nadawały mu wygląd półgłówka.

Jego masywne ciało opięte było garniturem koloru cynamonowego. Chwilami pochylał twarz i opierał brodę o kościaną rączkę laski.

Nonszalancja i łotrowska, znudzona mina nadawały mu wygląd nałogowego pijaczyny. Niespodziewanie jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem Erdosaina idącego ku niemu i twarz aptekarza rozjaśnił chłopięcy uśmiech. Jeszcze się uśmiechał ściskając dłoń Erdosaina, który pomyślał:

„Ileż to kobiet kochało go za ten właśnie uśmiech!”

Mimo woli pierwsze pytanie Erdosaina zabrzmiało:

– I jak, ożeniłeś się z Hipolitą?

– Tak, nie wyobrażasz sobie, jakie potem było zamieszanie w domu...

– Co?...dowiedzieli się, że ona jest z ulicy?

– Nie... sama to później powiedziała. Czy wiesz, że Hipolita, zanim poszła na ulicę, pracowała jako służąca?

– No i?...

– Wkrótce po ślubie mama, ja, Hipolita i moja młodsza siostra wybraliśmy się do dawnych znajomych. Wyobrażasz sobie, jaką ci ludzie mają pamięć? Po dziesięciu latach poznali Hipolitę, która była u nich służącą. Brak na to słów! Ja i ona wracaliśmy jedną drogą, a mama i Juana drugą. Całą historię, którą sobie obmyśliłem, żeby usprawiedliwić nasz ślub, diabli wzięli.

– A czemu powiedziała, że była prostytutką?

– W chwili wściekłości. I chyba miała rację. Czy nie wróciła na dobrą drogę? Czy nie zносиła mnie, choć dobrze dawałem się im wszystkim we znaki?

– A jak ci się żyje?

– Bardzo dobrze... Apteka przynosi mi siedemdziesiąt pesos dziennie. W całym Pico nie ma drugiego, który znałby Biblię tak jak ja. Wyzwałem księdza na dysputę, ale nie chciałem ryzykować.

Erdosain spojrział nagle z nadzieją na swego dziwnego przyjaciela. Potem zapytał go:

– Dalej grasz?

– Tak, i Jezus, za moją niewinność, wyjawiał mi sekret rulety.

– Co to takiego?

– Nic nie wiesz... wielki sekret... prawo statycznego synchronizmu... pojechałem dwa razy do Montevideo i wygrałem kupę pieniędzy, a dziś w nocy wyjeżdżamy z Hipolitą, żeby rozbić bank.

I nagle wyrzucił z siebie zawile wyjaśnienie:

– Przypuśćmy, że obstawiasz trzy pierwsze rzuty, za każdym razem na inny tuzin. Jeśli nie wyjdą trzy różne tuziny, z konieczności występuje jakieś zachwianie równowagi. Zaznaczasz wtedy tuzin, który wypadł. Dla trzech następnych rzutów trzymasz się tuzina, który zaznaczyłeś. Oczywiście zero się nie liczy i obstawiasz tuziny seriami trzech rzutów kuli. Zwiększysz wtedy o jednostkę stawkę na tuzinie nie oznaczonym i zmniejszysz o jednostkę, a raczej o dwie, na tuzinie, który oznaczyłeś już trzy razy, i to pozwala ci manipulować sumami i wygrywać na tuzinie lub tuzinach, które wychodzą.

Erdosain nic nie zrozumiał. Powstrzymywał chęć śmiechu, w miarę jak rosła w nim nadzieja, bo nie ulegało wątpliwości, że Ergueta jest szalony. Dlatego odparł:

– Jezus zwykł wyjawiać tajemnicę tym, którzy mają duszę pełną świętości.

– A także idiotom – oświadczył Ergueta z kpiącym spojrzeniem i puścił oko. – Od czasu kiedy zajmuję się różnymi tajemniczymi sprawami, popełniłem wiele głupstw, na przykład ożeniłem się z tą łajzą...

– I jesteś z nią szczęśliwy?

– ...i uwierzyłem w ludzką dobroć, choć każdy myśli tylko o tym, jakby drugiego wykiwać i zrobić z niego durnia...

Erdosain zniecierpliwiony zmarszczył brwi i rzekł:

– A jak możesz chcieć, żeby nie uważali cię za wariata? Sam mówisz, że byłeś wielkim grzesznikiem. I nagle się zmieniasz, żenisz się z nierządnicą, bo tak napisano w Biblii, gadasz ludziom o czwartej pieczęci i białym koniu... jasne... ludzie muszą myśleć, że zwariowałeś, bo na tych rzeczach nie znasz się ani trochę. Przecież i mnie mają za szaleńca, bo powiedział-

łem, że należałoby założyć pralnię dla psów i pokrywać mankiety koszul cienką warstwą metalu... Ale ja nie uważam, że masz źle w głowie. Nie, nie wierzę w to. Jest w tobie po prostu nadmiar życia, miłosierdzia i miłości bliźniego. No ale to, że Jezus wyjawiał ci tajemnicę ruletki, wydaje mi się trochę niedorzeczne...

– W dwóch rzutach wygrałem pięć tysięcy pesos...

– Założmy, że to prawda. Ale to nie tajemnica rulety cię ratuje, lecz twoje szlachetne serce. Jesteś zdolny do dobrych uczynków, do przejęcia się losem człowieka, któremu grozi więzienie...

– Tak, to prawda – przerwał Ergueta. – Wyobraź sobie, że jest u nas w miasteczku jeszcze jeden aptekarz, taki stary kutwa. Syn ukradł mu pięć tysięcy pesos... i przyszedł do mnie po radę. Wiesz, co mu doradziłem? Żeby zagroził ojcu, że wsadzi go do kryminału za handel kokainą...

– Widzisz, jak ja ciebie rozumiem? Chciałeś ocalić duszę zmuszając syna do popełnienia grzechu, grzechu, po którym wyrzuty sumienia będą go dręczyły przez całe życie. Czy nie tak?

– Tak jest napisane w Biblii: „podzielił się ojciec przeciw synowi, a syn przeciw ojcu swemu...”

– Widzisz. Rozumiem ciebie. Nie wiem, co ci jest sądowne... Przeznaczenie człowieka jest zawsze niepewne. Ale myślę, że masz przed sobą wspaniałą drogę. Wiesz? Drogę niezwykłą...

– Będę Królem Świata. Rozumiesz? Wygram w ruletkę, ile tylko zapragnę. Wyjadę do Palestyny, do Jerozolimy, i odbuduję wielką świątynię króla Salomona...

– I wyrwiesz z rozpacz wielu dobrych ludzi. Ilu jest takich, co z konieczności sprzeniewierzali się swoim pracodawcom, ukradli pieniądze, które im powierzono! Widzisz! Rozpacz... Zrozpaczony facet nie wie, co robi... Dzisiaj kradnie jednego peso, jutro pięć, pojutrze dwadzieścia, a kiedy się opamięta, winien jest już kilkaset. Człowiek myśli: to niewiele, i nagle widzi, że znikło pięćset, nie, sześćset pesos i siedem centavos. Wyobrażasz sobie? To są ludzie, których należy ratować... zrozpaczonych, oszustów.

Aptekarz medytował przez chwilę. Powaga rozplynęła się na powierzchni jego opuchniętej twarzy; potem rzekł łagodnie:

– Masz rację... świat jest pełen ludzi przegranych, nieszczęśliwych... ale jak temu zaradzić? To mnie martwi. W jaki sposób ukazać na nowo święte prawdy tym ludziom, którzy utracili wiarę?

– Ale przecież ludzie potrzebują pieniędzy... nie świętych prawd.

– Nie, dzieje się tak, bo zapomniano o Piśmie Świętym. Człowiek, który nosi w sobie święte prawdy, nie okrada pracodawcy, nie oszukuje firmy, w której pracuje, nie dopuszcza do sytuacji, żeby raptem groziło mu więzienie.

Potem podrapał się w zamyśleniu w nos i ciągnął:

– Poza tym kto powiedział, że bogactwo wyszłoby mu na dobre? Kto dokona rewolucji społecznej, jeśli nie oszuści, cierpiętnicy, mordercy, aferzyści, wszelka kanalia, która cierpi bez cienia nadziei? A może myślisz, że rewolucję przeprowadzą gryzpiórki i sklepikarze?

– Zgoda, zgoda... ale zanim wybuchnie rewolucja, co taki nieszczęśnik ma robić? Co ja mam robić?

I Erdosain ujmując Erguetę pod ramię wykrzyknął:

– Bo to ja jestem o krok od kryminału, wiesz? Ukradłem sześćset pesos i siedem centavos.

Aptekarz zmrużył oko i rzekł:

– Nie przejmuj się. Nadeszły czasy udręki, o których się mówi w Piśmie. Czy nie ożeniłem się już z Chromą, z Nierządnicą? Czy nie powstał syn przeciw ojcu, a ojciec przeciw synowi? Rewolucja jest bliżej, niż myśłą ci, co jej pragną. Czy nie jesteś oszustem i wilkiem, który dziesiątkuje stado?...

– Powiedz wreszcie, nie mógłbyś mi pożyczyć sześciuset pesos?

Tamten wolno pokręcił głową:

– Myślisz, że jak czytam Biblię, to już jestem durniem?

Erdosain spojrział na niego zrozpaczony:

– Przysięgam, że muszę je oddać.

I nagle wydarzyło się coś niespodziewanego. Aptekarz podniósł się, wyciągnął rękę i wykrzyknął w obecności kelnera, który zaskoczony przyglądał się scenie:

– Spływaj, frajerze, spływaj.

Erdosain, czerwony ze wstydu, oddalił się. Kiedy na rogu odwrócił głowę, zobaczył, że Ergueta rozmawia z kelnerem wymachując rękoma.

Jego życie wykrwawiało się. Wszystkie zmartwienia rozlały się aż po widnokrąg gubiący się gdzieś za tramwajowymi kablami i szynami i nagle doznał uczucia, że oto stąpa po własnym smutku jak po dywanie. Jak koń zraniony przez byka zaplątuje się we własnych wnętrznościach, tak on czuł, że z każdym krokiem krew odpływa mu z płuc. Oddychał wolno i stracił nadzieję, że kiedykolwiek dotrze do celu. Dokąd? tego nie wiedział.

Na ulicy Piedras przysiadł na progu jakiegoś opuszczonego domu. Spędził tam kilka minut, potem ruszył szybkim krokiem, a pot spływał mu po twarzy jak podczas największej spiekoty.

Tak doszedł do skrzyżowania ulic Cerrito i Lavalle.

Włożywszy rękę do kieszeni znalazł garść banknotów, więc wstąpił do jakiegoś baru, prowadzonego przez Japończyka. Szoferzy i alfonsi siedzieli dookoła stołów. Jakiś Murzyn z chustką na szyi i w czarnych alpargatach iskał się pod pachą, a trzech żydowskich rajfurów, z grubymi złotymi pierścionkami na palcach, rozprawiało we własnym żargonie o burdelach i naganiaczach. W innym kącie kilku taksówkarzy grało w karty. Iskający pchły czarnuch rozglądał się dookoła, jakby chciał, żeby gawiedź zaaprobowała jego trud, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

Erdoesain zamówił kawę, oparł głowę na rękę i zapatrzył się w bufet.

– Skąd wytrzasnąć sześćset pesos?

Potem pomyślał o Gregorio Barsucie, kuzynie swej żony.

Niewiele już go obchodziło zachowanie Erguety. Przed jego oczyma materializowała się milcząca postać kogoś innego, Gregorio Barsuta z krótko ostrzyżoną głową, kościstym nosem drapieżnego ptaka, zielonymi oczyma i spiczastymi jak u wilka uszami. Myśl o nim sprawiła, że zatrzęsły mu się ręce i zaschło w gardle. Jeszcze dziś pójdzie do niego i poprosi o pieniądze. O wpół do dziesiątej z pewnością będzie już, jak zwykle, w domu. I zaczął go sobie przypominać. Jak prowadził rozmowę pełną błahych pretekstów usprawiedliwiających te odwiedziny i zalewał Erdoesaina potokiem słów, które odurzały swym nużącym, piaszczystym poszumem.

Pamiętał jeszcze, że tamten mówił bez końca, przeskakiwał z gorączkową żywością z tematu na temat i wpijał się swym przewrotnym spojrzeniem w Erdosaina, który z wyschniętymi ustami i drżącymi dłońmi nie miał odwagi wyprosić go z domu.

A Gregorio Barsut musiał sobie zdawać sprawę z niechęci, jaką budził w Erdosainie, bo nieraz powtarzał:

– Wydaje się, że rozmowa ze mną nie jest ci miła, tak? – co nie przeszkadzało mu przychodzić z dokuczliwą częstotliwością.

Erdosain natychmiast zaprzeczał i starał się udać zainteresowanie paplaniną tego człowieka, który całymi godzinami głądził bez ładu i składu, wpatrzony w południowo-wschodni kąt pokoju. Co chciał wyrazić swoim zachowaniem? Erdosain ze swej strony znajdował w tych przykrych chwilach ulgę myśląc, że tamtego dręczy zazdrość i jakieś okrutne cierpienia, których nie miał powodu doświadczać. Pewnego wieczoru Gregorio powiedział w obecności żony Erdosaina, która bardzo rzadko brała udział w tych rozmowach i wychodziła do drugiego pokoju zamknąwszy drzwi, żeby nie słyszeć ich głosów:

– To by dopiero była heca, gdybym zwariował i zabił was oboje, a potem popełnił samobójstwo!

Jego skośne oczy wpatrywały się w południowo-wschodni kąt pokoju, uśmiechał się odsłaniając ostre zęby, jak gdyby słowa, które przed chwilą powiedział, były tylko żartem. Ale Elsa, patrząc na niego poważnie, rzekła:

– Żebyś ostatni raz odzywał się w moim domu w ten sposób. Bo inaczej noga twoja tutaj więcej nie stanie.

Gregorio próbował usprawiedliwiać się, ale ona wyszła i nie pokazała się przez resztę wieczoru.

Dwaj mężczyźni dalej prowadzili rozmowę, jeden z nich bledszy, z niskim czołem pooranym zmarszczkami, przeciągał niekiedy szeroką dłońią po szczecinie kasztanowych włosów.

Erdosain nie potrafił wytłumaczyć sobie, dlaczego znienawidził Barsuta. Miał go za grubianina, choć przeczyły temu sny Gregoria, w których objawiała się cała jego nieokreślona, dziwna, subtelna i ożywiona niewytłumaczalnymi uczuciami natura.

Niekiedy jego pozorna lub rzeczywista grubiańskość stawała się odrażająca i wtedy Barsut rozwijał przed Erdosainem,

ukrywającym swe oburzenie za nikłym, bladym grymasem ust, bezimienne, obleśne obrazy, po to tylko, aby wystawić na ciężką próbę wrażliwość tamtego.

Był to pojedynek niewidzialny, pełen nienawiści, nie szukający natychmiastowego rozstrzygnięcia, tak przy tym denerwujący, że Erdosain po wyjściu Barsuta przysięgał sobie, że następnego dnia go wyrzuci. Już na kilka godzin przed zmierzchem Erdosain myślał o nim.

Tamten przychodził i często, nim zdążył usiąść, zaczynał:
– Wiesz... miałem dzisiaj dziwny sen.

I ze wzrokiem wbitym w południowo-wschodni kąt pokoju, bez uśmiechu, z wyrazem cierpienia na brudnej twarzy z trzydniowym zarostem, Barsut wygłaszał powoli długi monolog, opowiadał o lękach dwudziestosiedmioletniego mężczyzny, o zakłopotaniu, w jakie wprawiał go błysk w oku jakiejś ryby, a skojarzywszy tę jednooką rybę ze spojrzeniem pewnej starej, kaprawej prostytutki, która chciała ożenić go ze swoją zajmującą się spirytyzmem córką, przechodził od jednej niedorzeczności do drugiej, tak że Erdosain, niepomny własnej odrazy, zastanawiał się, czy tamten już nie zwariował. Elsa, obojętna na wszystko, szła w przyległym pokoju, a głębokie zakłopotanie kazało Erdosainowi trwać w bezruchu. Czuł w sobie narastające zniecierpliwienie, wykręcał palce w stawach, a wysiłek, jaki wkładał w ukrycie niepokoju, męczył go. Ilekroć wymawiał jakieś słowo, czynił to z niebywałym trudem, jakby mu ktoś zakneblował usta.

Z łokciem na stole, poprawiając raz po raz kanty spodni, Barsut żalił się czasami, że nikt go nie kocha, i wtedy długo wpatrywał się w Erdosaina. Innym razem szydził ze swych przeczuć i ze zjawy, którą, jak mówił, widział w kącie ubikacji, w pensjonacie, gdzie mieszkał, zjawy, która była olbrzymią kobietą z miotłą w ręku, szczupłymi dłońmi i spojrzeniem harpii. Niekiedy przyznawał, że nawet gdyby nie był chory, to musiałby w końcu zachorować. Erdosain, udając zaniepokojenie stanem jego zdrowia, pytał o objawy, doradzał odpoczynek i łóżko, a ponieważ nalegał, Barsut odparł kiedyś złośliwie:

– Tak bardzo niemiła jest ci moja obecność?

Innym razem Barsut przychodził zatrwazająco wesoły, z radością małomównego szaleńca, który właśnie podłożył ogień pod zbiornik z benzyną, i rozkraczywszy się w jadalni

poklepywał Erdosaina po plecach i wypytywał go z dokuczliwą natarczywością:

– Co słychać? Co u ciebie? Jak leci?

Barsutowi iskrzyły się oczy, a Erdosain stał smutny, zakłopotany, zastanawiał się, czemu onieśmiela go obecność tego człowieka, który siedząc zawsze na brzegu krzesła wpatrywał się uporczywie w jeden kąt jadalni.

I unikali patrzenia sobie w oczy.

Istniała między nimi jakaś nieokreślona, niejasna sytuacja. Jedną z tych, co każą gardzącym sobą ludziom znosić swoją obecność z powodów niezależnych od ich woli.

Erdosain nienawidził Barsuta, ale nienawiścią szarą, zwodniczą, złożoną ze złych rojeń i jeszcze gorszych przeświadczeń. A fakt, że właściwie nie miał powodów do nienawiści, jeszcze ją potęgował.

Czasami snuły mu się przed oczyma obrazy okrutnej zemsty i ze zmarszczoną brwią obmyślał wtedy nieszczęścia mające spaść na tamtego. Ale następnego dnia, kiedy Barsut stukał do furtki, Erdosain wstrząsał się jak wiarołomna żona na wieść o powrocie męża i nawet wybuchł kiedyś gniewem, bo Elsa nazbyt opieszale otwierała drzwi Barsutowi, i dodał w formie komentarza, który miał ukryć przed nią jego tchórzostwo:

– Jeszcze pomyśli, że nie chcemy go przyjmować. Jeśli tak, to już lepiej powiedzieć mu wprost.

Brak było konkretnego motywu, a owa tajona nienawiść rosła w nim jak nowotwór. Erdosain w każdym goście Barsuta znajdował powód do irytacji i raz po raz życzył mu nagłej śmierci. A Barsut, jakby domyślając się jego uczuć, rozmyślnie zachowywał się w sposób odrażająco grubiański. Erdosain nigdy nie zapominał następującego wydarzenia:

Działo się to pewnego wieczoru, kiedy poszli na wermut. Kelner przyniósł do napojów talerz frytek z musztardą. Barsut wbił wykałaczkę w kartofle z taką zachłannością, że wyrócił wszystko na marmurowy blat stołu, brudny od dotyku dłoni i popiołu z papierosów. Erdosain patrzył na niego zagniewany. Wtedy Barsut zaczął zbierać wolno, z kpiącą miną, jedną frytkę po drugiej, a ostatnią zgarnął całą rozmazaną na stoliku musztardę i następnie z ironicznym uśmiechem włożył frytkę do ust.

– Mógłbyś jeszcze zlizać ze stolika – zauważył Erdosain

z obrzydzeniem. Barsut spojrział na niego wyzywająco. Potem pochylił głowę i dotknął językiem marmurowego blatu.

– Jesteś zadowolony?

ErDOSain zbladł.

– Oszalałeś?

– Co? Będziesz się przejmował byle głupstwem?

I nagle Barsut, roześmiany, miły, uwolniony od szalonego niepokoju, jaki dręczył go przez cały dzień, podniósł się i zaczął rozprawiać o jakichś błahostkach.

Tego wydarzenia ErDOSain nigdy nie zapomniał: krótko przystrzyżona, kasztanowa głowa pochylona nad stołem i język przyklejony do lepkiej, żółtawej powierzchni.

I wyobrażał sobie wielokrotnie, że Barsut przez wszystkie te dni wspomina go z nienawiścią, jaką zawsze czujemy do osób, którym za wiele o sobie powiedzieliśmy. Nie potrafi jednak zapanować nad sobą, bo gdy tylko zjawia się u ErDOSaina, zwierza mu się z tysiąca nieszczęść, choć wie, że wszystkie one go cieszą.

Zresztą Remo sam prowokował go do zwierzeń, prowokował przejściowym, choć spontanicznym współczuciem, tak że Barsut słuchając jego poważnych rad miał wrażenie, że jego niechęć do ErDOSaina słabnie. Rosła ona jednak wściekle, kiedy nagle i ukradkowe spojrzenie ErDOSaina zdradzało, że litość ustępuje złośliwemu zadowoleniu z cudzego zmarnowanego życia, bo nawet kiedy Barsut miał już pieniądze i mógł jakoś utrzymywać się z renty, dręczył go lęk przed chorobą umysłową, która zabiła jego ojca i braci.

ErDOSain podniósł głowę. Czarnuch z chusteczką na szyi przestał się iskać, a trzech alfonsi dzielili między sobą zwitki banknotów pod chciwymi spojrzeniami szoferów, rzucanymi ukradkiem znad drugiego stolika. Wydawało się, że Murzyn na widok pieniędzy zaraz kichnie, z tak żalonym wyrazem twarzy przyglądał się stręczycielom. ErDOSain wstał i zapłacił. Wyszedł mrużąc do siebie:

– Jeśli zawiedzie mnie Gregorio, poproszę Astrologa.

Gdyby ktoś powiedział Erdosainowi, że w kilka godzin później będzie obmyślał zabójstwo Barsuta i stanie się obojętnym świadkiem ucieczki swej żony, nie uwierzyłby temu.

Walał się całe popołudnie. Chciał być sam, zapomnieć ludzkie głosy i oderwać się od wszystkiego, co go otacza, jak cudzoziemiec, który w obcym mieście spóźnił się na pociąg.

Kręcił się po opustoszałym skrzyżowaniu ulic Arenales i Talcahuano, na rogu Charcas i Rodríguez Peña, u wylotu Montevideo i Avenida Quintana, sycił się widokiem wspaniałej architektury tych ulic, na zawsze zamkniętych dla ludzi przegranych. Liście spadły z platanów na biały chodnik szeleściły pod stopami, a jego wzrok wpijał się w owalne szyby wielkich okien, lśniących bielą firanek. Był to inny świat w tym podłym mieście, które znał, inny dla niego, którego serce biło teraz powoli i ociężale.

Zatrzymywał się i obserwował wytworne garaże i zielone pióropusze cyprysów w ogrodach chronionych murami o ostrych występkach lub grubymi kratami zdolnymi powstrzymać lwa. Czerwona marzanna rosła między owalnymi zielonymi donicami. Tu i ówdzie po dróżce przechadzała się guvernantka w szarym czepku.

A on winien był sześćset pesos i siedem centavos!

Długo przyglądał się balustradom, które na ciemnych balkonach połyskiwały złoconymi krągłościami kutego żelaza, oknom pomalowanym na kolor perłowoszary lub mleczny o lekko kawowym odcieniu, szybom, których grubość musiała rozmazywać obrazy przechodniów, szyfonowym zasłonom tak lekkim, że zasługiwały na nazwy równie piękne jak te z opowieści o dalekich krajach. Jakże inna musiała być miłość w cieniu tych tiulów, łagodzących jaskrawość światła i wyciszających hałasy!...

A on winien był sześćset pesos i siedem centavos. Głos aptekarza brzmiał teraz w jego uszach:

– Masz rację... świat jest pełen ludzi przegranych, nieszczęśliwych... ale jak temu zaradzić!... W jaki sposób ukazać święte prawdy tym ludziom, którzy utracili wiarę?

Żal, niczym jedna z tych roślin, których rozwój przyspiesza

prąd elektryczny, wzbierał w jego piersi i chwycił za gardło.

Zatrzymał się i pomyślał, że każdy smutek to jakby sowa przeskakująca z gałęzi na gałąź jego przegranego życia. Winien był sześćset pesos i siedem centavos i choć chciał o tym zapomnieć licząc jeszcze na Barsuta lub Astrologa, jego myśli szukały mroków ulicy. Sznur świateł zdawał się piąć po załomach ścian. Poniżej pudło ulicy wypełniał tuman kurzu. A on szedł ku krainie radości zapomniawszy o Limited Azucarer Company. Co zrobił z własnym życiem? Czy była to pora na podobne pytania? I jak mógł tak iść, skoro jego ciało ważyło siedemdziesiąt kilo? A może był duchem, zjawą, która rozpamiętywała ziemskie wydarzenia?

Ile to spraw ożyło w jego sercu! I ten, który ożenił się z ulicznicą! I Barsut przejęty jednooką rybą oraz córką spirytystki! I Elsa, która nie chciała mu się oddać i wyrzucała go na bruk! Był szaleńcem czy nie?

Stawiał sobie to pytanie, gdyż chwilami dziwiła go nadzieja, jaka się w nim budziła.

Wyobrażał sobie, że szparą w żaluzji któregoś z tych pałaców obserwuje go przez teatralną lornetkę jakiś milioner „smętny i milczący” (używam dokładnie określeń Erdosaina).

I ciekawe: kiedy myślał, że „smętny i milczący milioner” może go obserwować, jego twarz przybierała wyraz skruszony i zamyślony i nie oglądał się za służącymi; udawał, że nie pozwala mu na to skupienie, z jakim oddawał się głębokim rozmyśleniom. Powtarzał sobie, że gdyby ów „smętny i milczący milioner” widział, jak ogląda się za zadkami dziewczyn, wywnioskowałby, że nie jest przygnębiony na tyle, aby zasługiwać na współczucie.

I dlatego Erdosain czekał, że bogacz lada moment każe go przywołać, widząc jego twarz napiętnowaną wieloletnią udręką.

Ta obsesyjna myśl prześladowała go tego wieczoru tak bardzo, że uwierzył nagle, iż jakiś cwaniak w kamizelce w czerwone i żółte pasy stojący przy wejściu do hotelu i gapiący się w niego bezczelnie, jest szpiegiem „smętnego i milczącego milionera”.

I oto lokaj prosił go do środka. Poszedł za nim. Przecięli ogród najeżony kaktusami, weszli do salonu i pozostali w nim przez parę minut. Cały budynek tonął w ciemnościach. W kącie salonu błyszczała lampa. Nuty na pulpicie pianina wydzie-

łały woń papieru dotykanego tylko kobiecymi dłońmi. Na parapecie jednego z okien, zasłoniętych fioletowymi konarami, stała marmurowa kobieca główka. Widział poduszki we wzorzystych pokrowcach przywodzących na myśl malarstwo kubistów, a na biurku stały popielnice z ciemnego brązu i rząd pstrych kukiełek.

W jakich okolicznościach znalazł się w tym salonie, który ożywał teraz w jego wyobraźni? Nie potrafił sobie tego przypomnieć. Ale widział dużą hebanową ramę, której równoległe wyżłobienia pięły się ku gładkiemu sufitowi, rozjaśniającemu białą tynku morską scenę: jakiś ponury drewniany most, pod którego potężnymi przęsłami wrzał tłum ludzi, zamazanych wśród czerwonych cieni i taszczących wielkie kufry, a w głębi wzburzone morze, stalowe, krwiste, z którego wyrastało kamienne nabrzeże z ogniskami, szynami i dźwigami.

W tym salonie poruszała się Elsa, kiedy była jeszcze narzeczoną. Tak, być może, ale po co przypominać o tym? Był oszustem, człowiekiem w dziurawych butach, w poplamionym garniturze i z postrzępionym krawatem, i włóczył się po ulicach, żeby zarobić na życie, gdy jego chora żona robiła w domu pranie. Był tym wszystkim i niczym więcej. Dlatego „smętny i milczący milioner” kazał go przywołać.

Erdoesin uradowany własnymi rojeniami, które nabierały plastycznych kształtów dzięki swej uporczywości oraz wszystkim tym obrazom budowanym na koszt niewidzialnego i szczodrego pana, nie chciał już zatrzymywać się dłużej na rozmowie ze „smętnym i milczącym milionerem” wręczającym mu pieniądze na zrealizowanie jego pomysłów, lecz na podobieństwo tych czytelników powieści kryminalnych, co to spieszą się do rozwiązania intrygi i pomijają nudniejsze części książki, ledwie rzucił spojrzenie na mniej ciekawe twory swej wyobraźni i wychodził z domu na ulicę, choć na ulicy się znajdował.

Wtedy gwałtownie przyspieszał kroku i opuszczał skrzyżowanie Charcas i Talcahuano lub Arenales i Rodríguez Peña.

A porywy nadziei kazały mu zapomnieć o tych wyskokach fantazji. Wygra! tak, wygra! Za pieniądze „smętnego i milczącego milionera” założy laboratorium elektrotechniczne, zajmie się głównie promieniami beta, bezprzewodowym przesyłaniem energii i falami elektromagnetycznymi i doczeka sta-

rości jak niedorzeczny bohater jakiejś angielskiej powieści, wiecznie młody: tylko jego twarz poblednie, aż stanie się biała niby marmur, a źrenice, lśniące jak u czarnoksiężnika, oczarują wszystkie dziewczyny świata.

Zapadał wieczór i nagle Erdosain przypomniał sobie, że jedyną osobą mogącą go wyratować z tych opresji jest Astrolog. Ten pomysł oddalił wszystkie inne myśli. Być może on ma pieniądze. Podejrzywał nawet kiedyś, że został on nasłany, aby uprawiać w kraju anarchistyczną propagandę, gdyż miał pewien niezwykle projekt organizacji rewolucyjnej. Bez wahania zawołał taksówkę i kazał się szoferowi wieźć do stacji Constitución. Tam kupił bilet do Temperley.

Astrolog

Budynek, który zajmował Astrolog, stał w środku dużej zadrzewionej posesji. Dom był przysadzisty, a czerwony dach w leśnym gąszczu widoczny z dużej odległości. Na otwartej przestrzeni w zaroślach, w prawdziwym morzu traw i powojów, grube owady o czarnych tułowach buczały przez cały dzień wśród nieustannego szumu zielska. Niedaleko domu obracały się trzy koślawe łopatki wiatraka osadzonego na pryzmie z pordzewiałego żelaza, a trochę dalej widoczne były niebieskie i czerwone szyby metalowych drzwi przeżartych przez rdzę. W pewnym oddaleniu od domu i wiatraka, za krzakami, czernił się ciemnozielony masyw eukaliptusowego zagajnika, powiewającego niespokojnie swym pióropuszem gałęzi na tle szafirowego nieba.

Żując kwiat wiciokrzewu Erdosain przeciął posiadłość i skierował się w stronę domu. Wydawało mu się, że znalazł się na wsi, z dala od miasta, a widok budynku ucieszył go. Choć przysadzisty, był jednak piętrowy, miał podniszczone balkony i rząd obłupanych kolumn greckich u wejścia, do którego prowadziły schody z palmami po bokach.

Czerwony dach opadał ukośnie, ochraniając okapami okienka facjaty, a wśród bujnego listowia kasztanów, ponad koroną granatowców upstrzoną szkarłatnymi gwiazdkami, widać było

blaszanego koguta, poruszającego we wszystkich kierunkach wygiętym ogonem. Dookoła wyrastał gęsty, podobny do zagajnika ogród, a w ciszy zmierzchu, w słońcu, którego blask szarzał z wolna w krystalicznej atmosferze, krzaki róż wydziełały mocną woń, tak przenikliwą, że cała przestrzeń zdawała się wypełniać powietrzem różowym i rześkim jak struga wody.

ErDOSain pomyślał:

„Nawet gdybym miał teraz srebrną łódź ze złotymi żaglami i wiosłami z kości słoniowej, gdyby ocean mienił się siedmioma barwami, a z księżycy jakaś milionerka przesyłała mi dłonią pocałunki, mój smutek byłby taki sam... Nie ma o czym mówić. A jednak tutaj żyłoby mi się lepiej. Tutaj mógłbym założyć laboratorium.”

Woda z nie dokręconego kranu kapiała do beczki. Pod altaną drzemał pies, a kiedy ErDOSain przystanął koło schodów, żeby zaklaskać w dłonie, w drzwiach ukazała się olbrzymia postać Astrologa w żółtym prochowcu i czapce naciągniętej na czoło, która rzuciła cień na jego szeroką, kwadratową twarz. Kilka kosmyków kędzierzawych włosów opadało na skronie, a nos, z przegrodą złamaną w części środkowej, w niezwykły sposób odchyłał się w lewo. Pod krzaczastymi brwiami poruszały się żywo czarne okrągłe oczy i ta twarz o surowych, pobrużdżonych policzkach sprawiała wrażenie wyrzeźbionej w ołowiu. Jak bardzo musiała ciążyć ta głowa!

– A! To pan? Proszę wejść. Pozna pan Smutnego Alfonsa.

Przeszli przez ciemny, zatechły przedpokój i weszli do gabinetu o ścianach pokrytych wypłowiałą zieloną tapetą. Pokój, z wysokim sufitem upstrzonym pajęczynami i z wąskim oknem zabezpieczonym guzowatym okratowaniem, wyglądał ponuro. Na fornirze jakiejś starej, wciśniętej w kąt szafy niebieskawe światło załamywało się sinymi półcieniami. W fotelu obitym zielonym, wytartym welwetem siedział ubrany na szaro mężczyzna z czarniawą falą włosów opadających ukośnie na czoło i w jasnych butach z cholewami.

Żółty płaszcz Astrologa zafalował, kiedy zbliżył się do nieznanego.

– ErDOSainie, przedstawiam panu Artura Haffnera.

W innych okolicznościach powiedziałby coś do mężczyzny, którego Astrolog nazywał poufale Smutnym Alfonsem, a który uściskawszy dłoń ErDOSaina rozsiadł się w fotelu, założył nogę na nogę i oparł siny policzek na trzech palcach o lśniących

paznokciach. Teraz spoglądał z obojętnym spokojem na tę prawie okrągłą twarz, na której tylko kpiące, żywe błyski w oczach i sposób, w jaki mężczyzna unosił jedną brew, kiedy słuchał rozmówcy, zdradzały człowieka czynu. Erdosain odkrył przy jego boku, między marynarką i jedwabną koszulą, czarną kolbę rewolweru. Nie wątpił, że w życiu twarze znaczą niewiele.

Potem Alfons znowu odwrócił głowę w stronę mapy Stanów Zjednoczonych, do której zbliżył się Astrolog z paleczką w dłoni. Przystanął przecinając żółtym ramieniem błękit Morza Karaibskiego i wykrzyknął:

– Ku-Klux-Klan tylko w Chicago ma sto pięćdziesiąt tysięcy stronników... W Missouri sto tysięcy. Mówi się, że w Arkansas jest ponad dwieście „jaskiń”. W Little Rock Niewidzialne Imperium twierdzi, że wszyscy pastorzy należą do bractwa. W Teksasie panują całkowicie nad miastami Dallas, Houston, Beaumont... W Binghamton, siedzibie Smitha, który był Wielkim Smokiem Zakonu, mogą liczyć na siedemdziesiąt pięć tysięcy zwolenników, a w Oklahomie sprawili, że władze stanowe wydały ustawę zawieszającą w czynnościach Waltona, gubernatora, za to że ich prześladował, tak że praktycznie cały stan jeszcze do niedawna był pod kontrolą Klanu.

Żółty płaszcz Astrologa upodabniał się do szat buddyjskiego mnicha.

Astrolog ciągnął:

– Czy wie pan, że wielu ludzi spalili żywcem?...

– Tak – przytaknął Alfons – czytałem w gazecie.

Erdosain przyjrzał się teraz dokładniej Smutnemu Alfonsovi. Tak go nazywał Astrolog, bo przed laty rajfur chciał popełnić samobójstwo. Była to jakaś niejasna sprawa. Pewnego wieczoru Haffner, który od dawna utrzymywał się ze stręczycielstwa, strzelił sobie w pierś, tuż koło serca. Skurcz tego organu właśnie w chwili, kiedy kula przechodziła przez ciało, uratował go przed śmiercią. Potem, co jest naturalne, ułożył sobie jakoś życie, ciesząc się być może odrobinę większym szacunkiem z powodu gestu, którego żaden z jego kompanów nie potrafił zrozumieć. Astrolog mówił dalej:

– Ku-Klux-Klan zebrał miliony...

Alfons przeciągnął się i odparł:

– Tak, ale tego Smoka... prawdziwy z niego Smok!... sądzi się teraz za oszustwo.

Astrolog pominął to milczeniem i rzekł:

– Co stoi na przeszkodzie, żeby tutaj, w Argentynie, także działało tajne stowarzyszenie, równie potężne jak tamto? I mówię panu otwarcie. Nie wiem, czy nasza organizacja będzie lewicowa, czy też faszystowska. Czasami skłonny jestem wierzyć, że najlepiej byłoby wywołać taki zamęt, żeby sam Pan Bóg nie połapał się, o co chodzi. Myślę, że w tej chwili nie można wymagać ode mnie większej szczerości. Proszę zwrócić uwagę na to, że zamierzam teraz stworzyć taki blok, wokół którego skupiałyby się wszystkie ludzkie nadzieje. Zamierzam odwołać się do młodych anarchistów, studentów i inteligentnych robotników. Przyjmiemy również tych wszystkich, którzy mają jakiś plan naprawy świata, urzędników pragnących zostać milionerami, niedoszłych wynalazców – niech się pan nie czuje dotknięty, Erdosainie – wszystkich bezrobotnych i tych, którzy wyrzuceni na ulicę nie wiedzą, co ze sobą zrobić...

Erdoşain przypomniał sobie o misji, która go sprowadziła do Astrologa, i rzekł:

– Muszę z panem porozmawiać...

– Chwileczkę... zaraz panu służę – i ciągnął: – Siłę swą organizacja czerpałaby nie z tego, co jej udziałowcy zechcą ofiarować, ale z tego, co przynosiłyby domy publiczne utworzone w każdej komórce. Kiedy mówię o tajnym stowarzyszeniu, nie mam na myśli organizacji typu klasycznego, lecz supernowoczesną, w której każdy członek i sympatyk miałby swój udział i czerpałby zyski, bo tylko w ten sposób można by zdobyć ich coraz więcej dla celów, które znałoby niewielu. Tak wygląda strona handlowa. Domy publiczne przyniosą dochody, które umożliwią stałe rozrastanie się stowarzyszenia. W górach założymy kolonię rewolucyjną. Tam nowicjusze będą przechodzili kurs anarchistycznej taktyki, propagandy rewolucyjnej, inżynierii wojskowej, budownictwa przemysłowego, tak aby ci wszyscy członkowie, którzy opuszczą kolonię, mogli w dowolnym miejscu założyć nową organizacyjną komórkę... Czy mnie pan rozumie? Tajne stowarzyszenie będzie miało własną akademię. Akademię Rewolucjonistów.

Ścienny zegar wybił pięć razy. Erdosain zrozumiał, że nie może tracić więcej czasu, i zawołał:

– Przepraszam, że przerywam. Przyszedłem w ważnej sprawie. Czy ma pan sześćset pesos?

Astrolog odłożył pałeczkę i skrzyżował ręce.

– Co się z panem dzieje?

– Jeżeli jutro nie zwrócę firmie sześciuset pesos, wsadzą mnie do więzienia.

Dwaj mężczyźni sporzeli zdumieni na Erdosaina. Musiał wiele przeżyć, cierpieć, żeby w ten sposób wyrzucić z siebie prośbę. Erdosain ciągnął:

– Musi mi pan pomóc. Ukradłem przez kilka miesięcy sześćset pesos. Ktoś napisał na mnie donos. Jeśli nie oddam jutro tych pieniędzy, przymkną mnie.

– Ale jak pan ukradł tę forszę?...

– No tak, po trochu...

Astrolog głaskał się z zakłopotaniem po brodzie.

– Jak to było?

Erdosain musiał jeszcze raz wyjaśnić. Kupcy przy pobieraniu towarów podpisywali zobowiązanie dłużne na sumę, za jaką nabywali cukier. Erdosain i jeszcze dwóch inkasentów brali pod koniec każdego miesiąca weksle, które musiały być wykupione w ciągu kolejnych trzydziestu dni.

Weksle, których, jak mówili, nie udało im się sprzedać, zatrzymywali do czasu, aż kupcy uregulowali należność. I Erdosain mówił dalej:

– Wyobraźcie sobie niedbalstwo kasjera, który nigdy nie sprawdzał weksli, jakich rzekomo nie udało nam się zrealizować, tak że zgarniętą do własnej kieszeni gotówkę zwracaliśmy mu z pieniędzy pobranych później. Rozumiecie to, panowie?

Erdosain był teraz wierzchołkiem trójkąta, jaki utworzyli trzej siedzący mężczyźni. Smutny Alfons i Astrolog wymieniali od czasu do czasu spojrzenia. Haffner strząsał popiół z papierosa i uniósłszy brew obrzucał Erdosaina spojrzeniem od stóp do głowy. Wreszcie zadał mu dziwne pytanie:

– Czuł pan jakąś satysfakcję z tej kradzieży?

– Nie, żadnej...

– Czemu więc chodzi pan w podartych pantoflach?...

– Nie zarabiam wiele.

– No ale to, co pan kradł?

– Nigdy nie przyszło mi do głowy, że za tę forszę mogę kupić buty.

I to była prawda. Przyjemność, jaką początkowo odczuwał wydając bezkarnie to, co do niego nie należało, szybko minęła... Erdosain odkrył w sobie pewnego dnia niepokój, co każe patrzeć na słoneczne niebo tak, jakby było okryte czarnymi kłębammi sadzy, które dostrzec potrafi tylko człowiek przygnębiony. Kiedy przekonał się, że winien jest czterysta pesos, zaskoczenie omal nie doprowadziło go do szału. Wydawał te pieniądze w sposób głupi, szalony. Kupował słodczyce, za którymi nigdy nie przepadał, w restauracjach, gdzie samo prawo zajęcia miejsca wśród bogato ubranych gości kosztuje niemało, zamawiał na kolację kraby, zupę żółtą i żabie udka, pił drogie likiery i wina, nazbyt mdle jak na jego niewrażliwe podniebienie, a przy tym wszystkim brak mu było rzeczy najniezbędniejszych do życia na jakim takim poziomie, chociażby bielizny, butów, krawatów...

Dawał hojne jałmużny i zwykł był zostawiać obsługującym go kelnerom sute napiwki, po to tylko, żeby nie zostało śladu po kradzionych pieniądzach, które nosił w kieszeni i które następnego dnia znowu mógł bezkarnie wziąć.

– To znaczy, że nie przyszło panu do głowy kupić sobie butów? – nalegał Haffner.

– Rzeczywiście, teraz kiedy zwrócił pan uwagę, mnie samemu wydaje się to dziwne, ale prawdą jest, że nigdy nie pomyślałem, że za kradzioną forszę można kupować te rzeczy.

– Więc na co wydawał pan pieniądze?

– Dwieście pesos dałem zaprzyjaźnionej ze mną rodzinie Espila na kupno akumulatora i założenie małego warsztatu galwanoplastycznego do produkowania miedzianych róż, które...

– Znam już to...

– Tak, już mu o tym mówiłem – wtrącił Astrolog.

– A pozostałe czterysta?

– Nie wiem... Wydałem w głupi sposób...

– A teraz co pan ma zamiar zrobić?...

– Nie wiem.

– Nie zna pan nikogo, od kogo można by pożyczyć...

– Nie, nikogo. Poprosiłem krewnego mojej żony, Barsuta, przed dziesięcioma dniami. Powiedział, że nie może...

– No to zamkną pana?...

– Chyba tak...

Astrolog zwrócił się do rajfura i rzekł:

– Wie pan już, że mam tysiąc pesos. Jest to podstawa wszystkich moich planów. Mogę panu dać, Erdosainie, jedynie trzysta pesos. Bo i co też pan wyprawia, mój przyjacielu!

Erdosain zapomniał nagle o Haffnerze i wykrzyknął:

– To wszystko ze zgryzoty, wie pan?... To ta cholerna zgryzota, która zżera człowieka...

– Jak to ze zgryzoty? – wtrącił Alfons.

– Powiedziałem, że to ze zgryzoty. Człowiek kradnie, popełnia głupstwa, bo coś go gnębi... Chodzi pan po ulicy w pełnym słońcu, a wydaje się panu, że to nie słońce, lecz zaraza... Jasne. Pan musiał przeżywać podobne sytuacje. Nosić w teczce pięć tysięcy i być przygnębnym. I nagle coś podsuwa prostą myśl o kradzieży. Tej nocy nie może pan spać z radości. Następnego dnia, cały drżąc, próbuje i wszystko udaje się tak dobrze, że nie pozostaje nic innego, jak brać dalej... tak jak wtedy, gdy chciał się pan zabić.

Kiedy padły te słowa, Haffner poprawił się na fotelu i objął dłońmi kolana. Astrolog chciał zmusić Erdosaina do milczenia, ale to było niemożliwe, gdyż ten ciągnął:

– Tak jak wtedy, gdy chciał się pan zabić. Wyobrażałem to sobie nieraz. Znudziło się panu być alfonsem. Ach, gdyby pan wiedział, jak bardzo chciałem pana poznać. Mówiłem sobie: to dopiero musi być niezwykły facet. Jasne, że na sto tysięcy facetów żyjących, jak pan, z kobiet spotkać można jednego o pańskim sposobie bycia. Pytał mnie pan, czy czułem przyjemność, kiedy kradłem. A czy pan ma przyjemność z tego, że jest alfonsem? Niech mi pan powie: tak czy nie?... Ale, do diabła, nie przyszedłem tutaj, żeby się usprawiedliwiać, no nie? Potrzebuję pieniędzy, nie słów.

Erdosain podniósł się i drżącymi palcami gniótł rondo kapelusza. Patrzył niechętnie na Astrologa, którego czapka zakrywała na mapie stan Kansas, i na Alfonsa, który wsunął dłoń za pasek spodni. Ten poprawił się znowu na fotelu obitym zielonym welwetem, oparł policzek na pulchnej dłoni i uśmiechając się drwiąco powiedział, jakby chciał go uspokoić:

– Niech pan usiądzie, przyjacielu, dam panu te sześćset pesos.

Erdosain skurczył się. Potem zastygł w bezruchu i wpatrywał się długo w Alfonsa. Ten powtórzył z naciskiem:

– Niech pan usiądzie, przyjacielu, może mi pan ufać. Dam panu te sześćset pesos. Jesteśmy przecież ludźmi.

Erdosain nie wiedział, co odpowiedzieć. Ten sam smutek, który ogarnął go, gdy mężczyzna z głową dzika powiedział zza biurka, że może już odejść, ten sam smutek teraz go obezwładnił. A więc życie nie jest takie złe!

– Niech mi pan pozwoli – powiedział Astrolog. – Ja dam trzysta pesos, a pan drugie trzysta.

– Nie – odparł Haffner. – Panu ta forsa jest potrzebna, mnie nie. Właśnie po to mam te trzy kobiety... – I zwracając się do Erdosaina ciągnął: – Widzi pan, przyjacielu, jak się załatwia sprawy? Jest pan zadowolony?

Mówił z udawanym spokojem, ze ślamazarnością wieśniaka, który wie, że znajomość natury pozwoli mu znaleźć wyjście z najbardziej zawilej sytuacji. I Erdosain dopiero teraz poczuł ostry zapach róż i usłyszał przez uchylone okno odgłos wody kapiącej z kranu do beczki. Na zewnątrz wiły się skąpane w słońcu ścieżki, a gałęzie granatowców, pełne szkarłatnych gwiazdek, gięły się pod ciężarem ptaków.

W oczach Alfonsa znowu błysnęły przebiegłe iskierki. Z uniesioną brwią czekał na wybuch radości, a kiedy to nie nastąpiło, zapytał Erdosaina:

– Od dawna pan tak żyje?

– Tak, od dawna.

– Pamięta pan, jak kiedyś mówiłem, choć nie zwierzał mi się pan z niczego, że tak żyć nie można? – zachnął się Astrolog.

– Tak, ale nie chciałem o tym rozmawiać. Nie wiem... o sprawach, których człowiek nie potrafi sam pojąć, nie można mówić nawet z tymi, do których ma się największe zaufanie.

– Kiedy odniesie pan te pieniądze?

– Jutro.

– Dobrze, w takim razie zaraz wypiszę czek. Zrealizuje go pan jutro.

Haffner ruszył w stronę biurka. Wyjął z kieszeni książeczkę czekową i energicznie napisał sumę, po czym podpisał się.

Erdosain odbył w bezruchu tę jednogminutową podróż nieświadomy, że otworzył się przed nim świat ze snów, co zwykle wspomina się później, twierdząc, że w określonych okolicznościach życiem kieruje jakieś mądre przeznaczenie.

- Proszę, przyjacielu.

ErDOSAIN wziął czek, bez czytania złożył go w czworo i schował do kieszeni. Wszystko to stało się w jednej minucie. Cała historia była bardziej niedorzeczna niż w głupim romanse, choć przecież był człowiekiem z krwi i kości. I nie wiedział, co ma powiedzieć. Przed minutą winien był sześćset pesos i siedem centavos. Teraz nie miał już długów, a cud dokonał się za sprawą jednego tylko gestu Alfonsa. Z punktu widzenia codziennej logiki było to niemożliwością, a przecież przyjął to tak, jakby się nic nie stało. Chciał coś powiedzieć. Znowu przyglądał się twarzy mężczyzny siedzącego na wytartym welwetowym obiciu fotela. Rewolwer uwypuklał się teraz pod szarym materiałem marynarki, a Haffner, naburmuszony, opierał siny policzek na trzech palcach z połyskującymi paznokciami. Chciał podziękować Alfonsowi, ale nie wiedział, jakich słów użyć. Ten zrozumiał go i zwracając się do Astrologa, który przysiadł na taborecie koło biurka, zapytał:

- A zatem jednym z filarów pańskiej organizacji będzie posłuszeństwo?

- I uprzemysłowienie. Żeby zawładnąć ludzkimi sumieniami, potrzebne jest złoto. Jak niegdyś istniał mistycyzm religijny i rycerski, tak obecnie należy stworzyć mistycyzm przemysłowy. Pokazać człowiekowi, że kierowanie pracą wielkiego pieca jest równie piękne jak odkrywanie nieznanymi lądów. Mój polityk, każdy adept wchodzący w świat zagadnień politycznych w moim stowarzyszeniu, to człowiek, który będzie chciał osiągnąć szczęście przez uprzemysłowienie. Taki rewolucjonista będzie mógł równie dobrze rozprawiać o farbowaniu tkanin, jak i o produkcji stali. Dlatego nabrałem szacunku dla ErDOSAINA, kiedy go tylko poznałem. Zajmowały go te same sprawy. Przypomina pan sobie, ile razy rozmawialiśmy o zbieżności naszych celów. Stworzyć człowieka dumnego, pięknego, nieubłaganego, panującego nad tłumem i wskazującego mu przyszłość opartą na nauce. W jaki inny sposób możliwa jest rewolucja społeczna? Dzisiejszy przywódca musi być człowiekiem, który wszystko potrafi. My stworzymy takiego księcia wiedzy. Organizacja zajmie się stworzeniem i rozgłoszeniem legend o nim. Ford lub Edison mają o wiele większe możliwości wywołania rewolucji niż polityk. Czy myśli pan, że przyszłe dyktatury będą miały charakter wojskowy? Nie, mój panie. Wojskowy przy przemysłowcu jest zerem.

Może być tylko jego narzędziem, niczym więcej. To wszystko. Przyszli dyktatorzy będą królami ropy naftowej, stali, żelaza. My, dzięki naszej organizacji, przygotujemy klimat. Zapoznamy ludzi z naszymi teoriami. Dlatego konieczne jest wnikliwe poznanie metod propagandy. Należy wykorzystać studentów i studentki. Upiększać naukę, przybliżając ją do ludzi, tak aby nagle...

– To ja już sobie pójdę – powiedział Erdosain. Chciał się pożegnać z Haffnerem, kiedy ten rzekł:

– Zaraz, zaraz, chwileczkę.

Astrolog i rajfur wyszli na moment i zaraz wrócili, a Erdosain żegnając się przy bramie odwrócił głowę, żeby spojrzeć raz jeszcze na olbrzymiego mężczyznę, który kiwał do nich ręką zgiętą w geście pozdrowienia.

Opinie Smutnego Alfonsa

Kiedy skręcili za rogiem posiadłości, Erdosain powiedział:

– Wie pan, że nie wiem, jak mam dziękować za tę ogromną przysługę, którą mi pan wyświadczył. Dlaczego dał mi pan pieniądze?

Tamten, lekko poruszając w marszu ramionami, odwrócił się nachmurzony:

– Nie wiem. Trafił pan na dobry moment. Gdyby człowiek musiał to robić codziennie... ale tak... Poza tym, wie pan, odbiję to sobie w jeden tydzień.

To pytanie wymknęło się Erdosainowi:

– Ale jak to jest, że mając majątek pracuje pan „na ulicy”?

Haffner spojrzał napastliwie:

– Widzi pan, przyjacielu, „ulica” nie jest dla wszystkich. Tak. Niby dlaczego mam zostawić bez pracy trzy kobiety, przynoszące mi każdego miesiąca dwa tysiące pesos? Pan by zostawił? Nie. No więc?

– I żadnej pan nie kocha? Żadna nie pociąga pana jakoś szczególnie?

Dopiero gdy padło to pytanie, Erdosain zrozumiał, że palnął głupstwo. Rajfur przyglądał mu się przez chwilę i rzekł:

– Niech mnie pan posłucha. Jeśli przyjdzie jutro do mnie lekarz i powie: Baskijka umrze za tydzień, bez względu na to, czy będzie w burdelu, czy nie, to ja Baskijce, która przez cztery lata dała mi trzydzieści tysięcy pesos, każe pracować sześć dni, a siódmego niech sobie zdycha.

Głos sutenera zachrypiał. W jego słowach dźwięczała jakaś nieokreślona, wściekła rozpacz, którą Erdosain zauważał później u wszystkich tych mrukliwych nierobów i znudzonych opryszków.

– Litość? – ciągnął tamten. – Przyjacielu, nad kurwą nie trzeba się litować. Nie ma większej suki, twardszej i bardziej zgorzkniałej niż ta z ulicy. Niech się pan nie dziwi, znam je. Tylko kijem można nimi kierować. Pan, jak dziewięćdziesiąt procent ludzi, myśli, że sutener jest wyzyskiwaczem, a prostytutka ofiarą. A niech mi pan powie: po co jej cały ten szmal, który zarabia? Powieściopisarze nie napisali, że dziwka, która nie ma faceta, szuka rozpaczliwie kogoś, kto by ją okantował, złamał od czasu do czasu serce i zabierał całą forszę, bo takie to już z niej zwierzę. Mówią, że kobieta nie ustępuje w niczym mężczyźnie. To bzdura. Kobieta zawsze stoi niżej od mężczyzny. Niech pan zwróci uwagę na dzikie plemiona. Ona gotuje, pracuje, robi wszystko, podczas gdy mężczyzna wyrusza na polowania lub wojnę. Podobnie jest i dzisiaj. Mężczyzna, poza pracą zarobkową, nic nie robi. I niech mi pan wierzy, że dziwka gardzi facetem, który jej nie zabiera pieniędzy. Tak, mój panie, gdy tylko poczuje sympatię, chce, żeby ją prosić... I jak się cieszy, kiedy pewnego dnia mówi pan do niej: „*Ma chérie*, możesz pożyczyć mi sto pesos?” Wtedy kobieta otwiera się, cieszy. W końcu ta brudna forsa, którą zarabia, przydaje się na coś, uszczęśliwia mężczyznę. Jasne, w książkach nic o tym nie ma. A ludzie myślą, że jesteśmy potworami lub egzotycznymi zwierzętami, jak obmalowano nas w saine-tach. Ale niech pan tylko zamieszka wśród nas, pozna ludzi, a przekona się pan, że nie różnimy się od mieszczaństwa lub naszej arystokracji. Utrzymanka pogardza dziewczyną z kabaretu, dziewczyna z kabaretu gardzi ulicznicą, ulicznica dziewczyną w burdelu i dziwna rzecz: prostytutka mieszkająca w burdelu prawie zawsze znajduje jakiegoś faceta spisanego na straty, a ta z kabaretu ładuje sobie na kark panicza lub doktorka, który będzie ją wyzyskiwał. Psychologia kobiety lekkich obyczajów? Zamknięta jest w tych słowach, jakie powiedziała mi

z płaczem pewna kobietka, którą przyjaciel wystawił do wiatru: *Encore avec mon cul je peux soutenir un homme*. Tego nie wiedzą ani zwykli ludzie, ani powieściopisarze. Francuskie przysłowie mówi: *Gueuse seule ne peut pas mener son cul*.

ErDOSAIN przyglądał mu się zaskoczony. Haffner mówił dalej:

– Kto o nią zadba lepiej niż sutener? Kto się zaopiekuje, gdy jest chora lub siedzi w kryminale? Co tam ludzie wiedzą? Gdyby w sobotę rano usłyszał pan, jak kobieta mówi do swego faceta: „*Mon chéri*, zrobiłam w tym tygodniu pięćdziesiąt numerów więcej niż w zeszłym”, sam by pan został alfonsiem, wie pan? Bo ta dziwka mówi „zrobiłam pięćdziesiąt numerów” tym samym tonem, z jakim kobieta porządna powiedziała by mężowi: „Kochanie, w tym miesiącu zaoszczędziłam trzydzieści pesos, bo nie kupiłam sobie kostiumu i sama zrobiłam pranie.” Niech mi pan wierzy, przyjacielu, kobieta, porządna czy nie, jest zwierzęciem skorym do poświęceń. Taką została stworzona. Jak pan sądzi, dlaczego ojcowie Kościoła mieli kobietę w takiej pogardzie? Żyli, większość z nich, jak prawdziwi donżuani i dobrze wiedzieli, jakie z niej ziółko. A ta z ulicy jest najgorsza. Jest jak dziecko: wszystkiego trzeba ją uczyć. „Chodź tędy, na tym rogu nie powinnaś się pokazywać, temu alfonsowi się nie kłaniaj. Nie zadzieraj z tą babą.” Trzeba ją uczyć wszystkiego.

Szli koło straganów, a w pogodnym zmierzchu słowa rajfura wprowadzały ErDOSAINA w stan najwyższego zdumienia. Rozumiał, że ociera się o formę życia w samej swej istocie różną od tego, jakie prowadził. W pewnej chwili zapytał:

– A jakie były pana początki „na ulicy”?

– Byłem wtedy młody. Miałem dwadzieścia trzy lata i wykladałem matematykę. Bo jestem nauczycielem – dodał Haffner z dumą – profesorem matematyki. Żyłem z lekcji, aż kiedyś w burdelu przy ulicy Rincón spotkałem pewną Francuzeczkę, która mi się podobała. Było to dziesięć lat temu. Otrzymałem właśnie w spadku po jakimś krewnym pięć tysięcy. Lucienne podobała mi się i zaproponowałem jej, żeby przeniosła się do mnie. Miała swego alfonsa, jakiegoś marsylczyka, brutala, którego widywała od czasu do czasu. Nie wiem, czy dla pięknych słówek, czy też dlatego, że byłem

niebrzydki, faktem jest, że babka zakochała się i pewnej burzliwej nocy wywozłem ją z domu. Było jak w kinie. Pojechaliśmy w góry Córdoby, potem do Mar del Plata, a kiedy pięć tysięcy się rozeszło, powiedziałem: „No, żegnaj, idyllo. Skończyło się.” A wtedy ona do mnie: „Nie, mój kochany, już się nigdy nie rozstaniemy.”

Szli teraz pod sklepieniami zieleni, splątanymi gałęziami i absydami z kwiatów.

– Byłem zazdrosny. Czy wie pan, co to znaczy być zazdrosnym o kobietę, która kładzie się z każdym? Zna pan emocje pierwszej kolacji, za którą ona płaci pieniędzmi jakiegoś jelenia? Wyobraża pan sobie, jakie to szczęście jeść w dobrej knajpie, podczas gdy kelner przygląda się wam wiedząc, kim jesteście? A ta przyjemność, kiedy wychodzi się z nią na ulicę, ona wisi u pańskiego ramienia, a gliny tylko filują na pana? I wiedzieć, że ta, co kładzie się ze wszystkimi, chce pana, wyłącznie pana? Bardzo to ładnie, przyjacielu, kiedy człowiek ma fart. I ona sama zatroszczy się, żeby zdobył pan drugą kobietę, z której będzie pan mógł ciągnąć forszę, sama przypro-wadzi ją do domu mówiąc: „będziemy szwagierkami”, sama zadba o to, żeby nowicjuszka szła w kurs tylko dla pana, i im bardziej będzie pan nieśmiały i zawstydzony, tym większą będzie miała frajdę zabijając w panu skrupuły, ciągnąc za sobą w błoto, aż nagle... kiedy najmniej będzie pan tego pragnął, okaże się, żeś ugrzązł po dziurki w nosie... a wtedy trzeba już tańczyć. I jak długo kobiecie zależy, tak długo trzeba ją wykorzystywać, bo któregoś dnia wypnie się na pana, zacznie szaleć za innym i z taką samą nieświadomością, z jaką szła za panem, znowu się będzie dla kogoś poświęcać. Powie mi pan: Po co kobiecie mężczyzna? A ja panu odpowiem: Żaden właściciel burdelu nie będzie rozmawiał z dziwką. Ubija sprawy tylko z jej facetem. Rajfur pozwala dziwce uprawiać spokojnie jej profesję. Gliny się jej nie czepiają. Jeśli trafi do mamra, on ją stamtąd wyciąga; kiedy choruje, załatwia szpital i opiekę i ratuje przed kłopotami w tysiącu innych przypadków. Widzi pan, kobieta, która kręci na własny rachunek, zawsze w końcu staje się ofiarą napadu, jakiegoś szwindla lub innych straszliwych upokorzeń. A jeśli ma faceta, pracuje w spokoju, bez nerwów, nikt z nią nie zadziera i wszyscy ją szanują. A skoro ona z takiego lub innego powodu sama wybrała taki sposób życia, logiczne jest, że za własne pieniądze

może pozwolić sobie na taką formę szczęścia, jakiej potrzebuje.

Oczywiście, dla pana wszystko to jest nowe, ale z czasem przywyknie pan. No bo niech mi pan wytłumaczy, jak to jest, że są faceci, co mają siedem kobiet. Cygan Kapusta miał w swoim najlepszym okresie jedenaście bab. Hiszpan Julio osiem. Nie znam tu Francuza, co nie miałby trzech kobiet. A one znają się i nie tylko się znają, ale umieją żyć razem i rywalizować między sobą, która przyniesie mu więcej, bo to powód do dumy być ulubienicą mężczyzny, co jednym spojrzeniem ratuje przed najbrutalniejszymi tajnikami. I nigdy człowiek nie wie, czy ma tym biednym wariatkom współczuć, czy też tłuc je kijem.

Erdsain czuł się przytłoczony niezwykłą pogardą, jaką ten człowiek okazywał kobietom. I przypomniał sobie, że przy innej okazji Astrolog powiedział mu: „Smutny Alfons to facet, który widząc kobietę myśli najpierw: Ta na ulicy wyciągnęłaby pięć, dziesięć albo dwadzieścia pesos. I nic poza tym.”

I poczuł do tego człowieka odrazę. Żeby zmienić temat, zapytał:

– Niech mi pan powie, wierzy pan w powodzenie planu Astrologa?

– Nie.

– A czy on wie, że pan nie wierzy?

– Tak.

– To czemu pan z nim trzyma?

– Trzymam do pewnego stopnia i tylko dlatego, że się nudzę. Życie nie ma żadnego sensu, więc wszystko jedno, jakim idzie się kursem.

– Dla pana życie nie ma sensu?

– Absolutnie żadnego. Rodzimy się, żyjemy, umieramy, a gwiazdy nie przestają z tego powodu obracać się ani mrówki pracować.

– A bardzo się pan nudzi?

– W normie. Zorganizowałem sobie życie jak przemysłowiec. Kładę się zawsze o północy i wstaję o dziewiątej rano. Godzinę gimnastykuję się, kąpię się, czytam gazetę, jem obiad, przesypiam sjęstę, o szóstej piję wermut i idę do fryzjera, o ósmej jem kolację, potem wychodzę do kawiarni,

a za dwa lata, kiedy zbiorę dwieście tysięcy pesos, wycofam się z interesu i będę żył tylko z procentów.

– Jaki zatem będzie pana faktyczny udział w organizacji Astrologa?

– Jeśli Astrolog zdobędzie pieniądze, zajmę się werbunkiem kobiet i założeniem burdelu.

– A co, tak naprawdę, myśli pan o Astrologu?

– Że jest to maniak, któremu może się udać albo nie.

– Ale jego idee...

– Niektóre są mętne, inne jasne, a prawdę mówiąc, nie za bardzo wiem, do czego zmierza ten człowiek. Czasami wydaje mi się, że słucham konserwatysty, innym znów razem rewolucjonisty, a tak naprawdę myślę, że on sam nie wie, czego chce.

– A gdyby mu się udało?

– Wtedy sam Pan Bóg nie wie, co się stanie. A propos, czy to pan mówił mi o hodowli zarazka cholery azjatyckiej?

– Tak... byłaby to wspaniała broń na wojsko. Podłożyć jedną kolonię w każdych koszarach. Wyobraża pan sobie? Trzydziestu lub czterdziestu mężczyzn jednocześnie może zniszczyć całą armię i pozwolić masom przeprowadzić rewolucję...

– Astrolog wyraża się o panu z dużym uznaniem. Zawsze mówił mi o panu jako o tym, który ma duże zadatki na sukces.

Erdosain uśmiechnął się mile polectany.

– Tak, coś tam się robi, żeby znieść z powierzchni ziemi to społeczeństwo. Ale wracając do poprzedniej sprawy: nie rozumiem, jaką pozycję zajmuje pan wobec nas...

Haffner odwrócił się nagle, zmierzył Erdosaina spojrzeniem jakby zaskoczony jego słowami, a potem uśmiechnął się ironicznie i odparł:

– Ja nie zajmuję żadnej pozycji. Proszę mnie dobrze zrozumieć. Nic nie tracę na tym, że pomagam Astrologowi. Cała reszta, te jego teorie, kosztuje mnie tyle co chwila rozmowy. Jest dla mnie przyjacielem, który chce założyć interes przewidziany i tolerowany przez nasze ustawodawstwo. To wszystko. A to, czy pieniądze z interesu zainwestuje w jakieś tajne stowarzyszenie, czy też odda zakonnikom, nic mnie osobiście nie obchodzi. Jak pan widzi, moja działalność w tym osławionym stowarzyszeniu nie może być bardziej niewinna.

– A czy wydaje się panu logiczne, żeby rewolucyjna organizacja utrzymywała się z wyzysku upadłych kobiet?

· Alfons wydał usta. Potem, patrząc koso na Erdosaina, wyjaśnił:

– To, co pan mówi, nie ma sensu. Podstawą obecnego społeczeństwa jest wyzysk mężczyzny, kobiety i dziecka. Jeśli chce pan mieć pojęcie, czym jest kapitalistyczny wyzysk, niech pan pójdzie do huty żelaza w Avellaneda, do mięsnych chłodni albo do huty szkła, do fabryki zapalek lub tytoniu. – Śmiał się nieprzyjemnie mówiąc o tym. – My, faceci z półświatka, mamy po jednej lub dwie kobiety; oni, przemysłowcy, całe tłumy ludzi. Jak należałoby ich nazywać? I kto jest bardziej nieludzki, właściciel burdelu czy akcjonariusze jakiegoś przedsiębiorstwa? A nie szukając daleko: czy nie wymagano od pana, żeby był pan uczciwy za sto pesos pensji nosząc w teczce dziesięć tysięcy?

– Ma pan rację... ale czemu wobec tego dał mi pan pieniądze?

– To zupełnie inna sprawa.

– Ale mnie to zastanawia.

– No dobra, do widzenia.

I nim Erdosain zdążył odpowiedzieć, Alfons skręcił w zarzewioną boczną uliczkę. Szedł prędko. Erdosain przyglądał mu się przez chwilę, a potem ruszył za nim i dopędził go na rogu. Haffner odwrócił się poirytowany i zawołał piskliwie:

– Czy można wiedzieć, czego pan chce ode mnie?...

– Czego chcę?... Chcę tylko powiedzieć, że nic a nic nie jestem panu wdzięczny za tę forszę. Jasne? Chce pan ten czek? Oto on.

I rzeczywiście już mu go oddawał, ale Alfons raz jeszcze obrzucił go pogardliwym spojrzeniem:

– Nie bądź pan śmieszny. Idź pan i zwracaj ten swój dług.

Siatka ogrodzenia zafalowała przed oczyma Erdosaina. Najwyraźniej cierpiał, bo aż pożółkł na twarzy. Oparł się o słup, myślał, że zaraz zwymiotuje. Haffner stał przed nim i pytał łagodnie:

– No jak, przeszły już panu mdłości?

– Tak... trochę.

– Pan jest chory... musi pan pójść...

Szli kilka kroków w milczeniu. Jaskrawe światło dokuczało Erdosainowi, więc przeszli na zacienioną stronę ulicy. Tak doszli do stacji. Haffner kroczył wolno po peronie. Nagle zwrócił się do Erdosaina:

– Nigdy nie czuł pan jakichś okrutnych zachcianek w stosunku do innych?

– Tak, czasami.

– To dziwne... bo przypomniałem sobie, że kiedyś prześladowała mnie myśl, żeby nakłonić do nierządu pewną niewidomą dziewczynę...

– Czy jeszcze żyje?...

– Tak, jest teraz w ciąży. Rozumie pan? Ślepa i w ciąży. Któregoś dnia zaprowadzę pana. Pozna ją pan. Ciekawe widowisko, uprzedzam. Wyobraża pan sobie? Ślepa i z brzuchem. Jest niedobra, zawsze chodzi z igłą w ręce... A przy tym łakoma jak świnia. Na pewno to pana zainteresuje.

– I sądzi pan...

– Tak, jak tylko Astrolog założy burdel, pierwszą, którą tam wprowadzę, będzie właśnie ona. Będziemy trzymali ją w ukryciu: to rzadki kasek.

– Wie pan, że z pana to jeszcze rzadszy przypadek?

– Bo?

– Bo nie sposób tego panu wyjaśnić. Kiedy mówił pan o tej ślepej, przypomniało mi się, co usłyszałem od Astrologa. Że miał pan kontakty z jakąś porządną kobietą, że traf chciał, że była u pana, i że pan ją uszanował. Jeszcze coś, jeśli pan pozwoli: ta kobieta kochała pana, była dziewicą, dlaczego ją pan uszanował?

– To nie ma znaczenia. Trochę panowania nad sobą, nic więcej.

– A sprawa naszyjnika?

Erdosain wiedział od Astrologa, że Alfons poprosił kiedyś pewną tancerkę o materialny dowód miłości i że ta, przy innych kobietach, odpięła wspaniałą kolię, jaką jej podarował kochanek, stary handlarz bławatny. Była to przedziwna scena, bo stary znajdował się w pobliżu. Haffner wziął naszyjnik, zważył go w dłoni, sprawdził, ile karatów mają kamienie, i wśród powszechnego zdziwienia oddał z drwiącym uśmiechem.

– Sprawa naszyjnika jest prosta – odparł Haffner. – Byłem podpity. Nie na tyle jednak, żeby nie wiedzieć, że gest ten zjedna mi niezwykle szacunek wśród całej tej kabaretowej kanalii, zwłaszcza u kobiet, które są trochę zwariowane. Najdziwniejsze w tej sprawie jest to, że w pół godziny później przyszedł stary, który podarował Renée naszyjnik, aby pokor-

nie dziękować za to, że nie chciałem przyjąć prezentu. Wyobraża pan sobie? Siedział przy innym stoliku i z drżeniem obserwował całą tę scenę, a nie wtrącił się tylko z obawy przed wywołaniem draki. Ale trząsał się o naszyjnik... widzi pan sam, ile tu brudu... ale już jedzie pociąg do La Platy. Do widzenia, drogi przyjacielu. Aha, niech pan będzie we środę u Astrologa. Spotka pan tam ludzi jeszcze ciekawszych ode mnie.

Erdoesain ruszył w zamyśleniu na peron, z którego odjeżdżały pociągi w kierunku Buenos Aires. Nie ulegało wątpliwości: Haffner to potwór.

Poniżony

O ósmej wieczorem wrócił do domu.

– W jadalni paliło się światło... Wyjaśnijmy to jednak – opowiadał później Erdoesain – moja żona i ja klepaliśmy biedę i tak zwaną jadalnią był po prostu pusty pokój bez mebli. Drugi pokój stanowił sypialnię. Powie mi pan, że skoro byliśmy biedni, jak mogliśmy wynajmować mieszkanie, ale była to zachcianka żony, która pamiętając lepsze czasy nie godziła się zrezygnować z „własnego domu”.

W jadalni jedynym meblem był sosnowy stół. W jednym kącie wisiała na drucie nasza odzież, drugi był zajęty przez kufer z metalowymi uchwyty, przywodzący na myśl koczowniczy tryb życia, któremu kres położyć miała dopiero podróż ostateczna. Ile to razy myślałem potem o tej „iluzji podróży”, jaką tamten tani kufer wciśnięty w kąt wywoływał we mnie, przygnębnym mężczyźnie, któremu groziło więzienie.

Jak już panu mówiłem, w jadalni paliło się światło. Otworzywszy drzwi przystanąłem. Przy stole czekała na mnie żona, ubrana jak do wyjścia. Czarna woalka zakrywała aż po szyję jej zaróżowioną twarzyczkę. Na prawo, koło jej nóg, stała walizka, a po drugiej stronie podniósł się od stołu jakiś mężczyzna, kiedy tylko wszedłem albo raczej, kiedy zdziwienie zatrzymało mnie na progu.

Tak trwaliśmy wszyscy troje przez sekundę... Stojący

kapitan z jedną dłonią opartą o blat stołu, a drugą na rękojeści kordzika, moja żona z pochyloną głową i ja naprzeciwko nich, ciągle jeszcze z ręką na drzwiach. Ta sekunda wystarczyła mi, żeby na zawsze zapamiętać mężczyznę. Był wysoki, jego atletyczną figurę opinał mundur. Kiedy odrywał wzrok od mej żony, jego spojrzenie stawało się dziwnie twarde. Nie przesadzę, jeśli powiem, że przyglądał mi się bezczelnie, jak swemu podwładnemu. Ja ciągle patrzyłem na niego. Jego potężna postać kontrastowała z małym owalem twarzy, o delikatnym, szlachetnym nosie, i z surowością zaciśniętych warg. Na piersi nosił odznakę lotnika.

Moje pierwsze słowa brzmiały:

– Co się tutaj dzieje?

– Ten pan – ale zawstydzila się i poprawiła: – Remo – powiedziała do mnie po imieniu – Remo, ja już nie będę z tobą mieszkała.

ErDOSain nie miał nawet czasu zadrzeć. Głos zabrał kapitan:

– Pańska małżonka, którą poznałem dawno temu...

– A gdzie ją pan poznał?

– Dlaczego pytasz o takie sprawy? – przerwała Elsa.

– No właśnie – zachnął się kapitan. – Pan rozumie, że o pewne rzeczy nie należy pytać...

ErDOSain zaczerwienił się.

– Być może ma pan rację... przepraszam...

– A skoro nie zarabia pan tyle, żeby zapewnić jej utrzymanie...

ErDOSain ścisnął kłębę rewolweru w kieszeni i spojrzał na kapitana. Potem mimowolnie uśmiechnął się na myśl, że niczego nie powinien się bać, bo przecież może go zabić.

– Nie sądzę, aby to, co mówię, stanowiło powód do śmiechu.

– Nie, rozśmieszyła mnie taka jedna głupia myśl... A więc również i to panu powiedziała?

– Tak, a poza tym mówiła mi o pana niefortunnych uzdolnieniach...

– Rozmawialiśmy o twoich wynalazkach...

– Tak, o pańskim projekcie pokrywania kwiatów metalem...

– Ale dlaczego odchodzisz?

– Mam już dość tego wszystkiego, Remo.

ErDOSain czuł, że wściekłość wykrzywia mu usta. Naurągał-

by jej, ale myśl, że tamten kilkoma uderzeniami pięści mógłby mu rozwalić twarz, kazała mu się powstrzymać i powiedzieć tylko:

– Zawsze miałaś dość. U siebie w domu też miałaś już dość wszystkiego... tutaj... tam... także w górach... pamiętasz?

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, Elsa pochyliła głowę.

– Masz dość?... Ale czego ty właściwie możesz mieć dość? Wszyscy mają dość, nie wiadomo dlaczego... Lecz mają... Pan, kapitanie, także ma już dość?

Intruz przyglądał mu się długo.

– A co pan rozumie przez „mieć dość”?

– Nudę, zniechęcenie... czy nie zauważył pan, że są to czasy udręki, o jakich mówi Biblia? Tak nazywa je pewien mój przyjaciel ożeniony z chromą. Ta chroma to niby nierządnicą z Pisma Świętego.

– Nigdy o tym nie pomyślałem.

– Za to ja tak. Wyda się panu dziwne, że mówię o cierpieniach w takich okolicznościach... ale tak już jest... ludzie są tacy samotni, że chcą, żeby ktoś nimi poniewierał.

– Nie zauważyłem tego.

– Oczywiście, z pana pensją... Ile pan zarabia? Pięćset?

– Mniej więcej.

– Jasne, z taką pensją to logiczne.

– Co jest logiczne?

– Że nie czuje się zależności.

Kapitan wbił srogie spojrzenie w Erdosaina.

– Germán, nie zwracaj na niego uwagi – przerwała Elsa. – Remo tak stale o tym swoim zniechęceniu.

– Czyżby?

– Tak... Ona natomiast wierzy w szczęście, w sens „wiecznego szczęścia”, które nie odstępowałoby jej na krok, gdyby mogła spędzać całe dni na zabawach...

– Nienawidzę nędzy.

– Jasne, bo ty nie wierzysz w nędzę... straszliwą nędzę, która jest w nas, w nędzę wewnętrzną... duchową, co zżera nasze kości jak syfilis.

Zamilkli. Kapitan, wyraźnie znudzony, przyglądał się swoim zadbanym paznokciom.

Elsa wpatrywała się zza woalki w wychudłą twarz męża, którego kiedyś tak bardzo kochała, Erdosain zaś pytał siebie, skąd w nim taka ogromna pustka, pustka, w której rozplywa

się świadomość, nie znajdując słów dla wyrażenia ujadającego wciąż żalu.

Nagle kapitan podniósł głowę.

– A jak pan chce metalizować swoje kwiaty?

– Po prostu... bierze się na przykład różę i zanurza w alkoholowym roztworze azotanu srebra. Potem umieszcza się kwiat w słońcu, które dokona redukcji azotanu na srebro metaliczne, tak że róża zostaje pokryta delikatną metalową powłoką, przewodzącą prąd. Potem poddaje się ją zwykłemu elektrolitycznemu miedziowaniu... i róża jest z miedzi. Będzie to miało wielorakie zastosowanie.

– Pomysł jest oryginalny.

– Nie mówiłam ci, Germán, że Remo ma talent?

– Wierzę.

– Tak, być może mam talent, ale nie ma we mnie życia... entuzjazmu... czegoś, co byłoby jak niezwykły sen... iluzji, która pchałaby do czynu... ale, mówiąc o wszystkim po trochu: myślicie, że będziecie szczęśliwi?

– Tak.

Zapadła znowu cisza. Wokół żółtej lampy trzy twarze upodobniały się do woskowych masek. Erdosain wiedział, że za kilka chwil wszystko to się skończy, i jątrząc własny ból zapytał kapitana:

– Dlaczego przyszedł pan do mnie?

Tamten zawahał się, po czym rzekł:

– Chciałem poznać pana.

– Myślał pan, że to będzie zabawne?

– Nie... przysięgam, że nie.

– A zatem?

– Byłem ciekaw. Pańska żona mówiła mi ostatnio wiele o panu. Poza tym nigdy nie wyobrażałem sobie, że znajdę się w podobnej sytuacji... właściwie nie potrafiłbym wyjaśnić, dlaczego przyszedłem.

– Widzi pan? Są rzeczy niewytłumaczalne. Ja od pewnego czasu staram się zrozumieć, dlaczego nie zabijam pana jednym strzałem z rewolweru, który mam w kieszeni.

Elsa podniosła głowę w stronę Erdosaina, stojącego przy krótszym boku stołu. Kapitan zapytał:

– Co pana powstrzymuje?

– Naprawdę nie wiem... a może... tak, jestem pewny, że to dlatego. Wierzę, że w sercu każdego z nas jest jakaś miara

przeznaczenia. Jest to jakby odgadywanie rzeczy jakimś tajemniczym instynktem. To, co się teraz ze mną dzieje, wydaje mi się zawarte w tej nieuchronności przeznaczenia... to tak jakbym już kiedyś pana widział... nie mam pojęcia gdzie...

– Słucham?

– Co mówisz?

– To nie dlatego, że daliście mi powód... nie... właśnie mówię... jakaś odległa pewność.

– Nie rozumiem pana.

– Ja go rozumiem. Widzisz, to jest tak. Nagle człowiekowi przychodzi do głowy, że w jego życiu muszą się wydarzyć określone rzeczy... żeby życie się odmieniło, odnowiło.

– A ty?

– Wierzy pan w swoje życie?

Erdsain, zlekceważywszy pytanie, ciągnął:

– To, co się teraz stało, wcale mnie nie dziwi. Gdyby mi pan kazał pójść po papierosy... à propos, ma pan papierosa?

– Proszę... więc co dalej?

– Bo ja wiem. Ostatnio żyłem bezładnie... nękanie rozterkami. Widzi pan, jak spokojnie rozmawiam z panem.

– Tak, Remo zawsze czekał na coś niezwykłego.

– Ty również.

– Jak to? Ty także, Elso?

– Tak.

– Przecież ty...

– Niech pan mówi, kapitanie, rozumiem pana. Chce pan powiedzieć, że to niezwykle wydarzenie dla Elsy nastąpiło właśnie teraz, tak?

– Tak.

– A zatem myli się pan, prawda, Elso?

– Tak myślisz?

– Powiedz szczerze, czekasz na coś niezwykłego, co nie jest tym właśnie, tak?

– Nie wiem.

– Widzi pan, kapitanie. Nasze życie zawsze było takie. Siedzieliśmy razem w milczeniu przy tym stole...

– Przestań!

– Po co? Siedzieliśmy i bez słowa rozumieliśmy, kim jesteśmy, parą nieszczęśliwych, którzy mają różne pragnienia. A kiedy kładliśmy się...

– Remo!

- Panie Erdosain!
- Przestańcie się tak śmiesznie krygować... nie będziecie razem spać?
- W ten sposób nie możemy dalej rozmawiać.
- No a kiedy już było po wszystkim, łączyła nas podobna myśl: a więc na tym polegają rozkosze życia i miłości? Nic nie mówiliśmy, a wiedzieliśmy, że myślimy o tym samym... ale zmieniając temat... myślicie zostać w tym mieście?
- Nagle Erdosain doznał uczucia, że jest w podróży.
- Wydało mu się, że widzi Elsę na pokładzie statku, nad szeregami lśniących bulajów, wpatrzoną w błękitną nitkę horyzontu. Słońce padało na żółtawe czubki masztów i czarne ramiona dźwągów. Zmierzchało, ale oni stali, myśląc o dalekich krajach, w cieniu szalup, oparci o biały reling. Wiatr przesycony jodem burzył fale, a Elsa spoglądała na morze, którego ruchoma tafla poruszała jej cieniem.
- Chwilami widział jej pobladałą twarzyczkę i wtedy obojgu wydawało się, że z morskich głębi dochodzą słowa pełne wyrzutu.
- I Erdosain wyobrażał sobie, że słyszy:
 - Coście zrobili z tym biednym chłopcem? („Bo ja, mimo mego wieku, byłem jak chłopak – mówił później Remo. – Rozumie pan? Mężczyzna, który pozwala sprzątnąć sobie kobietę sprzed nosa... ofiara losu... to jakby szczeniak, rozumie pan?”)
- Erdosain oderwał się od tego przywidzenia. Pytanie, które mu się wyrwało, wyrażało wbrew jego woli zbyt wiele.
 - Będziesz do mnie pisała?
 - Po co?
 - No jasne, po co? – powtórzył zamykając oczy. Czuł, że zapada w otchłań, o jakiej nie śnił żaden człowiek.
 - No tak, panie Erdosain – i kapitan podniósł się – pora na nas.
 - Aha, idziecie... już idziecie?
- Elsa wyciągnęła do niego dłoń w rękawiczce.
 - Idziesz?
 - Tak... idę... rozumiesz, że...
 - Tak... rozumiem...
 - Tak dłużej być nie mogło, Remo.
 - Jasne... tak dłużej być nie mogło... to jasne.
- Kapitan, obchodząc stół dookoła, wziął walizkę, którą Elsa

miała ze sobą w dniu ich ślubu.

– Żegnam, panie Erdosain.

– Do pańskich usług, kapitanie... ale chwileczkę... idziecie?... ty, Elsa... też idziesz?

– Tak, idziemy.

– Za pozwoleniem, usiądę sobie. Pan pozwoli, kapitanie, że na chwilę usiądę... na chwileczkę.

Intruz zdusił w sobie słowa zniecierpliwienia. Czuł brutalną potrzebę wrzaśnięcia na mężczyznę: „No, bałwanie, weź się w garść”, lecz z uwagi na Elbę pohamował się.

Nagle Erdosain wstał z krzesła. Wolno skierował się w kąt pokoju. Potem, odwróciwszy się gwałtownie w stronę kapitana, powiedział czystym głosem, w którym odkryć można było tajone pragnienie, aby brzmiał łagodnie:

– Wie pan, dlaczego nie zabiję pana jak psa?

Tamci odwrócili się zaniepokojeni.

– Bo mi to wisi.

Erdosain chodził teraz po pokoju, od ściany do ściany, z rękoma założonymi do tyłu.

Przysłuchali mu się jakby z wyczekiwaniem. Wreszcie mąż, z krzywym, bladym uśmiechem na ustach, podjął łagodnie, głosem załamującym się od tajonego szlochu:

– Tak, bo nigdy na niczym mi nie zależało... i teraz też. – Jego spojrzenie stało się nieokreślone, ale uśmiech był wciąż taki sam, dziwny, zwodniczy. – Posłuchajcie mnie... niewiele z tego rozumiecie, ale mnie to wyjaśnia wszystko.

Jego oczy błyszczały dziwnie, a głos ochrypl z wysiłku, jaki wkładał w to, żeby mówić.

– Widzicie... zostałem przez życie okrutnie poniżony... strasznie pobity.

Zamilkł i stanął w kącie pokoju. Na jego twarzy błąkał się wciąż ten dziwny uśmiech człowieka, który we śnie przeżywa rozmaite niebezpieczeństwa. Elsa, poirytowana, zaczęła nagle gryźć róg chusteczki. Kapitan stał i czekał.

Nagle Erdosain wyciągnął z kieszeni rewolwer i cisnął go w kąt. Browning odłupał kawałek tynku i uderzył ciężko o podłogę.

– Na co mi to żelastwo! – mruknął. Potem, z jedną ręką w kieszeni marynarki, oparty skronią o ścianę, mówił cicho: – Tak, zostałem przez życie okrutnie obrażony, poniżony. Niech mi pan wierzy, kapitanie. Proszę się nie niecierpliwić.

Opowiem coś panu. Tym, który pierwszy zaczął ten łańcuch upokorzeń, był mój ojciec. Kiedy miałem dziesięć lat i coś tam przeskrobałem, powiedział mi: „Jutro cię zbije.” I tak już było zawsze: jutro... Wyobraża pan sobie? Jutro... tej nocy jakoś spałem, ale paskudnie, miałem pieskie sny, budziłem się o północy, patrzyłem wystraszony w okno, czy jest już dzień, a widząc księżyc w okiennej kracie, zamykałem oczy i mówiłem: „jeszcze czas”. Potem budziłem się znowu, kiedy piał koguty. Księżyc już nie było, a błękitna poświata wciskała się przez szyby, i wtedy nakrywałem głowę prześcieradłem, żeby jej nie widzieć, choć wiedziałem, że już tu jest... choć wiedziałem, że nie ma takiej siły, która potrafiłaby usunąć tę poświatę z pokoju. A kiedy wreszcie zasypiałem na dłużej, czyjaś ręka potrząsała moją głowę na poduszce. To był on i mówił mi swoim szorstkim głosem: „Idziemy... już czas.” I kiedy ubierałem się wolno, słyszałem, jak ciągnie krzesło na podwórze. Wychodziłem, a on stał już koło krzesła, bez ruchu, jak żołnierz. „Idziemy”, krzyczał jeszcze raz, a ja, zahipnotyzowany, szedłem prosto na niego: chciałem coś powiedzieć, ale było to niemożliwe pod tym straszliwym spojrzeniem. Jego ręka spadała na moje ramię i kazała mi uklęknąć, opierałem piersi o siedzenie krzesła, a on wciskał moją głowę między swoje kolana i nagle okrutne razy spadały na moje pośladki. Kiedy mnie puszczał, z płaczem biegłem do pokoju. Ogromny wstyd pogrążał moją duszę w mrokach. Bo mroki istnieją, choć pan w to nie wierzy.

Elsa patrzyła zaskoczona na męża. Kapitan stał z założonymi rękoma i słuchał znudzony. Na twarzy Erdosaina wciąż błąkał się nieokreślony uśmiech. Mówił dalej:

– Wiedziałem, że większość kolegów ma ojców, którzy ich nie biją, i w szkole, kiedy opowiadali o własnych domach, obezwładniał mnie żal tak ogromny, że ilekroć byliśmy w klasie i nauczyciel wrywał mnie, patrzyłem oglupiały nie rozumiejąc jego pytań, aż pewnego dnia wrzasnął: „Czy ty, Erdosain, jesteś imbecylem, że mnie nie słyszysz?” Cała klasa ryknęła śmiechem i odtąd przezywano mnie „imbecyl”. A ja, jeszcze bardziej przygnębiony, poniżony bardziej niż kiedykolwiek, milczałem z obawy przed pasem ojca, a do tych, co mnie lżyli, uśmiechałem się... choć nieśmiało. Rozumie pan, kapitanie? Obrażają pana... a pan jeszcze się potulnie uśmiecha, jakby tą obelgą wyświadczano panu grzeczność.

Intruz zmarszczył brwi.

– Potem, za pozwoleniem, panie kapitanie, potem często przezywano mnie „imbecyl”. Dusza kurczyła się wtedy gwałtownie w siatce nerwów, a to uczucie, że ukrywa się zawstydzona w moim ciele, pozbawiało mnie odwagi, czułem, że korzę się coraz bardziej, i patrząc w oczy tego, kto mi ubliżał, zamiast zwalić go z nóg jednym uderzeniem, myślałem: „Czy człowiek ten zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo mnie poniża?” Potem odchodziłem: rozumiałem, że wszyscy oni dopełniali tylko tego, co zapoczątkował mój ojciec.

– A teraz – zapytał kapitan – czy ja również pana upokarzam?

– Ależ skąd, pan nie. Oczywiście, cierpiałem tyle, że cała odwaga skurczyła się, gdzieś się we mnie ukryła. Jestem teraz tylko widzem i zapytuję siebie: kiedy moja odwaga się podewrze? Na to właśnie czekam. Któregoś dnia coś potwornego wybuchnie we mnie i stanę się innym człowiekiem. Wtedy, jeśli będzie pan żył, odszukam pana i napluję panu w twarz.

Intruz patrzył na niego spokojnie.

– Nie z nienawiści, lecz po to, żeby poddać próbie moją odwagę, która będzie dla mnie najnowszą rzeczą na świecie... Teraz może pan odejść.

Nieproszony gość zawahał się przez chwilę. Oczy Erdosaina, szeroko otwarte, wpijały się w niego. Wziął walizkę i wyszedł.

Elsa stanęła drżąc przed mężem.

– To ja już idę, Remo... tak się musiało skończyć.

– Ale żebyś ty?... ty?

– A co chcesz, żebyśmy robiła?

– Nie wiem.

– No widzisz. Bądź spokojny, proszę cię. Przygotowałam ci świeżą bieliznę. Zmień kołnierzyk. Zawsze trzeba się wstydić za siebie.

– Ale żebyś ty, Elsa... ty? A nasze plany?

– Iluzje, Remo... złudne splendory.

– Tak, splendory... ale gdzie nauczyłaś się takiego ładnego słowa? Splendory.

– Nie wiem.

– I nasze życie rozleci się na zawsze?

– Co chcesz? Ja przecież byłam dobra. Potem zaczęłam cię nienawidzić... ale ty, dlaczego i ty nie byłeś taki jak ja?

– No tak... nie byłem... nie byłem...

Ból oszałamiał go jak słoneczny żar w tropikach. Powieki same opadały. Chciał zasnąć. Sens słów tonął w jego umyśle z powolnością kamienia w gęstej brei. Kiedy słowo dotykało dna świadomości, mroczne siły potęgowały żal. I przez mgnienie w głębi klatki piersiowej pływały i kołysały się, niczym na powierzchni błotnistej kałuży, okruchy cierpienia. Ona mówiła dalej głosem uśmierzonym wewnętrzną rezygnacją:

– Teraz to nie ma sensu... teraz odchodzę. Dlaczego ty nie byłeś dobry? Dlaczego nie pracowałeś?

Erdosain miał pewność, że w tej chwili Elsa jest równie nieszczęśliwa jak on, i potężne uczucie litości zważyło go na krawędź krzesła każąc mu wcisnąć głowę w ramię wyciągnięte na stole.

– Odchodzisz? Naprawdę odchodzisz?

– Tak, chcę zobaczyć, czy nasze życie się poprawi, wiesz? Popatrz na moje ręce – zdjęła rękawiczkę i pokazała mu prawą dłoń, zsiniałą z zimna, zniszczoną ługiem, pokłutą igłami, poczerniałą od sadzy.

Erdosain wstał odurzony nowym przywidzeniem. Widział teraz, jak jego nieszczęśliwa żona przemierzała w potwornym zgiełku miasta z betonu i stali jakieś mroczne ulice tonące w krzywym cieniu wieżowców, pod złowrogą pajęczyną przewodów wysokiego napięcia. Mijały ją tłumy urzędników z parasolami. Jej twarz była bledsza niż kiedykolwiek, ale pamiętała wciąż o nim, a oddechy nieznanym uwypuklały jej profil.

„Gdzie może być teraz mój chłopak?”

Erdosain przerwał te rozmyślania o przyszłości.

– Elsa... wiesz sama... możesz wrócić, kiedy zechcesz... wróć... ale powiedz szczerze, kochałaś mnie kiedykolwiek?

Powoli uniosła powieki. Jej źrenice rozszerzyły się. Głos wypełnił cały pokój ludzkim ciepłem. Erdosainowi wydało się, że ożywa.

– Zawsze cię kochałam... teraz także... nigdy... dlaczego nie rozmawiałeś ze mną tak jak teraz? Czuję, że będę cię kochała całe życie... że tamten przy tobie to cień mężczyzny...

– Moje kochane biedactwo... cóż to za życie... to nasze życie...

Łagodny uśmiech wykrzywił boleśnie jej usta. Elsa przygłą-

dała mu się przez chwilę żarliwie. Potem powiedziała obiecująco i poważnie:

– Coś ci powiem... czekaj na mnie. Jeśli życie jest zawsze takie, jak mi mówiłeś, to wrócę, wiesz? A wtedy, jeśli zechcesz, razem się zabijemy... Cieszysz się?

Krew uderzyła mężczyźnie do głowy.

– Moja kochana, jaka jesteś dobra, kochanie... podaj mi rękę – a kiedy Elsa zaskoczona uśmiechnęła się nieśmiało, Erdosain ją pocałował. – Nie gniewasz się, kochanie?

Elsa podniosła głowę pełną szczęścia.

– Remo... ja wrócę, wiesz? jeśli to, co mówisz o życiu, jest prawdą... tak, ja wrócę... wrócę.

– Wrócisz?

– Ze wszystkim, co będę miała.

– Nawet gdybyś była bogata?

– Nawet gdybym miała wszystkie skarby świata, wrócę. Przysięgam ci.

– Kochana, moje najdroższe biedactwo! Jakie ty masz serce! Ale ty mnie jeszcze nie znasz... nieważne... ach, to nasze życie!

– Nieważne. Jestem zadowolona. Wyobrażasz sobie, Remo, jak się zdziwisz? Jesteś samiuteńki, wieczorem. Jesteś sam... nagle skrzypienie... drzwi się otwierają i staję w nich ja... to ja wróciłam!

– Jesteś w stroju balowym... masz na sobie białe pantofelki i naszyjnik z pereł.

– I przyszłam sama, błakając się po ciemnych ulicach... szukając ciebie, ale ty mnie nie widzisz, jesteś sam...

– Powiedz... mów... mów...

– Z głową opartą na dłoni... patrzysz na mnie... i nagle...

– Poznaje cię i mówię: Elsa, to ty?

– A ja odpowiadam: Remo, wróciłam, pamiętasz tamten wieczór? Tamten wieczór był tamtym wieczorem, teraz na dworze dmie silny wiatr, ale nam nie jest zimno ani smutno. Cieszysz się, Remo?

– Tak, mógłbym przysiąc, że tak.

– To ja już pójdę.

– Odchodzisz?

– Tak.

Twarz mężczyzny wykrzywiła się w nagłym bólu.

– No to idź.

– Do zobaczenia, Remo.
– Co mówisz?
– Mówię ci, Remo: czekaj na mnie. Wrócę, choćbym miała wszystkie skarby świata.

– Dobrze... no to do widzenia... ale pocałuj mnie.

– Nie, jak wrócę... do widzenia, Remo.

ErDOSain w nagłym porywie nieokreślonego rozżalenia chwycił ją brutalnie za rękę.

– Powiedz: spałaś z nim?

– Puść mnie, Remo... nie myślałam, że ty...

– Przyznaj się, spałaś czy nie?

– Nie.

W drzwiach stanął kapitan. Ogromne osłabienie kazało ErDOSainowi rozluźnić palce. Czuł, że pada, i nic już nie widział.

Po omacku

Nigdy się nie dowiedział, jak dowlókł się do łóżka.

Czas przestał dla niego istnieć. Zamknął oczy ulegając potrzebie snu, o który wołało całe jego obolałe wnętrze. Gdyby miał więcej siły, rzuciłby się chyba do studni. Rozpacz bulgotała mu w gardle i dusiła go, a oczy stawały się bardziej wrażliwe na ciemności niż zranione ciało na sól. Niekiedy zgrzytał zębami, żeby zrównoważyć napięcie nerwów, nabrzmiałych w jego ciele, które jak gąbka chłonęło teraz fale mroku, jakie dobywały się z jego mózgu.

Miał uczucie, że opada w otchłań bez dna, i wtedy jeszcze bardziej zaciskał przymknięte powieki. Spadał bez końca, kto wie, ile niewidzialnych mil mierzyło już jego ciało, które nie było w stanie powstrzymać owego zapadania się świadomości, skupionej teraz wokół kolczastego kłęбка rozpacz. Jego powieki zrzucały pokłady coraz gęstszych ciemności.

Jądro bólu tłukło się w nim bezradnie. Nie znajdowało ani jednej szpary, przez którą mogłoby się wymknąć. ErDOSain uwięził w sobie wszystkie cierpienia świata, całą mękę rezygnacji z tego świata. Gdzie na ziemi szukać by teraz człowieka o skórze bardziej pooranej zmarszczkami rozgorzyczenia?

Czuł, że nie jest już człowiekiem, tylko jedną wielką raną pokrytą skórą, raną, która omdlewa i krzyczy przy każdym skurczu tętnic. A przecież żył. Żył. Żył jednocześnie w oddaleniu i w zastraszającej bliskości swego ciała... Nie był już organizmem wypełnionym cierpieniem, ale czymś bardziej nieludzkim... być może właśnie tym... potworem zwiniętym w kłębek w czarnej czeluści pokoju. Każde pasmo mroków osuwające się z jego powiek stawało się murem, który coraz bardziej i bardziej izolował go od świata ludzi. Mury te rosły, pięły się w górę rzędy cegieł, a nowe pokłady mroków spadały na ów sześcian, w którym leżał skręcony i rozedrgany jak ślimak na dnie oceanu. Nie poznawał siebie... zwątpił w to, że jest Augustem Remo Erdosainem. Uciskał czoło opuszkami palców, a skóra jego dłoni wydawała mu się czymś dziwnym i nie poznawał własnego ciała, jakby składało się z dwóch różnych substancji. Któż to wie, co w nim umarło? Dla jego wrażliwości istniała tylko świadomość, obca temu, co się wydarzyło, dusza, węższa niż ostrze szpady i drgająca w mętnych wodach życia. Nawet świadomość własnego jestestwa nie zajmowała w nim więcej niż centymetr kwadratowy czucia. Reszta ginęła w mrokach. Tak, był tylko centymetrem kwadratowym człowieka, centymetrem kwadratowym istnienia ochraniającego swą powierzchnią całe to niezborne życie zjawy. Reszta umarła w nim, stopiła się z opatuliną mroków osłaniających okrutną rzeczywistość.

Coraz silniej doświadczał uczucia, że oto znalazł się na dnie cementowego sześcianu. Wrażenie z innego świata! Niewidzialne słońce rozjaśniało mury pomarańczowym blaskiem burzy. Skrzydło jakiegoś samotnego ptaka przecinało błękit na prostokacie murów, ale on na zawsze już zostanie na dnie tego niemego sześcianu, oświetlonego pomarańczowym słońcem.

Jego zdolność do życia ograniczała się do owego centymetra kwadratowego zmysłów. „Widział” teraz nawet pulsowanie własnego serca i na nic się nie zdała chęć uwolnienia od tej straszliwej formy, brzemieniem swym niewołającej go na dnie otchłani, już to czarnej, już to pomarańczowej. Gdyby choć odrobinę pofolgował własnej woli, rzeczywistość, przed którą się bronił, rzuciłaby się na niego z krzykiem. Erdosain nie chciał, a zarazem chciał widzieć... ale daremnie... jego żona już tam była, w pokoju wyłożonym błękitnym dywanem.

Kapitan wyczekiwał w kącie. Widział, choć nikt mu tego nie mówił, że jest to mała sypialnia, sześciokątna, zajęta prawie w całości przez szerokie, niskie łóżko. Nie chciał patrzeć na Elbę... nie... nie... ale nawet gdyby grożono mu śmiercią, nie oderwałby wzroku od mężczyzny rozbierającego się przed nią... jego prawowitą żoną, która była nie z nim... lecz z tamtym. Silniejsza od strachu była potrzeba grozy, jeszcze większego bólu, a wtedy ona, zasłaniając oczy palcami, podbiegała do nagiego mężczyzny o mocnych udach, przywierała do niego i nie umykała już przed siną męskością prężącą się na błękitnym tle.

Erdosain był przytłoczony wyrazistością tej straszliwej wizji. Życie jego nie mogło być bardziej płaskie nawet wówczas, gdyby wrzucono je między cylindry walcarki. Właśnie takie były żaby, wgniecione w koleiny przez koła wozu, płaskie i zbluzgane. Ale nie chciał patrzeć, nie chciał tak bardzo, że teraz widział wyraźnie, jak Elsa oparła się o szeroką, owłosioną pierś mężczyzny, a ten dotykał dłońmi kobiecego podbródka, żeby podnieść jej twarz do swych ust.

I nagle Elsa wołała: „Ja także, kochanie, ja także.” Twarz Erdosaina pąsowiła z rozpaczy, jej bielizna wirowała wokół trójkąta białych jak mleko ud i z podnieconym spojrzeniem wbitym w napięty mięsień drżącego mężczyzny, odsłaniała swój owłosiony seks, naprężone piersi... ach... po co patrzył?

Na próżno, Elsa... tak, Elsa, jego prawowita żona, próbowała teraz pieścić swą drobną dłonią całą jego męskość. Mężczyzna wył z pożądania, ścisnął skronie, zasłaniał oczy ramieniem, a ona, pochylona nad nim, jakby wlewała mu do ucha roztopione żelazo: „Jesteś piękniejszy od mego męża! Boże, jaki jesteś piękny”

Gdyby w powolnej torturze skręcano mu kark, nie cierpiałby bardziej. Cierpiał tak, że gdyby ten ból nagle ustał, serce by mu pękło jak granat. Jak to się dzieje, że dusza może znieść podobny ból? A przecież chciał cierpieć jeszcze więcej. Żeby po tym pierwszym ciosie rąbano go całego na kawałki... Ale gdyby nawet tak posiekanego wrzucono do kubła na odpadki, cierpiałby dalej. Nie było w jego ciele ani jednej komórki, która nie doświadczałaby tego okrutnego przygnębienia.

Wszystkie struny rwały się w tym straszliwym kołowrocie i nagle uczucie spokoju ukoilo jego członki.

Nic już nie chciał. Jego życie toczyło się teraz wolno w dół,

niczym jezioro po zerwaniu tamy, a to omdlenie na jawie, choć z przymkniętymi oczyma, przyniosło większą ulgę w boleściach niż sen pod narkozą.

Serce jego biło głośno. Z trudem poruszył głowę, aby oderwać owłosione ciało od rozgrzanej poduszki, i nie czuł już nic, tylko rzeźkość w karku i skurcz i rozkurcz serca, które niczym ogromne oko podniosło zaspaną powiekę, żeby przyrzeć się ciemnościom, nic więcej. Czy tylko ciemnościom?

Elsa była teraz tak daleko, że w tym chwilowym odrętwieniu wydawało mu się nieprawdą, iż kiedykolwiek ją znał. Kto wie, czy w ogóle istniała. Przedtem mógł ją widzieć, teraz musiał się zdobyć na wielki wysiłek, żeby ją dostrzec, i poznawał ją z trudem. To prawda, że nie była już sobą, a i on był kimś innym. Jego życie płynęło teraz wolno w dół, i w tym cofaniu się czasu poczuł się dzieckiem, które patrzy na zielone drzewo, jakie rzuca cień na rzekę gubiącą się wciąż wśród czerwonoplamistych głazów. Był tylko ciałem spadającym w ciemności. Kto wie, kiedy przestanie broczyć krwią? Świadom był tylko bicia własnego serca, które niczym ogromne oko podnosiło zaspaną powiekę, żeby się przyrzeć mrokom. Odległe światło z ulicy wciskało się przez szparę srebrzystą smugą i padało na tiul moskitiery... Jego zmysły w męce odzyskiwały przytomność.

Erdoesain to on. Teraz siebie poznawał. Wyprostował z trudem plecy. Pod drzwiami do jadalni widniała żółta plama. Zapomniał zgasić światło. Winien był... nie, nie, Elsa odeszła... winien jest firmie sześćset pesos i siedem centavos... ale nie, już nie jest winien, przecież ma czek... Ech, ta rzeczywistość... rzeczywistość!

Ukośny równoległobok światła z ulicy barwiącego srebrzycie tiul moskitiery przypominał, że żyje jak dawniej, jak wczoraj, jak przed dziesięcioma laty.

Nie chciał widzieć tej świetlistej smugi, jak w dzieciństwie nie chciał widzieć „błękitnej poświaty, która wciskała się przez szyby, choć wiedział, że już jest, choć rozumiał, że nie ma takiej siły, która potrafiłaby usunąć tę poświatę z pokoju”. Tak podobnie jak wówczas, gdy ojciec mówił, że jutro go zbije. Teraz było to co innego. Tamta poświata była niebieska, ta srebrzysta, choć równie jaskrawa i zwiastująca prawdę jak ta dawna. Pot zwilżył mu kosmyki włosów na skroniach. Elsa odeszła i... nie wróci? Co na to Barsut?

Ktoś zatrzymał się nagle przed drzwiami od ulicy. Erdosain zrozumiał, że to on, i zeskoczył z łóżka. Barsut, jak zwykle, pukał starając się nie robić hałasu.

Erdosain krzyknął zachrypniętym głosem:

– Wchodź, czemu nie wchodzisz?

Ciężko stąpając na piętach, wszedł Barsut.

– Już idę – krzyknął Remo, kiedy tamten wchodził do jadalni.

A kiedy wszedł, Barsut już siedział z nogą założoną na nogę, jak zwykle zwrócony do drzwi plecami, profilem zaś w stronę południowo-wschodniego kąta pokoju.

– Cześć, jak tam?

– Co u ciebie?

Z łokciem na brzegu stołu podpierał się ręką, a światło okrywało miedzianą czerwienią pulchną biel jego dłoni. Pod brwiami, ciągnącymi się aż po skronie, zielone, szkliste oczy przygotowywały się do postawienia nowego pytania.

Erdosain widział tę twarz jakby przez mgiełkę migających w górze świateł: czoło i skronie przechodzące w spiczaste uszy, kościsty nos przypominający dziób drapieżnego ptaka, płaski podbródek, jakby stworzony do przyjmowania najstraszliwszych ciosów, i starannie zawiązany węzeł czarnego krawata przy nakrochmalonym kołnierzyku.

Barsut zapytał głucho:

– A Elsa?

– Wyszła.

Zamilkli i Erdosain dalej wpatrywał się w kąt prosty, jaki tworzył szary rękaw marynarki i białą krawędź stołu, i w policzek oświetlony miedzianą czerwienią lampy aż po wypukłość nosa, podczas gdy druga połowa twarzy, od czubków włosów po dołek na brodzie, tonęła w ciemnościach, w których sine oczodoły wydawały się jeszcze ciemniejsze.

– Aha! – usłyszał Erdosain i zapytał: – Co mówisz?

Dopiero teraz dotarło do niego to „aha” powiedziane przed paroma sekundami.

– Wyszła? Elsa?

Barsut podniósł głowę, brwi unióś tak, że na powieki pa-

dało więcej światła, i lekko rozchyłonymi wargami wyszeptał:

– Poszła?

Erdosain zmarszczył brwi, spojrział z ukosa na buty tamtego i mrużąc oczy śledził poprzez rzęsy zasępionego Barsuta, aby po chwili wycedzić wolno:

– Tak... poszła... sobie... z jakimś... facetem...

I puściwszy oko jak aptekarz Ergueta, pochylił głowę. Pod smagłą kreską rzęs jego źrenice wpatrywały się dziko.

Erdosain mówił dalej:

– Widzisz? Tam leży rewolwer. Mogłem ich zabić, a jednak tego nie zrobiłem. Dziwnym zwierzęciem jest człowiek, no nie?

– I pozwoliłeś sprzątnąć sobie kobietę sprzed nosa?

Dawna nienawiść rozjątrzona tą nową zniewagą sprawiła, że Erdosain poczuł jakąś okrutną radość i głosem więznącym w gardle, ustami wyschłymi od nienawiści wrzasnął:

– A tobie co do tego?

Potężne uderzenie w twarz zważyło go na krzesło. Przypomniał sobie później, że ramię Barsuta coraz to nacierało, tłukąc go. Zakrył twarz rękoma, chciał uciec przed ciosami spadającymi nań z gwałtownością żywiołu. I wtedy głowa jego uderzyła głucho o mur i upadł.

Kiedy odzyskał przytomność, Barsut klęczał przy nim. Poczuł, że ma rozpięty kołnierzyk, a strużki wody ciekną mu po szyi. Od przegrody nosowej pełzył po twarzy przejmujący ból i wydawało mu się, że lada moment kichnie. Działka krwawiły lekko, a pod rozpalonymi wargami czuł powierzchnię zębów.

Erdosain podniósł się z trudem i opadł na krzesło: Barsut był tak blady, że jego oczy zdawały się płonąć żywym ogniem. Od kości policzkowych po uszy wiązki mięśni wykreślały dwa drżące łuki. Erdosain miał wrażenie, że zapada się w bezkresny sen, ale zrozumiał to, co tamten powiedział, dotykając jego ramienia:

– Wiesz co, napluj mi w twarz, jeśli chcesz, ale pozwól mówić. Muszę ci wszystko powiedzieć. Usiądź... o tak, tutaj.
– Erdosain podniósł się bezwiednie. – Posłuchaj mnie, proszę. Sam widzisz, no nie? Mógłbym cię zatłuc na śmierć... widzisz, osunęła mi się ręka... przysięgam... jak chcesz, przeproszę cię na kolanach. Co zrobić, taki już jestem. Popatrz no... och... och... gdyby ludzie wiedzieli.

Erdosain splunął krwią. Gorączka ścisnęła mu czoło, wdzierała się przez skronie i bólem przeszywała kark. Plecy pochyliły mu się tak, że oparł głowę o krawędź stołu. Barsut, widząc go w takim stanie, zapytał:

– Przemyć ci twarz? Dobrze ci to zrobi. Poczekaj chwilę, nie wstawaj – i pobiegł do kuchni, skąd wrócił z miednicą pełną wody. – Umyj się. To ci dobrze zrobi. Chcesz, żebym cię wytarł? Widzisz, przepraszam cię, to był taki wyskok. Ale ty też... czemu mrugałeś okiem, jakbyś się ze mnie nabijał? Umyj się, bardzo cię proszę!

Erdosain podniósł się w milczeniu i kilkakrotnie zanurzył twarz w miednicy. Kiedy brakło mu tchu, podnosił głowę nad wodę. Potem usiadł, a włosy zamoczone na skroniach wysychały mu na powietrzu. Jak bardzo był zmęczony! Ach, gdyby go widziała Elsa! Jak by mu współczuła! Przymknął oczy. Barsut przysunął krzesło do niego i rzekł:

– Muszę ci wszystko powiedzieć. Gdybym tego nie zrobił, uważałbym się za kanalię. Widzisz sam, mówię otwarcie. Zobacz, jak mi nie wierzysz, połóż mi rękę na sercu. Jestem wobec ciebie szczerzy. No więc... to ja... ja doniosłem na ciebie w firmie... to ja wysłałem anonim.

Erdosain nawet nie podniósł głowy. On albo kto inny – czy to ważne!

Barsut spojrzał na niego; oczekiwał nie wiedzieć jakich wyzwisk, więc po chwili zapytał:

– Czemu nic nie mówisz? Tak, to ja na ciebie doniosłem. Rozumiesz? Ja ciebie zadenuncjowałem. Chciałem cię wsadzić za kratki, zostać z Elsą, upokorzyć ją. Nie wyobrażasz sobie, ile nocy myślałem o tym, jak cię pakują do mamra. Nie miałeś skąd wytrzasnąć forsy i musieliby oddać sprawę do sądu. Ale dlaczego nic nie mówisz?

Erdosain podniósł powieki. Barsut siedział przed nim, tak, to był on, i mówił to wszystko. Pod skórą, od kości policzkowych po uszy, mięśnie twarzy drżały mu niezauważalnie.

Barsut spuścił oczy, oparł łokcie na kolanach, jakby siedział przy ognisku, i powolnym głosem zaczął znowu:

– Muszę ci wszystko powiedzieć. Komu, jeśli nie tobie, mógłbym mówić o wszystkich tych sprawach, które mi leżą na sercu? Mówią, i chyba słusznie, że serce nie boli, ale wierz mi, chwilami pytam siebie: Po co żyć? Dokąd zmierza to życie, skoro ja jestem właśnie taki? Rozumiesz? Żebyś wiedział, ile

się nagłowiłem obmyślając to wszystko. Właściwie to nie powinienem ci nawet o tym mówić. Jak to jest, że ktoś podkłada komuś świnie, a potem przychodzi, zwierza się mu ze swych najskrytszych tajemnic i nie czuje wyrzutów sumienia? Wielokrotnie powtarzałem sobie! Dlaczego nie czuję wyrzutów sumienia? Jakie jest to nasze życie, skoro robimy świństwa i nic nie czujemy? Rozumiesz? W szkole uczono nas, że zbrodnia doprowadza przestępcę do szaleństwa, ale w rzeczywistości robimy coś takiego dalej, nic nas nie wzrusza, jak to jest?

Erdosain miał wciąż wzrok utkwiony w Barsuta, ale obraz tego człowieka osadzał się na dnie jego świadomości. Jego siły witalne oplatały błądy profil tamtego siecią tak mocną, że ów wizerunek był niezniszczalny.

– Widzisz – ciągnął Barsut – wiedziałem, że jesteś na mnie wściekły, że gdybyś tylko mógł, tobyś mnie zabił, a to cieszyło mnie i smuciło jednocześnie. Ileż nocy myślałem, jak by cię porwać! Przyszło mi nawet do głowy, że mógłbym przysłać ci pocztą bombę albo zmię w tekturowym pudle. Albo opłacić szofera, żeby cię przejechał na ulicy. Zamykałem oczy i godzinami myślałem o was. Myślisz, że ją kochałem? – Erdosain przypomniał sobie później, że w czasie tej wieczornej rozmowy Barsut unikał nazywania Elsy po imieniu. – Nie, nigdy jej nie kochałem. Ale sprawiłoby mi przyjemność, gdybym mógł ją upokorzyć, wiesz? Poniżyć tylko dlatego, że tak chcę: zgnoić ciebie po to tylko, żeby ona prosiła mnie na kolanach o pomoc. Rozumiesz? Nigdy jej nie kochałem. Doniosłem na ciebie tylko po to, żeby upokorzyć ją za to, że zawsze była wobec mnie taka wyniosła. A kiedy powiedziałeś mi, że okradasz firmę, poczułem dziką radość. I jeszcze nie skończyłeś mówić, a ja już pomyślałem: dobra, teraz przestaniesz zadzierać nosa.

Erdosainowi wyrwało się pytanie:

– Ale przecież ją kochałeś?

– Nie, nigdy jej nie kochałem. Gdybyś wiedział, ile przez nią wycierpiałem! Jak miałbym ją kochać, kiedy ona mi nawet nie podawała ręki? Ile razy na mnie patrzyła, wydawało mi się, że pluje mi w twarz. Tak, byłeś jej mężem, ale jej nie znałeś! Co ty wiesz o tej kobiecie! Słuchaj, mógłbyś przy niej konać, a nie doczekałbyś się gestu współczucia. Rozumiesz? Kiedy zbankrutowała firma Astraldi i zostaliście na bruku, oddał-

bym jej wszystko, co mam, gdyby mnie wtedy poprosiła. Oddałbym cały swój majątek, żeby tylko powiedziała dziękuję. Nic, tylko dziękuję. Gdyby mi powiedziała to jedno słowo, oddałbym wszystko. Któregoś dnia, kiedy zacząłem z nią rozmawiać, odpowiedziała mi: Remo jest mężczyzną i potrafi zarobić na nas dwoje. Nie, ty jej nie znasz! Mogłaby patrzeć, jak konasz, bez jednego gestu współczucia. A ja myślałem sobie... Mój Boże, ile to rzeczy chodzi człowiekowi po głowie! Kładłem się do łóżka i wyobrażałem sobie różne takie historie... zabiłeś człowieka... trzeba cię ratować, a wtedy ona przychodzi i prosi o pomoc, a ja, nie mówiąc jej o moim poświęceniu, biegam tu i tam, żeby coś dla niej zrobić. Co to za kobieta, Remo. Co za kobieta! Pamiętam, jak kiedyś szyla. Wiesz, chciałbym wtedy siedzieć przy niej i trzymać jej materiał; i wiedziałem, że z tobą nie jest szczęśliwa. Widziałem to po jej twarzy, zmęczeniu, uśmiechu.

ErDOSain przypomniał sobie słowa, jakie Elsa powiedziała przed godziną:

„Nieważne... Jestem zadowolona. Wyobrażasz sobie, Remo, własne zdziwienie? Jesteś samiuteńki, wieczorem... jesteś sam... nagle skrzywienie... drzwi się otwierają... i staję w nich ja... to ja wróciłam.”

Barsut mówił dalej:

– Jasne, zastanawiałem się, co też jej każe tak cierpieć przy tobie, żyć z takim mężczyzną jak ty...

„I przyszedłam sama, błakając się po ciemnych ulicach, szukając ciebie – ale ty mnie nie widzisz, jesteś sam...”

ErDOSain czuł, że myśli kłębią mu się w mózgu jak wir wodny. Jakby jakiś stożek wkręcał się w jego ciało. Łagodne muśnięcia tego wiru wprowadzały jego duszę w stan przejmującej, nie znanej mu dotychczas tkliwości. Jakie miłe były słowa Elsy, jaka niezwykła ich treść!

„Zawsze cię kochałam. Teraz także cię Kocham...-nigdy, dlaczego nigdy nie rozmawiałeś ze mną tak jak dziś wieczorem? Czuję, że będę cię kochała całe życie, że tamten przy tobie to cień mężczyzny.”

ErDOSain był teraz pewny, że słowa te ocaliły na zawsze jego duszę, a Barsut dalej wyrzucał z siebie żal i zawiść.

– I chciałem ją zapytać, co ma z tego, że żyje z tobą, odsłonić przed nią serce i powtarzać do znudzenia, że jesteś

wariatem, draniem, tchórzem... Przysięgam, że mówię to bez złości.

– Tak sędzę – odrzekł Erdosain.

– Nawet teraz, patrząc na ciebie, zastanawiam się: Jakimi oczyma kobieta patrzy na mężczyznę? Tego nigdy nie będziemy wiedzieli. Prawda? Ty dla mnie byłeś oferumą, którą jedno uderzenie na odlew usuwa z drogi. Ale kim byłeś dla niej? To jest dla mnie zagadką. Czy wiedziałeś to choć przez chwilę? Powiedz mi szczerze: twoje serce czuło, kim jesteś dla tej kobiety? Co też widziała w tobie, żeby tyle cierpieć i tyle znosić od ciebie?

Z jaką powagą Barsut rozprawiał o tym wszystkim! Jego chrapliwe pytania domagały się odpowiedzi. Erdosain czuł jego bliskość, nie jak człowieka, lecz sobowtóra lub widma o kościstym nosie i kasztanowych włosach, które nagle stało się częścią jego świadomości, gdyż tak jak ona w innych okolicznościach, stawiało mu teraz te same pytania. Tak, możliwe, że aby żyć w spokoju, trzeba go zgładzić, i myśl ta poraziła go chłodem.

– Jak szpada przeszywająca belę bawełny – mówił potem Erdosain.

Barsut nawet nie wyobrażał sobie, że w tej chwili Remo skazywał go na śmierć. Wyjaśniając mi potem okoliczności narodzin tego zamysłu, Erdosain powiedział:

– Żeby to panu jakoś wytłumaczyć, czy widział pan generała na polu bitwy?... powiem jak wynalazca: szuka pan przez pewien czas rozwiązania jakiegoś problemu. I wie pan, ba, jest pan przekonany, że klucz, cały sekret tkwi gdzieś w panu, ale nie może go pan poznać, tak bardzo osłaniają go pokłady tajemnicy. I pewnego dnia, w chwili najmniej spodziewanej, plan, pełna wizja maszyny staje panu przed oczyma, oslepiając swą niezłożoną dokładnością. Jest to coś wspaniałego! Niech pan sobie wyobrazi generała na polu bitwy... wszystko już stracone i nagle przychodzi mu do głowy jasne, dokładne rozwiązanie, o jakim nawet nie śnił, a które było przecież w zasięgu ręki, w nim samym. Ja wtedy właśnie zrozumiałem, że muszę zabić Barsuta, a on, paplając w kółko, nie wyobrażał sobie nawet, że ja, ze spuchniętymi ustami i bolącym nosem, tłumilem w sobie szaloną radość, olśnienie podobne temu, jakiego się doświadcza, kiedy odkryło się coś równie nieuniknione-

go jak prawa matematyki. Może zresztą istnieje także jakaś matematyka duszy, której straszliwe prawa nie są w takim samym stopniu nienaruszalne jak te, które rządzą zestawieniami cyfr i linii.* Ciekawe. To uderzenie, od którego jeszcze krwawiły mi dziąsła, niczym sztanca hydraulicznej prasy odcisnęło w mojej świadomości ostateczny plan śmierci... Wyobraża pan sobie? Plan to trzy główne linie, trzy możliwe linie proste, nic więcej. I w tym chaosie myśli moja radość uchwyciła się planu, którego zasadnicze zarysy nakazywały: porwać Barsuta, zabić go, a za jego pieniądze założyć tajne stowarzyszenie, jak tego chciał Astrolog. Plan zbrodni zrodził się we mnie samorzutnie, kiedy tamten głądził o naszych potępionych duszach. Plan pojawił się w mojej świadomości, jakby odcisnięto go prasą o sile nacisku równej tysiącom kilogramów.

Ach! Jak to panu wyjaśnić? Zapomniałem nagle o wszystkim dając się nieść radośnie tym chłodnym rozważaniom: było to jak świt przynoszący ulgę komuś, kto spędził kolejną bezsenłą noc. Wyobraża pan to sobie? Sprawić, żeby Barsuta zabił człowieka potrzebujący pieniędzy na zrealizowanie swego genialnego pomysłu. I to olśnienie było tak wielkie, że pytałem potem sam siebie wielokrotnie, jakie jeszcze tajemnice kryje dusza człowieka, skoro ukazuje mu raz po raz nowe horyzonty, objawia doznania, które zadziwiają swym pozornie nielogicznym pochodzeniem.

W trakcie tej opowieści zapomniałem wspomnieć, że rozgąrczowany Erdosain oplątywał bezmiarem słów sedno sprawy. Chciał wyczerpać wszystkie możliwości wyrazu, owładnięty powolnym szaleństwem, które w tym zalewie myśli pozwalało mu być kimś niezwykłym, nie zaś człowiekiem, który przegrał. Nie miałem wątpliwości, że mówi prawdę. Wielokrotnie sam się sobie dziwiłem pytając: skąd ten człowiek czerpie siły, żeby tak długo znosić samego siebie! Bo przecież zagłębiał się tylko w siebie, analizował to, co się w nim działo, jak gdyby suma szczegółów dawała mu pewność, że żyje. Powtórzę raz jeszcze. Umarły, obdarzony darem słowa, nie powiedziałby więcej niż on, aby przekonać siebie, że nie wygląda jeszcze na umarłego.

* Uwaga komentatora: Ten rozdział wyznań Erdosaina nasunął mi później pytanie, czy zamysł zbrodni nie istniał w nim w formie podświadomej, co wyjaśniałoby jego pasywność w obliczu napaści Barsuta.

Barsut nie zdając sobie sprawy z tego, co zaszło w duszy Erdosaina, ciągnął:

– Ach! Ty jej nie znałeś... nigdy nie znałeś. Uważaj, posłuchaj, co ci teraz powiem. Pewnego wieczoru przyszedłem do was, wiedziałem, że ciebie nie ma, chciałem się z nią spotkać, zobaczyć ją tylko, nic więcej. Przyszedłem cały spocony, nie wiem nawet, ile laziłem w ten upał, nim się ostatecznie namyśliłem.

„To tak jak ja; w upał” – pomyślał Erdosain.

– A wiesz przecież, że zawsze miałem forszę, żeby wziąć taksówkę, i kiedy już zapytałem o ciebie, ona, nie ruszając się z progu, odpowiedziała: Przepraszam, że nie proszę cię do środka, ale nie ma mojego męża. Masz pojęcie, co za suka?

Erdosain pomyślał:

„Jeszcze złapię pociąg do Temperley.”

Barsut mówił dalej:

– A ja zawsze miałem cię za nędzarza, więc myślałem: co też Elsa zobaczyła w tej ofermie, że się w nim zakochała?

Erdosain zapytał spokojnie:

– Czy mam wypisane na twarzy, że jestem ofermą?

Barsut uniósł głowę, zdziwiony. Przez chwilę wpatrywał się nieruchomo w rozmówcę swymi przeźroczytymi zielonkawymi źrenicami. Smuga światła padająca na niego i Erdosaina przenosiła ich w krainę snów. I Barsut wydał się sobie równie niereczywisty jak tamten, bo poruszając z trudem głową, jakby nagle stężały mu wszystkie mięśnie szyi, odparł:

– Nie, kiedy się patrzy na ciebie, można pomyśleć, że masz w głowie jakąś ideę... Bóg raczy wiedzieć jaką.

Erdosain odrzekł:

– Jesteś psychologiem. Naturalnie nie wiem jeszcze, jaka to jest idea, ale co ciekawsze, nigdy nie przyszło mi do głowy, że myślisz odbić mi żonę... Spokój, z jakim mówisz o tych sprawach...

– Nie zaprzeczysz, że jestem szczery...

– Nie...

– Poza tym, chciałem ją upokorzyć... nie odbić, po co? Wiedziałem, że nigdy mnie nie pokocha.

– A po czym to poznawałeś?

– Tego właśnie nie wiem. Bo człowiek robi czasami rzeczy, których nie potrafi zrozumieć. Rozmawiałem z tobą i ty ze mną i jakoś się to ciągnęło bez końca. Przychodziłem, bo w ten

sposób dręczyłem cię, ale także i siebie. Codziennie powtarzałem sobie: więcej tam nie pójdę... więcej nie pójdę... A kiedy zbliżała się pora, stawałem się niespokojny. To tak jakby ktoś mnie wołał z daleka i wtedy ubierałem się w pośpiechu... przychodziłem...

Erdosainowi przyszedł nagle do głowy niezwykle pomysł, więc przerwał mu:

– Skoro już tak mówimy o wszystkim po trochu... Nie wiem, czy ci wiadomo, że powiedziano mi dzisiaj w pracy o anonimie. Jeśli nie rozliczę się z firmą, pójdę siedzieć. Jedynym winnym, i sądzę, że chyba się z tym zgodzisz, jesteś ty, a więc musisz mi dać tę forszę. Skąd wytrzasnę taką sumę?

Barsut wyprostował się zaskoczony.

– Jak to? To ja obrywam i wychodzę prawie na rogacza, Elsa odchodzi, muszę robić różne świństwa i jeszcze mam za to bulić? Oszalałeś? Co mi z tego przyjdzie, że dam ci te sześćset pesos?...

– I siedem centavos.

Erdosain wstał.

– Czy to twoje ostatnie słowo?

– Ale zrozum, dlaczego ja?...

– Już dobrze, kochasiu... Uspokój się. A teraz bądź łaskaw wyjść, bo chcę spać.

– Nie przejdziemy się?

– Jestem zmęczony. Idź sobie.

Barsut zawahał się. Potem się podniósł i z kapeluszem w dłoni wyszedł ociężałe z pokoju.

Erdosain usłyszał trzask zamykanych drzwi, zastanawiał się w skupieniu przez chwilę, poszukał w kieszeni kurtki rozkładu jazdy, sprawdził, o której odchodzą pociągi, jeszcze raz umył się i uczesał przed lustrem.

Miał posiniąłą wargę, czerwoną plamę koło nosa i drugą na skroni, tuż pod włosami.

Rozejrzał się, jakby czegoś szukając, zobaczył porzucony rewolwer, podniósł go i wyszedł. Ponieważ jednak zostawił zapalone światło, wrócił i zgasił lampkę. Wszystko tonęło teraz w ciemnościach i tylko nikiłe światełko pełgało w oddali; wyszedł. Po raz drugi w tym dniu pojechał do Astrologa.

Część peronu na stacji w Temperley była słabo oświetlona smugą światła padającego z pomieszczenia telegrafisty. Erdosain usiadł na ławce koło dźwigni rozrządowych, w ciemnościach. Było mu zimno, chyba gorączkował. Miał wrażenie, że myśl o zbrodni stanowi przedłużenie jego ciała, jakby ktoś wyrzucał na światło dzienne własne niepokoje. Czerwona tarcza błyszczała na końcu niewidzialnego ramienia semaforu, trochę dalej jaśniały inne czerwone i zielone koła, a krzywizna szyn połyskujących tymi barwami gubiła w mrokach swą siną lub karminową poświatę. Chwilami czerwone lub zielone światło obniżało się. Potem zapadała cisza, ustawał zgrzyt łańcucha w blokach i pisk drutu ocierającego się o kamienie.

Erdosain jakby się zdrzemnął.

– Co ja tu robię? Dlaczego tu siedzę? Czy naprawdę chcę go zabić? A może chcę tylko wykrzesać w sobie chęć zabicia go? Czy to konieczne? A ona tarza się z tamtym. Ale co mnie to obchodzi? Przedtem, kiedy wiedziałem, że jest sama w domu, a ja przesiaduję po kawiarniach, cierpiałem za nią, cierpiałem, bo była ze mną nieszczęśliwa... teraz... no tak: już chyba zasnęła z głową na jego piersi. Mój Boże! I to jest życie? Po omacku, wciąż po omacku! Ale czy ja rzeczywiście jestem tym, kim jestem? A może jestem kimś innym? Zdziwienie? Żyć w ciągłym zdziwieniu! To mi się właśnie teraz przytrafia. Tak jak i jemu. Kiedy jest daleko, wyobrażam go sobie takim, jakim jest: kanalia, ofiara losu. Jeszcze trochę, a złamałby mi nos. Ale jednak to wspaniałe! Okazuje się teraz, że to on dostał po łbie i jest rogaczem, nie ja!... Rzeczywiście, życie to cyrk. A przecież kryje się w tym coś poważnego... Dlaczego on budzi we mnie wstręt, kiedy jest blisko?

Jakieś cienie zakolysały się przed żółtą szybą pomieszczenia telegrafisty.

– Zabić go czy nie zabić? Co mnie to zresztą obchodzi? A może jednak zależy mi na tym? Bądźmy szczerzy. Chcę go zabić? A może nic mnie on nie obchodzi? Może jest mi obojętne, czy będzie żył? A przecież chciałbym mieć tyle silnej

woli, żeby móc go zabić. Gdyby teraz ukazał się jakiś bóg i zapytał: Czy chcesz mieć siłę na zniszczenie całej ludzkości? Zniszczyłbym? Czybym zniszczył? Nie, chyba nie. Bo gdybym mógł to zrobić, sprawa przestałaby mnie interesować. Poza tym – co robiłbym sam na świecie? Patrzyłbym, jak w fabrykach rdzewieją maszyny i rozsypują się szkielety siedzące okrakiem na kotłach? Prawda, że dał mi w kość, ale co z tego? To dopiero towarzystwo! Kapitan, Elsa, Barsut, Człowiek z Głową Dzika, Astrolog, Alfons, Ergueta. To jest towarzystwo! Skąd się wzięły te wszystkie pokraki? Ja sam jestem jakiś nieswój, nie jestem sobą, a jednak muszę coś zrobić, żeby odzyskać świadomość własnego istnienia, sprawdzić siebie. Właśnie to, sprawdzić siebie, bo czuję się, jakbym nie żył. Nie istnieję ani dla kapitana, ani dla Elsy, ani dla Barsuta. To oni mogą mnie wsadzić za kratki, Barsut jeszcze raz dać mi po głębie, Elsa z kimś innym wystawić do wiatru, kapitan zabrać ją raz jeszcze. Dla wszystkich jestem zaprzeczeniem życia. Jestem czymś takim jak niebyt. Kiedy człowiek jest tylko działaniem, nie istnieje. A może istnieje mimo swego niebytu? Jest i nie jest. Tacy są ci ludzie. Z pewnością mają żony, własne domy, dzieci. Być może są nieszczęśliwi. Ale gdyby ktoś próbował napaść na ich dom, odebrać im choć grosz lub dotknąć kobiety, staną się dzikimi bestiami. A ja? Dlaczego się nie zbuntowałem? Kto może odpowiedzieć na to pytanie? Sam nie potrafię. Wiem, że istnieję w ten właśnie sposób, jako zaprzeczenie. I kiedy mówię to wszystko, nie czuję smutku i tylko ciszę w sercu, a w głowie pustkę. I wtedy, w tej ciszy i pustce, budzi się myśl o zabójstwie. Właśnie to. Nie jestem szaleńcem, potrafię przecież myśleć, rozumować. Budzi się we mnie ciekawość morderstwa, ciekawość, która jest chyba ostatnim smutkiem, smutkiem ciekawości. Albo demonem ciekawości. Odkryć siebie poprzez zbrodnię. Ot co. Zobaczyć, jak się zachowa moja świadomość i wrażliwość podczas popełniania zbrodni.

A jednak słowa te nie wywołują we mnie wrażenia zbrodni, tak jak prasowe doniesienie o katastrofie w Chinach nie wywołuje wrażenia katastrofy. Jakbym to nie ja myślał o zabójstwie, ale ten drugi. Ktoś, kto byłby, jak ja, człowiekiem płaskim, ledwie cieniem człowieka, jak w kinematografie. Widzimy go, porusza się, wydaje się, że istnieje, cierpi, a jednak jest tylko cieniem. Nie ma w nim życia. Na Boga, nie

jest to źle pomyślane. Dobrze, ale co robiłby taki człowiek-cień? Postrzegalby jakiś fakt, ale nie czułby jego wagi: z braku objętości nie potrafiłby ogarnąć jego brzemienia. Po prostu byłby cieniem. Ja także widzę wydarzenia, ale ich nie ogarniam. To musi być chyba jakaś nowa teoria. Co też powiedziałby sędzia śledczy, gdyby się z kimś takim zetknął? Czy uwierzyłby w moją szczerość? Ale czy ci ludzie w ogóle wierzą w szczerość? Poza mną, poza granicami mego ciała, wszystko się rusza, ale moje życie musi się im wydawać równie niepojęte jak to, że można być jednocześnie na Ziemi i Księżycu. Jestem dla nich niczym. A jednak jeśli jutro podłożę bombę lub zamorduję Barsuta, stanę się człowiekiem, dla którego nieskończone rzesze prawników przygotowały paragrafy, kary i więzienia. Ja, który byłem niczym, nagle wprawię w ruch cały ten straszliwy aparat gliniarzy, sekretarek, dziennikarzy, adwokatów, prokuratorów, strażników i bud więziennych i nikt nie będzie widział we mnie człowieka nieszczęśliwego, lecz tylko jednostkę społeczną, wroga, którego trzeba szybko odizolować od społeczeństwa. Jest to rzeczywiście osobliwe! A przecież tylko zbrodnia może potwierdzić moje istnienie, tak jak zło jest jedynym świadectwem istnienia człowieka na ziemi. I ja byłbym tym wybranym Erdosainem, budzącym lęk i opisanym przez kodeks karny, a wśród tysięcy anonimowych Erdosainów zaśmiecających ziemię byłbym innym, prawdziwym Erdosainem, tym, który jest i będzie trwał. Tak, to rzeczywiście niezwykle. A jednak, mimo tego wszystkiego, ciemności nie rozpraszają się, a dusza ludzka żyje w przygnębieniu. Ale życie nie powinno być takie. Wewnętrzne przekonanie mówi mi, że nie powinno. Gdybym odkrył, dlaczego nie powinno, mocno ukłułbym się i pozbył, jak balon powietrza, całego tego zakłamania; i stałbym się człowiekiem nowym, potężnym jak bogowie, którzy tworzyli świat. Ale zapominał przy tym wszystkim o sprawie najważniejszej... Iść do Astrologa czy nie? Co powie, kiedy zobaczy mnie znowu? Może już na mnie czeka? Jest on, jak ja, zagadką dla siebie samego. Taka jest prawda. Tak samo jak ja nie wie, dokąd zmierza. Tajne stowarzyszenie. Każda społeczność zamyka się dla niego w tych słowach: tajne stowarzyszenie. Jeszcze jeden diabeł. Ale kolekcja! Barsut, Ergueta, Alfons i ja... Nawet gdyby ktoś chciał, nie zebrałby podobnych okazji. A na dodatek jeszcze ta ślepa w ciąży. Do diabła!

Policjant, który pełnił dyżur na stacji, przeszedł raz jeszcze przed Erdosainem. Remo zrozumiał, że zwraca uwagę, podniósł się i ruszył w stronę domu Astrologa. Była bezksiężycowa noc. Uliczne latarnie świeciły w ciemnościach zadrzewionych zaułków. Gdzieś zza rogu dochodziły dźwięki pianina i kiedy tak szedł, serce ścisnęło mu się boleśnie na widok szczęścia za murami tych willi, ukrytych w rzadkim półmroku, z samochodami czekającymi koło garażów.

Propozycja

Astrolog miał się właśnie położyć, kiedy usłyszał kroki na ścieżce prowadzącej do domu. Pies nie zaszczekał, więc lekko uchylił okno. Świetlisty równoległobok przecinał ciemności aż po krzewy granatowców i zobaczył, że po tej żółtej smudze stąpa Erdosain, któremu światło padało prosto w twarz.

„To dziwne! – pomyślał Astrolog. – Dotychczas nie zauważyłem, że ten chłopak nosi panamę! Czego może chcieć?”

Upewniwszy się, że ma przy sobie rewolwer (był to już odruch bezwarunkowy), otworzył szeroko drzwi i Erdosain wszedł do środka.

– Myślałem, że już pan śpi.

– Proszę dalej.

Erdosain wszedł do gabinetu. Wciąż wisiała tam mapa Stanów Zjednoczonych z czarnymi chorągiewkami wbitymi w miejsca, gdzie władzę sprawował Ku-Klux-Klan. Astrolog układał horoskop, bo na stole leżało otwarte pudło z cyrklami. Wiatr od uchylonego okna poruszał papierami, więc Erdosain, odczekawszy, aż gospodarz schowa w szafie niektóre dokumenty, usiadł plecami do ogrodu.

Patrzył teraz na szeroką twarz Astrologa, krzywy nos sterczący pod pobrużdżonym czołem, kłapczaste uszy, potężną pierś pod matową czarną odzieżą, miedziany łańcuszek zawieszony na kamizelce, stalowy pierścionek z fioletowym oczkiem na palcu niekształtnym i pomarszczonym. Teraz, kiedy był bez kapelusza, widać było, że ma włosy kędzierzawe, zmierzwione i krótkie. Wyciągnął nogi i osunął się całym

ciężarem ciała na oparciu fotela. W swych zabrudzonych butach wyglądał jak wędrowiec, być może poszukiwacz złota. „Czemu nie mieliby tak wyglądać poszukiwacze złota w Patagonii?” – pomyślał Erdosain i nie wyjaśniając ani słowem swego gapiostwa zaczął się przyglądać mapie Stanów Zjednoczonych i powtarzać w myślach słowa, jakie usłyszał tego wieczoru od Astrologa, pokazującego Alfonsowi Stany federalne.

– Ku-Klux-Klan jest silny w Teksasie, Ohio, Oklahomie, Oregonie...

– Co nowego, przyjacielu... jak tam?...

– Aha, racja!... Przyszedłem do pana...

– Właśnie miałem zamiar położyć się. Pracowałem nad horoskopem dla jednego bałwana...

– Jeśli panu przeszkadzam, pójdę sobie.

– Nie, proszę zostać. Pobił się pan? Co się z panem stało?

– Wiele rzeczy. Niech mi pan powie, czy mógłby pan... Nie zdziwi pana moje pytanie?... Żeby założyć tę lożę, to znaczy, żeby zdobyć dwadzieścia tysięcy pesos, których pan potrzebuje... gdyby dla zdobycia tych dwudziestu tysięcy musiał pan zabić człowieka, czy zrobiłby pan to?

Astrolog w nagłym zdziwieniu wyprostował się na krześle, tak że jego ciało utworzyło teraz kąt prosty... I choć głowa uniosła się pod wpływem myśli, jakie ożywił w nim Erdosain, zdawało się, że dalej dziwnie mu ciąży. Zatarł dłonie i wbił badawcze spojrzenie w twarz Rema.

– Dlaczego przyszło to panu do głowy?

– Bo znalazłem kandydata, który ma dwadzieścia tysięcy pesos. Możemy go porwać, a jeśli nie zechce wystawić czeku, zmusimy go torturami.

Astrolog zmarszczył brwi. W obliczu niewiadomych, jakie kryła w sobie ta propozycja, jego zdumienie wzrosło jeszcze bardziej i paluchami lewej dłoni zaczął obracać pierścionek na serdecznym palcu prawej. Fioletowy kamyk błyskał raz po raz koło miedzianego łańcuszka i choć Astrolog pochylił głowę, jego zwężone źrenice badały spod rzęs twarz Erdosaina. A krzywy nos przypominał w tym położeniu tarczę, która osłaniała brodę wciśniętą w czarną tkaninę krawata.

– Dobrze, niech mi pan wszystko wyjaśni, bo nie rozumiem ani słowa.

Teraz wyprostował się, a jego twarz zdawała się rozmyślnie wystawiać na ciosy.

– To proste i genialne. Żona odeszła dziś ode mnie z jednym facetem. A wtedy on...

– Kto taki?

– Barsut, kuzyn mojej żony... Gregorio Barsut przyszedł do mnie i wyznał, że to on doniósł na mnie do firmy...

– Aha... więc to on?

– Tak, i na dodatek...

– Ale dlaczego zadenuncjował pana?...

– Bo ja wiem!... Żeby mnie poniżyć... Właściwie to prawie wariat. Człowiek, który ulega impulsom. Ma dwadzieścia tysięcy pesos. Jego ojciec zmarł w domu wariatów. On tam też skończy. Te dwadzieścia tysięcy to spadek po jakiejś ciotce ze strony ojca.

Astrolog potarł ręką czoło. Był bardziej zdumiony niż kiedykolwiek. Sprawa go zainteresowała, ale nie wszystko rozumiał. Powiedział więc:

– Niech mi pan opowie o wszystkim ze szczegółami, po kolei.

Erdoesain rozpoczął opowieść... Mówił o tym, co już wiemy. Opowiadał wolno, drobiazgowo; znikło już w nim to napięcie nerwowe, jakie czuł przed złożeniem Astrologowi swej propozycji.

Siedział teraz na brzegu krzesła, przygarbiony, z łokciami na kolanach, z dłońmi podpierającymi policzki i spojrzeniem wbitym w podłogę. Żółta skóra opinająca płaskie kości policzkowe nadawała mu wygląd suchotnika. Potok niesprawiedliwych pomówień płynął mu z gardła nieustannie, głucho, jakby recytował lekcję wyuczoną na pamięć.

Astrolog z ustami zakrytymi dłonią patrzył na niego i słuchał zdumiony. Wyobrażał sobie wiele rzeczy, ale nie aż tyle.

Z powolnością wynikłą z nadmiernej troski o to, żeby się nie pomylić, Erdoesain dawał upust żalom, zniewagom, wspomnieniom, mękom, bezsennym nocom i straszliwym kłótniom. Powiedział między innymi:

– Wyda się panu śmieszne, że to ja, ja, który przyszedłem zaproponować zabicie człowieka, mówię teraz o niewinności, a przecież i ja miałem kiedyś dwadzieścia lat i byłem dzieckiem. Czy wie pan, co każe człowiekowi siedzieć całą noc w jakiejś brudnej knajpie i tracić czas na głupią paplaninę przy

wódce? Czy wie pan, co to znaczy być w burdelu i nagle powstrzymać się ze wszystkich sił, żeby nie wybuchnąć płaczem? Patrzy pan na mnie zdziwiony, to jasne, widział pan być może we mnie dziwaka, ale nie zdawał sobie sprawy, że cała ta moja dziwność bierze się z żalu, przygnębienia, jakie mnie zżera. Widzi pan, nawet to, że mówię teraz o tym wszystkim tak dokładnie, wydaje mi się nieprawdą. Kim jestem? Dokąd idę? Nie wiem. Mam wrażenie, że pan jest taki sam jak ja, dlatego przyszedłem z pomysłem zabicia Barsuta. Za te pieniądze założymy lożę i być może poruszymy trochę fundamenty tego społeczeństwa.

Astrolog przerwał:

– Ale dlaczego postępował pan zawsze w ten sposób?...

– Tego właśnie nie wiem. Dlaczego chce pan zorganizować lożę? Dlaczego Smutny Alfons nadal wykorzystuje kobiety i sam czyści sobie buty, choć ma przecież majątek? Dlaczego Ergueta ożenił się z prostytutką i rzucił milionerkę? Myśli pan, że ścierpiałem policzek Barsuta i obecność kapitana ot, tak sobie, bez powodu? Pozornie jesteśmy tym wszystkim, ale w istocie, w głębi, poniżej naszej świadomości i naszych myśli toczy się inne, potężniejsze i większe życie... a jeśli znosimy to wszystko, to dlatego, że wierzymy, iż cierpiąc lub postępując w ten właśnie sposób dotrzemy do prawdy... to znaczy do prawdy o nas samych.

Astrolog wstał, zbliżył się do Erdosaina i kładąc mu rękę na głowie powiedział w zamyśleniu:

– Ma pan rację, synu. Jesteśmy, nie wiedząc o tym, mistykami. Mistykiem jest Smutny Alfons, mistykiem jest Ergueta, pan, ja, ona i oni... Choroba wieku, religia, zniszczyła zdolność rozumienia tajemnicy naszej podświadomości. Potrzebujemy takiej religii, która wyratuje nas z tej klęski, jaka zwała się na nasze głowy. Powie mi pan, że nie mówię nic nowego. Zgoda, ale niech pan pamięta, że na ziemi jedyne, co może się zmienić, to styl, przyzwyczajenia; istota rzeczy pozostaje taka sama. Gdyby pan wierzył w Boga, życie pana nie byłoby takie diabelskie, gdybym ja wierzył w Boga, nie słuchałbym pana propozycji, żeby zabić bliźniego. A najstraszliwsze jest to, że minął już dla nas czas, kiedy mogliśmy odzyskać wiarę, nadzieję. Gdybyśmy poszli teraz do jakiegoś klechy, nie zrozumiałby naszych problemów i doradziłby tylko zmówienie Ojciec Nasz i spowiedź raz w tygodniu.

– A człowiek pyta, co właściwie powinien ze sobą robić...
– Otróż to. Co powinien ze sobą robić. W innych epokach pozostawałby nam klasztor lub podróż do nieznanych i cudownych krain. Dzisiaj może pan rano pić sorbet w Patagonii, a wieczorem jeść banany w Brazylii. Co więc należy robić? Ja dużo czytam i, niech mi pan wierzy, we wszystkich europejskich książkach odkrywam tę gorycz i smutek, o jakim opowiadał mi pan mówiąc o własnym życiu. Niech pan spojrzy na Stany Zjednoczone. Aktorki każą sobie wszczepiać jakieś platynowe jajniki, a mordercy starają się pobić rekord najstraszliwszych zbrodni. Szedł pan pieszo, więc pan wie. Domy, coraz więcej domów, różne twarze i takie same serca. Ludzkość utraciła swoje święta i radości. Ludzie są już tacy nieszczęśliwi, że nawet zagubili Boga! A trzydziestokonny silnik jest dla nich rozrywką tylko wtedy, gdy prowadzi go jakiś szaleniec, który w przydrożnym rowie może rozwalić się na kawałki. Człowiek jest smutnym zwierzęciem, które tylko cuda zdolne jeszcze są poruszyć. Albo jatki. I my, dzięki naszemu stowarzyszeniu, dostarczymy mu cudów, cholery azjatyckiej, mitów, odkryjemy pokłady złota lub kopalnie diamentów. Obserwowałem pana podczas rozmowy. Ożywał się pan tylko wtedy, gdy mówiliśmy o rzeczach niezwykłych. Tak jest ze wszystkimi ludźmi, świętymi i kanaliami.

– A zatem porywamy Barsuta?

– Tak. Trzeba teraz zastanowić się, w jaki sposób możemy zgarnąć jego i forszę.

Wiatr poruszył liśćmi. Erdosain przez parę sekund wpatrywał się w smugę światła, która przez otwarte okno padała na granatowce. Astrolog przysunął krzesło do szafy, tak że jego głowa oparła się o żółtawe drzwi, a palce znowu zaczęły się bawić stalowym pierścionkiem i obracać nim przed oczyma.

– Jak go zgarniemy? To bardzo proste. Powiem Barsutowi, że dowiedziałem się, gdzie przebywa kapitan z Elsą.

– Tak, to jest dobre. Ale jak się pan o tym dowie? On na pewno natychmiast o to zapyta..

– Powiem, że byłem w dziale personalnym Ministerstwa Wojny.

– Doskonale... bardzo dobrze... oczywiście...

Teraz Astrolog podniósł się żywo i patrzył z zainteresowaniem na Erdosaina.

– I ściągniemy go pod pretekstem, żeby namówił Elbę do powrotu.

– Znakomicie. Niech się zastanowię chwilę. Wszystko, co pan obmyślił... jasne... jest bardzo dobre. Aha, niech mi pan jeszcze powie: czy ma on krewnych?

– Oprócz mojej żony nikogo.

– A gdzie mieszka?

– W jakimś pensjonacie. Córka właścicielki jest zezowata.

– Co powiedzą, kiedy Barsut zniknie?

– Mam pewien pomysł, to byłoby niezłe. Wyślemy właścicielce firmowany przez niego telegram z Rosario, w którym prosi, żeby przysłała jego kufry do jakiegoś hotelu, gdzie pan zamieszkałby pod nazwiskiem Gregorio Barsuta.

– Otóż to. Niezłe pan to obmyślił, wie pan? Plan jest doskonały, wszystko tu gra, kapitan, adresy z Ministerstwa, brak krewnych, mieszkanie w pensjonacie. Jest to bardziej przejrzyste niż partia szachów.

I zaczął krążyć po pokoju. Za każdym razem, kiedy przechodził koło kraty okiennej, ogród ciemniał, a na szafę padał cień sięgający aż belek sufitu. Miał rację Erdosain, że plan jest tak dokładny, „jakby go odciśnięto prasą o sile nacisku równej tysiącom kilogramów”. I kiedy tak w pokoju buty Astrologa dudniły głucho przy każdym kroku, Erdosain zaczął już żałować, że „plan” jest taki prosty i mało powieściowy. Wolałby jakąś przygodę bardziej awanturniczą, mniej geometryczną.

– Do diabła! To nie wygląda poważnie! W ten sposób każdy mógłby zostać mordercą!

– A Gregoria nic nie łączy z zezowatą?

– Nie.

– Więc dlaczego mi pan o niej powiedział?

– Nie wiem.

– A nie obawia się pan, że będą pana gryzły wyrzuty sumienia?

– Widzi pan, myślę, że tak się dzieje tylko w powieściach. W rzeczywistości postępowałem raz źle, raz dobrze, i tak w jednym, jak i w drugim przypadku nie czułem radości ani najmniejszych wyrzutów sumienia. Myślę, że przyjęło się nazywać wyrzutami sumienia lęk przed karą. Tutaj nikogo nie wieszają i tylko tchórze...

– A pan?

– Przepraszam. Nie jestem człowiekiem tchórzliwym. Jestem nieczuły, a to co innego. Niech się pan zastanowi. Skoro obojętnie pozwoliłem odebrać sobie żonę i dałem się spoliczkować facetowi, który mnie sypnął, tym bardziej obojętnie będę przyglądał się jego śmierci, pod warunkiem że nie zrobi się z tego jatki.

– Jasne. To logiczne. Wszystko u pana jest logiczne. Czy wie pan, Erdosainie, że z pana ciekawy człowiek?

– To samo mówiła mi żona. Nie przeszkodziło jej to odejść z innym.

– I pan go nienawidzi?

– Czasami. To zależy. Być może więcej w tym wstrętu fizycznego niż nienawiści. Prawdę mówiąc, nienawiści nie, bo nigdy nie możemy nienawidzić tych, o których wiemy, że są zdolni do popełnienia dokładnie takich samych świństw jak i my.

– Dlaczego więc chce go pan zabić?

– A dlaczego pan chce założyć stowarzyszenie?

– Czy sądzi pan, że ta zbrodnia będzie miała wpływ na pańskie życie?

– To mnie właśnie ciekawi. Czy moje życie, mój sposób widzenia świata, moja wrażliwość zmieniają się pod wpływem tej śmierci. A poza tym czuję już w sobie potrzebę zabicia kogoś. Chociażby dla własnej rozrywki, rozumie pan?

– I chce pan, żebym ja w tym panu pomógł?

– Jasne... bo dla pana skorzystać z tej sytuacji to tyle, co zdobyć dwadzieścia tysięcy pesos na założenie stowarzyszenia i burdeli...

– A jak pan wpadł na pomysł, że jestem zdolny do „tego”?

– Jak? Od dawna pana obserwuję. Ale pewności, że jest pan człowiekiem, który rzuci się w wir niebezpiecznych przygód, nabrałem przed rokiem, kiedy poznałem pana w Stowarzyszeniu Teozoficznym.

– Tak?

– Pamiętam, jakby to było przed chwilą. Jakaś handlarka węglem, siedząca po pana lewej stronie, rozmawiała o wędrówce dusz z pewnym szewcem. Czy zwrócił pan uwagę na skłonności szewców do nauk tajemnych?

– Tak?

– Pan podszedł wtedy do jakiegoś polskiego szlachcica, który pozostawał w kontakcie z duchem Sobieskiego.

– Nie pamiętam.

– A ja tak. Polski szlachcic, sam pan mi to później powiedział, pracował jako pomocnik murarski... Pan i ten Polak przeszliście od Sobieskiego do dyskusji o „zmysle orientacyjnym u gołębi” i pan odparł: „Mnie zmysł orientacji u gołębi interesuje tylko dlatego, że mogą one pośredniczyć przy jakimś większym szantażu”, i zaczął pan to wyjaśniać... No a kiedy pan skończył wywołując zdziwienie Polaka, handlarki i szewca, pomyślałem sobie: to śmiałek gotowy na wszystko...

– Ha, ha, ha! Sprytny z pana chłopak!

– Dobrze, a mówiąc szczerze, jak się panu podoba ten mój plan?

– Doskonały.

– Musi pan wziąć pod uwagę, że jest to jakby mechanizm złożony z trzech mechanizmów, które muszą działać harmonijnie, choć niezależnie. Pierwszy to porwanie. Drugi to pański pobyt w Rosario, gdzie poprosi pan i otrzyma bagaż na nazwisko Barsuta. Trzeci: zabójstwo i pozbycie się ciała.

– Zniszczymy trupa?

– Oczywiście. W kwasie azotowym albo w piecu... Jeżeli w piecu, to należy utrzymywać co najmniej pięćset stopni, żeby spaliły się także kości.

– Skąd pan to wszystko wytrzasnął?

– Wie pan, że jestem wynalazcą. Z tych dwudziestu tysięcy pesos część możemy poświęcić wytwarzaniu na szeroką skalę miedzianych róż. Już zleciłem jej wyprodukowanie pewnej zaprzyjaźnionej rodzinie. Być może jeden z tych chłopaków przystąpi do stowarzyszenia. Poza tym w ostatnich dniach wpadłem na pomysł elektromagnetycznego urządzenia sterowniczego do maszyny parowej Stephensona. Otóż to, co wymyśliłem, jest sto razy prostsze. Wie pan, czego mi teraz brak? Chciałbym wyjechać na pewien czas, pobyć trochę w górach i poduczyć się.

– Mógłby pan pojechać do kolonii, jaką założymy...

– A zatem zgadza się pan na ten plan?

– Aha, jeszcze jedno. Skąd Barsut ma te pieniądze?

– Przed trzema laty sprzedał posiadłość, którą dostał w spadku.

– I trzyma je w kasie oszczędnościowej...

– Nie, na rachunku bieżącym.

– To znaczy, że nie żyje z procentu?

– Nie, wydaje po trochu. Około dwustu pesos miesięcznie. Mówi, że nim się ta suma skończy, on już nie będzie żył.

– Ciekawe. Co to za facet?

– Twardy. Okrutny. Porwanie należy przemyśleć bardzo dokładnie, bo będzie się bronił jak dzikie zwierzę.

– Bardzo dobrze.

– Aha, jeszcze jedno, nim wyjdę. Czy powie pan coś Alfonsowi?

– Nie. To nasza tajemnica. Alfons będzie tylko organizował burdele, nic więcej. Pan zwraca jutro dług w firmie, tak?

– Tak.

– Aha, póki pamiętam. Znam pewnego drukarza. On dla nas robi formularz Ministerstwa Wojny.

Erdosain chodził chwilę po pokoju.

– Porwanie jest łatwe. Pan wyjeżdża do Rosario i prosi telegraficznie o przysłanie bagaży. Chodzi o to, że kiedy człowiek ma popełnić jakieś przestępstwo...

– Nie będzie to pierwsze, jakie popełnimy...

– Co?

– To oczywiste. Inną sprawą, która mnie niepokoi, jest utrzymanie tajemnicy w stowarzyszeniu. Obmyśliłem rzecz tak: w każdym punkcie kraju będzie działała komórka rewolucyjna. Komitet centralny będzie miał siedzibę w stolicy. Komitet ten będzie zorganizowany w następujący sposób: szef stolicy prowincji, członek komitetu centralnego, szef okręgu w danej prowincji, szef głównego miasteczka, członek komitetu głównego okręgu.

– Nie wydaje się to panu za skomplikowane?

– Nie wiem, to się jeszcze przemyśli. Inne szczegóły organizacyjne, które mi przyszły do głowy, to: każda komórka będzie miała nadajnik i odbiornik radiotelegraficzny, a poza tym każdego dziesięciu członków zobowiąże się kupić auto, dziesięć karabinów zwykłych i dwa maszynowe, zaś każdego stu musi sfinansować samolot wojenny, bomby itd. O awansach będzie decydowała rada najwyższa, wybory niższego stopnia będą się odbywać przy odpowiednim głosowaniu. Ale już pora spać. Za chwilę ma pan pociąg... a może chce pan przenocować u mnie?

Prawdę rzekłszy Erdosain nie miał nic do roboty. Zegar wybił już trzecią nad ranem, a słowa Astrologa dotarły do jego

świadomości jakby przez mgłę. Nic go nie obchodziło. Chciał odejść i tyle. Odejść daleko.

Uścisnął dłoń tamtego; Astrolog pożegnał go na schodach i przygnębiony Erdosain ruszył przez ogród. Kiedy już w mroku odwrócił głowę, oświetlone okno rzucało żółtą smugę, zawieszoną w środku ciemności.

Na drzewie

Świta. Erdosain stąpa ścieżką biegnącą wzdłuż zniszczonego chodnika przy willowych ogrodach. Chłód poranka przenika do najgłębszych komórek jego zmęczonych płuc. Choć niebo jest jeszcze czarne, ciemności zdają się przybliżać przedmioty, bo te bardziej odległe giną gdzieś na widnokręgu. U wylotów ulic szarozielone smugi zaczynają z wolna pąsowieć.

Erdosain idzie i myśli:

„Ponuro jak na pustyni. A ona śpi teraz z tamtym.”*

Nagle wilgotna jasność brzasku wypełnia ulice mlecznymi oparami.

Erdosain mówi do siebie:

– A jednak trzeba być twardym. Pamiętam, jak byłem dzieckiem. Wydawało mi się, że po szczytach chmur chodzą olbrzymi ludzie o rozwichrzonych czuprynach i długich członkach opromienionych światłem. W rzeczywistości istnieli oni w krainie Radości, jaka była we mnie. Tak! Zapomnieć sen to prawie tyle, co stracić majątek. Co ja mówię? Gorzej. Trzeba być twardym, to jedyna prawda. I nie mieć litości. I nawet kiedy jest się zmęczonym, powiedzieć sobie: Teraz jestem zmęczony, teraz mi żal, ale jutro będzie inaczej. Taka jest prawda. Jutro.

Erdosain zamyka oczy. Powietrze przesycone jest jakąś

* Uwaga komentatora: Dopiero później Erdosain dowiedział się, że o tej porze Elsa przebywała w towarzystwie pewnej siostry miłosierdzia. Jeden grubiański gest kapitana Belaude sprawił, że zdała sobie sprawę z własnej sytuacji i wyskoczyła z samochodu. Zdecydowała się pójść do szpitala, gdzie schronienia udzieliła jej siostra przełożona, która rozumiała, iż ma do czynienia ze zrozpaczoną kobietą nie panującą nad sobą.

tajemniczą świąteczną wonią, nie może rozpoznać, czy to tuberozy, czy goździki.

I myśli:

„Mimo to trzeba znaleźć w życiu odrobinę radości. Tak żyć nie sposób. Nie wolno. Na tę naszą biedę musi spłynąć trochę radości, bo ja wiem, coś piękniejszego niż szpetota ludzkiej twarzy, niż straszliwa ludzka prawda. Ma rację Astrolog. Trzeba wznieść imperium Kłamstwa, wspaniałych kłamstw. Ale kogo ubóstwiać? Znaleźć sobie drogę w tym gąszczu głupoty. Ba, ale jak?”

Erdosain z zaróżowionymi policzkami ciągnie swój monolog:

– Co z tego, że jestem mordercą albo się staczam. Czy ma to jakiegokolwiek znaczenie? Nie. Sprawa drugorzędna. Jest coś piękniejszego nad wszystkie ludzkie podłości: to radość. Gdybym umiał się cieszyć, szczęście uwolniłoby mnie od winy za tę zbrodnię. Radość jest najważniejsza. I kochać kogoś.

Niebo zaczyna się zielenić, ale niemrawe ciemności spowijają jeszcze pnie drzew. Erdosain marszczy brwi. Z jego duszy dobywają się opary wspomnień, złociste mgiełki, lśniące szyny gubiące się gdzieś w polu pod rozstłonecznioną kopułą nieba. I dziecięca twarz, blada twarzyczka z zielonymi oczyma i czarnymi lokami, umykającymi spod słomkowego kapelusika, wypływa na powierzchnię wspomnień.

Było to przed dwoma laty. Nie, przed trzema. Jak się nazywała? Maria, Maria Esther. Jak się nazywała? Słodka twarzyczka zajmuje teraz swym ciepłem całą powierzchnię snów. Tak wiele pamięta! Siedział przy niej, wiatr poruszał jej czarnymi lokami; nagle wyciągnął dłoń i koniuszkami palców dotknął rozplamionego podbródka dziewczyny. Gdzie może być teraz? Pod jakim dachem śpi? Czy pozna ją, jeśli kiedyś ją spotka? Przed trzema laty. Poznał ją w pociągu, rozmawiali ze sobą kilka minut w ciągu piętnastu dni, a potem znikła. I tyle, nic więcej. I nie wiedziała, że jest wszystkim zmęczony. Co też by pomyślała, gdyby się o tym dowiedziała? Tak, teraz sobie przypomina. Nazywała się Maria. Ale czy ma to jakiegokolwiek znaczenie? Nie. Było w tym coś jeszcze piękniejszego: słodkie ożywienie, które widział w jej oczach, chwilami zielonych, chwilami brązowych. I jej milczenie. Erdosain pamięta swoje podróże koleją: siedzi koło piętnastoletniej

dziewczyny, która oparła głowę o jego ramię, rozczesuje palcami jej loki, a ona drży cała w milczeniu. Gdyby wiedziała teraz, że on chce zabić człowieka, co by pomyślała? Może nie zrozumiałaby tego słowa. I Erdosain wspomina, jak z nieśmiałością licealistki podnosiła ramię i kładła dłoń na jego nieogolonym policzku: i być może to właśnie utracone szczęście potrzebne jest teraz do wymazania z człowieczej twarzy piętna szpetoty.

Erdosain przygląda się sobie zdziwiony. Dlaczego o tym wszystkim myśli? Jakim prawem? Od kiedy to kandydaci na morderców myślą? A jednak jest w nim coś, za co jest wdzięczny Naturze. Jest to pokora czy miłość? Nie wie, ale rozumie, że ten chaos uczuć jest na swój sposób przyjemny, i przychodzi mu do głowy, że biedna dusza zniewolona obłędem z wdzięcznością musi uwalniać się od ziemskich cierpień. A po tym odruchu litości jakaś nieubłagana, bez mała szydercza siła każe mu wykrzywić wargi w pogardliwym grymasie.

Bogowie istnieją. Żyją w ciele niektórych ludzi, pamiętających czasy, kiedy ziemia była jeszcze w powijakach. W nim także ukrywa się jakiś bóg. Czy to możliwe? Dotyka nosa, poturbowanego niedawnymi ciosami Barsuta, ale jakaś nieubłagana siła nie pozwala mu wątpić: pod swą obolałą skórą nosi boga. Ale czy kodeks karny przewiduje karę dla boga zabijającego człowieka? Co sobie pomyśli sędzia śledczy, jeśli mu odpowie: „Grzeszę, bo noszę w sobie boga”?

Ale czy tak nie jest? Ta miłość, ta siła, która każe mu iść o świcie pod drzewami kapiącymi w ciemnościach kroplami wilgoci, czy nie jest to cecha boska? I znowu na powierzchni jego wspomnień pojawia się tamten obraz: owalna blada twarzyczka o zielonych oczach i czarnych lokach, które wiatr okręca wokół szyi... Jakie to proste! Nie musi nawet nic mówić, tak doskonały jest jego zachwyt. I nie byłoby nic w tym nieprawdopodobnego, gdyby oszalał rozmyślając pod mokrymi drzewami o tamtej licealistce. A skoro nie, to jak wytłumaczyć sobie, że jego dusza różni się teraz tak bardzo od tej, która dręczyła go w nocy? A może w nocy mogą się rodzić tylko mroczne myśli? Nawet gdyby tak było, nie ma to znaczenia. Jest teraz kimś innym. Uśmiecha się pod drzewami. Czy nie jest to wszystko cudownie idiotyczne? Smutny Alfons, ślepa prostytutka, Ergueta z legendą Chrystusa, As-

trolog, wszystkie te niepojęte zjawy mówiące ludzkim językiem, znajdujące ziemskie słowa – czym są przy nim, gdy tak stoi oparty o słup koło żywoplotu i czuje, że strumień życia ociera się o jego pierś?

Jest innym człowiekiem i na myśl o dziewczynie z pociągu, trzymającej głowę na jego ramieniu, Erdosain przymyka oczy. Cierpki zapach ziemi przeszywa go dreszczem. Chwilowe zmęczenie przyprawia go o zawrót głowy.

Jakiś mężczyzna idzie drogą. Ze stacji dociera ostry gwizd. Inni mężczyźni w czapkach lub przekrzywionych kapeluszach mijają go z daleka.

Właściwie jaki diabeł sprowadził go tutaj? Erdosain robi oko, ma świadomość, że zwodzi Boga, że udaje tylko człowieka, który nie potrafi ująć przed bożą klątwą. Chwilami ciemności zaćmiewają mu wzrok, a jakieś głuche uniesienie pęta zmysły. Chciałby wtedy niszczyć. Poderwać się przeciw zdrowemu rozsądkowi. Gdyby zobaczył po drodze stóg siana, podpaliby go... Coś odrażającego wykrzywia jego twarz: jest to gniewny grymas szaleństwa; spogląda nagle na drzewo, jednym skokiem chwytą się gałęzi i czepiając się pnia nogami, pomagając sobie łokciami, wdrapuje się na akację.

Buty ślizgają się po gładkiej korze, liście uderzają go miękko po twarzy, wyciąga ramiona, czepia się jakiegoś konara i wystawia głowę spod mokrych liści. Na dole ulica opada ku archipelagowi drzew.

Jest na drzewie. Naruszył zdrowy rozsądek ot, tak, bez powodu, jak morderca, który zabija przypadkowego przechodnia, po to tylko, aby przekonać się, czy go złapie policja. Od wschodu, na zielonkawym niebie, rysują się wyraziście posępne kominy, dalej pagórki zieleni niczym potężne stada słoni wypełniają dolinę Banfield, i taki sam smutek jest także w nim. Nie wystarczy zadać gwałtu rozsądkowi, żeby czuć się szczęśliwym. Ale jeszcze raz usilnie próbuje i krzyczy:

– Hej wy, śpiące bydlęta... przysięgam, że... nie, zaraz... precz z prawem zdrowego rozsądku, pokorne cielęta!... Nie. Chcę obwieścić, że koniec z tchórzostwem i dawnym życiem! Nie jestem małpą, nie wlałem na palmę, tylko na akację: hej wy, śpiące bydlęta!

Nagle traci siły. Rozgląda się dookoła jakby zdumiony, że się tu znalazł, nagle ożywa w nim wspomnienie dawno znanej dziewczyny i ogromnie zawstydzony całą tą komedią* złazi z drzewa. Przegrał. Jest znowu nieszczęśliwy.

* Uwaga komentatora: Dwa wyjaśnienia do tej komedii złożył mi Erdosain. Pierwsze: że czuł ogromną przyjemność symulując obłąd, przyjemność porównywalną do tej, jakiej doświadcza człowiek, który po wypiciu szklanki wina chcąc zaniepokoić przyjaciół udaje, że jest pijany. Uśmiechał się przy tym smętnie i stwierdził, że po zejściu z akacji ogarnął go podobny wstyd, jaki zapewne czuje pechowiec, który w czasie karnawału, zamiast bawić innych swym przebraniem, słyszy tylko pogardliwe epitety. „Czułem do siebie takie obrzydzenie, że miałem nawet ochotę się zastrzelić i żalowałem, że nie mam rewolweru. Potem dopiero, gdy się rozbierałem w domu, dotarło do mojej świadomości, że zupełnie zapomniałem o rewolwerze w kieszeni spodni.”

Rozdział drugi

Dnie, które poprzedziły porwanie Barsuta, Erdosain spędził w pokoju pewnego pensjonatu, dokąd przeprowadził się tymczasem po uregulowaniu długu w Limited Azucarer Company. Czuł lęk przed ulicą. Nie myślał w ogóle o zamierzonym porwaniu, a nawet przestał odwiedzać Astrologa. Spędzał całe dnie w łóżku, z dłońmi na poduszce i z twarzą na dłoniach. Niekiedy godzinami wpatrywał się w ścianę, po której, jak się mu wydawało, snuły się ku górze mgielki snów i rozpaczy.

Przez cały ten okres nie był w stanie odtworzyć w pamięci twarzy Elsy.

– Odeszła z mego serca w sposób tak tajemniczy, że z dużym trudem przypominałem sobie rysy jej twarzy.

Potem drzemał lub rozmyślał.* Próbował, choć bezskutecznie, zająć się dwoma projektami, które uznał za ważne: elektromagnetycznym urządzeniem do maszyn parowych oraz farbiarnią dla psów, która rzuciłaby na rynek kundle o sierści niebieskiej, zielone buldogi, fioletowe charty, liliowe foksterriery, małe ratlerki z kolorowymi widokami zachodu słońca na grzbiecie, suczki pomalowane w arabeski niczym perskie dywany. Był niespokojny, pewnego wieczoru zdrzemnął się i miał taki sen: Wiedział, że jest narzeczonym jednej z córek królewskich. Fakt ten w połączeniu z tym, że był dworzaniem Jego Królewskiej Mości Alfonsa XIII, cieszył go niepomniernie, tym bardziej że otaczali go wciąż generałowie i uśmiechali się porozumiewawczo. Tafla wody kołysała pniami drzew kwitnących najbielszym kwieciem, a infantka, smukłe dziewczę, trzymała go za rękę i sepleniała z kastylijska:

– Miłujecie mnie, Erdosainie?

* Uwaga komentatora: Mówiąc o tamtym okresie Erdosain zwierzał się: „Myślałem, że dano mi duszę po to, abym się cieszył pięknem świata, blaskiem księżyca nad pomarańczowymi grzbietami chmur i drżącą kroplą rosy na róży. A kiedy byłem mały, cały czas wierzyłem, że los ześle mi jakieś niezwykle doznania, wzniosłe i piękne. W miarę jednak jak poznawałem życie innych ludzi, odkrywałem, że są nim znudzeni, jakby mieszkali w kraju wiecznego deszczu, którego krople zalewają oczy i zniekształcają obrazy. I zrozumiałem, że dusze blakają się po ziemi niczym ryby uwięzione w akwarium. Po drugiej stronie tych zielonkawych, szklistych murów toczy się inne życie, wspaniałe, pełne muzyki, gdzie wszystko jest inne, silniejsze i różnorodnie i gdzie nowe istoty, stworzone w sposób doskonalszy, unoszą swe piękne ciała w bezkresnych przestworzach. Wtedy powtarzałem sobie: Wszystko to na nic, trzeba uciekać z tej ziemi.”

Erdosain zaniósł się śmiechem i odpowiedział królownie grubiańsko: krąg szpad błysnął przed jego oczyma i poczuł, że tonie, kataklizmy raz po raz pustoszyły kontynenty, ale on od stuleci spoczywał na dnie morza w ołowianej skrzyni. Przed szklanym okienkiem krążyły jednookie rekiny, wściekłe, gdyż dokuczały im hemoroidy, a Erdosain cieszył się skrycie, chichotał jak człowiek, który nie chce, by go usłyszano. Wszystkie morskie ryby miały teraz po jednym oku, a on był władcą tego Państwa Jednookich Ryb. Wieczny mur opasywał pustkowie nad morzem, zielone niebo rdzewiało na ceglach muru, a fale wyrzucały na ściany czerwonych wież miriady grubych i jednookich ryb, potwornych, brzuchatych ryb, trawionych morskim trądem: jakiś spuchnięty czarnuch wygrażał pięścią idolowi z soli.

Innym znów razem Erdosain wspominał czasy minione, kiedy to przewidywał obecne wydarzenia, jak się był zwierzył tamtego wieczoru kapitanowi. Głuchą udrękę, swoje zmagania z rzeczywistością, która kazała mu teraz powtarzać:

– Miałem rację, nie myliłem się.

W ten sposób przypomniał sobie, że pewnego wieczoru Elsa wyznała mu w chwili szczerości, że gdyby była panną, nie wyszłaby za męża, ale poszukała sobie kochanka.

Erdosain zapytał:

– Mówisz poważnie?

Z drugiego łóżka Elsa powtórzyła z uporem:

– No jasne, miałabym kochanka... po co wychodzić za męża?

Dziwna sprawa: Erdosain doznał nagle uczucia, że zapadła śmiertelna cisza, że ciało jego spoczywa w trumnie. Możliwe, że w tym momencie umarła w nim cała ta nieświadomiona miłość, jaką mężczyzna darzy kobietę i która potem pozwala mu stawić czoło najtrudniejszym sytuacjom, nie do zniesienia, gdyby nie istniał ów fenomen. Zdawało mu się, że leży w grobie, pomyślał, że nigdy już nie ujrzy światła, i w tej ulotnej mrocznej ciszy wypełniającej pokój błąkały się tylko duchy zrozpaczone słowami jego żony.

Potem, wyjaśniając mi to wszystko, przypomniał, że leżał w łóżku nieruchomo, jakby w obawie, że wytrąci z równowagi własne nieszczęście, które nieubłagane wtłaczało jego ciało w bezmiar przygnębienia.

Jego serce łomotało ciężko. Zdawało mu się, że każdy

skurcz i rozkurcz musi pokonać ciśnienie jakiejś sprężystej masy błota. I nie miały sensu jakiegokolwiek próby pochwylenia rękoma słońca wiszącego nad nim. A głos żony dźwięczał znowu w jego uszach:

– Nie wyszłabym za mąż. Poszukałabym sobie kochanka.

I słowa te, na których wymówienie potrzebowała nie więcej niż paru sekund, będą w nim odtąd rozbrzmiewały przez resztę życia, zadomowione w jego wnętrzu jak ból. I zgrzytał zębami. Chciał cierpieć jeszcze więcej, zapomnieć się w bólu, wykrwawić się powolnym strumieniem smutku. I z rękoma przywartymi do ud, sztywny jak nieboszczyk w trumnie, nie odwracając głowy, panując nad przyspieszonym oddechem, zapytał świszczącym głosem:

– I kochałabyś go?

– Po co?... Zresztą, kto to wie... Tak, gdyby był dobry, dlaczego nie?...

– A gdzie byście się spotykali? Bo u ciebie w domu nie tolerowano by tego.

– W jakimś hotelu.

– Ach tak!

Zamilkli, ale Erdosain w bezmiarze swego nieszczęścia już widział, jak Elsa stąpa po brukowanej ulicy. I jak idzie szerokim chodnikiem. Szary woal zakrywa jej twarz do połowy, idzie tam, dokąd prowadzi ją pożądanie, spieszy krokami szybkimi i zdecydowanymi. I pragnąc zadrzeć tę odrobinę nadziei, jaka w nim jeszcze została, Erdosain ciągnął z nieszczerym uśmiechem, którego Elsa nie mogła widzieć w ciemności, i łagodnym głosem, aby nie zauważyła, że wargi drżą mu z gniewu:

– Widzisz? To jest dobre w małżeństwie mówić tak o wszystkim z braterskim zaufaniem. A powiedz, rozbierałabyś się przed nim?

– Nie mów głupstw!

– Nie, powiedz, rozbierałabyś się?

– No... jasne. Nie byłabym cały czas ubrana!

Gdyby jednym uderzeniem strzaskano mu kręgosłup, nie zeszywniałby bardziej. W gardle zaschło mu, jakby wdarł się tam podmuch gorącego powietrza. Serce ledwo się tłukło: poczuł, że jego myśli błakają się we mgle, która umyka sprzed oczu. Zapadł w ciszę i mroki, łagodnie pogrążył się w nicość, a jego ciało zastygło w bezruchu po to tylko, aby ból dręczył go

coraz bardziej. Milczał, a przecież chciałby zaszlochać, paść przed kimś na kolana, podnieść się w tej samej chwili, ubrać się i wyjść, zasnąć gdzieś w ogrodzie, na progu nieznanego miasta.

ErDOSain oszalały wrzasnął:

– Ale czy zdajesz sobie sprawę?... Zdajesz sobie sprawę z okropności, potworności tego, coś mi powiedziała? Powiniennem był cię zabić! Jesteś suką! Trzeba cię było zabić, tak, zabić. Rozumiesz?

– Co się z tobą dzieje! Oszalałeś?

– Jesteś zakałą mego życia! Teraz wiem, dlaczego mi się nie oddawałaś i zmuszałaś mnie do masturbacji! Tak, do tego! Zrobiłaś ze mnie szmatę. Powiniennem był cię zabić. Byle kto może mi plunąć w twarz. Rozumiesz? I kiedy ja kradnę i oszukuję, i cierpię dla ciebie, ty... tak, ty myślisz o tym. Że oddałabyś się jakiemuś lepszemu facetowi! Czy ty to rozumiesz? Lepszemu facetowi. Tak, lepszemu facetowi!

– Co ty... zwariowałaś?

ErDOSain ubierał się szybko.

– Dokąd idziesz?

Narzucił na plecy płaszcz; potem, pochyliwszy się nad łóżkiem kobiety, zawołał:

– Wiesz, dokąd idę? Do burdelu, żeby złapać syfa.

Naiwność i głupota

Kronikarz tej historii nie ma odwagi charakteryzować ErDOSaina: spotkało go w życiu tak wiele niepowodzeń, że wszystkie te nieszczęścia, jakie ściągnął na siebie działając razem z Astrologiem, można by tłumaczyć urazami psychicznymi z okresu małżeństwa.

Nawet dzisiaj, kiedy wracam pamięcią do wyznań ErDOSaina, wydaje mi się nieprawdopodobne, że byłem świadkiem tak wielkiego wybuchu żalu i cynizmu.

Przypominam to sobie. Wyznał mi wszystko w ciągu tych trzech dni, kiedy schronił się w moim domu.

Spotkaliśmy się w dużym pustym pokoju, do którego docierało niewiele światła.

ErDOSain siadał na brzegu krzesła ze zgarbionymi plecami, łokciami opartymi na udach, policzkami za kratą palców i spojrzeniem wbitym w podłogę.

Mówił głucho, bez przerwy, jakby recytował lekcję wyuczoną na pamięć, wtłoczoną na siłę do jego mrocznej świadomości. Ton jego głosu, bez względu na charakter wydarzeń, był wciąż taki sam, bezbarwny, monotony, jak tykotanie zegarka.

Kiedy mu przerywałem, nie denerwował się, tylko podejmował opowieść od nowa, dodając szczegóły, o które prosiłem, cały czas z pochyloną głową, z oczyma wbitymi w podłogę i łokciami opartymi na kolanach. Opowiadał powoli, z przesadną troską o to, żeby niczego nie poplątać. Obojętnie relacjonował wszystkie doznane krzywdy. Wiedział, że umrze, że ludzka sprawiedliwość szuka go zawzięcie, a jednak mówił obojętnie, z rewolwerem w kieszeni, z łokciami na kolanach, twarzą podpartą dłonią i wzrokiem wbitym w zakurzoną pustkę tego dużego pokoju.

W ciągu tych kilku dni bardzo wychudł. Żółta skóra opinająca kości policzkowe nadawała mu wygląd suchotnika. Dopiero potem badania wykazały, że choroba była już bardzo zaawansowana.

– Zostaw mnie w spokoju! Nie widzisz, że budzisz we mnie wstręt? – mówiła ona.

– Na długo przed ślubem z przerażeniem myślałem o zbliżeniu z kobietą. W moim wyobrażeniu mężczyzna żenił się po to tylko, żeby zawsze być z wybraną osobą i cieszyć się o każdej porze jej obecnością: rozmawiać, kochać się spojrzeniami, słowem i uśmiechem. Jasne, że byłem wtedy jeszcze zielony, ale jako narzeczony Elsy poczułem potrzebę nawrotu do tego wszystkiego.

Tak mówił.

ErDOSain nigdy nie pocałował Elsy, gdyż wystarczyło mu do szczęścia, że uczucie do niej ścisła go za gardło, a poza tym uważał, że „panny nie należy całować”. I mylił niewinność z tym, co w istocie było pożądaniem jej ciała.

– Nie mówiliśmy również do siebie „ty”, gdyż odpowiadał mi ów dystans między nami, jaki narzucało słowo „pani”. Myślałem poza tym, że do panny nie mówi się „ty”. Proszę się nie śmiać. W moim wyobrażeniu panna była uosobieniem czystości, doskonałości i niewinności. Przy niej nie czułem

pożądania, lecz niepokój słodkiego zachwycenia wypełniający mi oczy łzami. I byłem szczęśliwy, bo kochałem i cierpiałem nie znając celu mego pożądania, bo wierzyłem, że miłość duchowa to właśnie owe organiczne i straszliwe dreszcze uszczęśliwiające mnie, gdy jej spokojne i czyste spojrzenie przenikało wolno drżące pokłady mej duszy.

Kiedy tak mówił, przyglądałem mu się. Był zabójcą, mordercą, a rozprawiał o subtelnościach jakiegoś niedorzecznego uczucia! A on ciągnął:

– A po ślubie, kiedy zostaliśmy sami w hotelowym pokoju, rozebrała się z całkowitą naturalnością przy zapalanej lampie. Zaczerwieniony po uszy, odwróciłem głowę, żeby jej nie widzieć i żeby nie odkryła mego zawstydzenia. Potem odpiąłem kołnierzyk koszuli, zdjąłem marynarkę, buty i w spodniach wsunąłem się pod prześcieradło. Ona, z czarnymi lokami na poduszce, odwróciła do mnie twarz i rzekła ze zdziwionym uśmiechem:

– Nie boisz się, że ci się pogniotą? Zdejmij je, głuptasie!

Później coś tajemniczego oddaliło Elbę od Erdosaina. Oddawała mu się niekiedy, ale z odrazą, nie wiedząc czemu zniechęcona. A on klękał przy wezglowiu jej łóżka i błagał, aby mu się oddała na chwilę, ale kobieta głosem głuchym ze zniecierpliwienia odpowiadała prawie z krzykiem:

– Zostaw mnie w spokoju! Nie widzisz, że budzisz we mnie wstręt?

Dławiąc w sobie lęk przed ostateczną katastrofą, Erdosain wracał na swoje posłanie.

– Nie kładłem się, siedziałem tylko, oparty plecami o poduszkę, wpatrzony w mrok. Wiedziałem, że nie ma tam nic, na co można by patrzeć, ale wyobrażałem sobie, że ona, widząc mnie w ciemnościach, równie opuszczonego, ulituje się wreszcie i powie: „Dobrze, jak już chcesz, to chodź.” Ale nigdy, nigdy nie powiedziała mi tego, aż pewnej nocy krzyknąłem zrozpaczony:

– I co ty sobie myślisz... że będę się cały czas onanizował?

A wtedy ona spokojnie odparła:

– To wszystko nie ma sensu: nie powinnam była za ciebie wychodzić.

I dopadł go żal tak wielki, że Erdosain chwycił się nagle za głowę oszalały z fizycznego bólu. Wydawało mu się, że mózg odrywa się od czaszki i uderza o jej ściany przy najmniejszym nawet myślowym wysiłku.

Wiedział, że jest nieodwołalnie zgubiony, że nie zazna szczęścia, które przecież pojawia się jak uśmiech na najbledszej nawet twarzy: rozumiał, że przeznaczenie rzuciło go między tłum odludków zaśmiecających życie własną niegodziwością i cierpieniami.

Utracił wszelką nadzieję, a lęk przed życiem stawał się silniejszy, ilekroć myślał, że nigdy już nie będzie miał złudzeń, kiedy ze wzrokiem utkwionym w jeden kąt pokoju stwierdzał, że jest mu obojętne, czy znajdzie pracę w knajpie, czy też będzie posługaczem w burdelu.

Jakie to ma znaczenie! Przygnębienie zrównało go z resztą tych okropnych mężczyzn, którzy przez cały dzień obnoszą swoją nędzę sprzedając świecidełka lub Biblię, a wieczorem wałęsają się po publicznych ubikacjach, gdzie pokazują genitalia chłopaczkom wpadającym tam z podobnymi potrzebami.

To przekonanie wtrącało go w stan odrętwienia i ponurych rozmyślań. Czuł się jakby zamknięty w kamiennej bryle, z której nie było ucieczki.

Nie mógł otrząsnąć się z tego przygnębienia i wkrótce odkrył, że dusza jego trapi się losem ciała, które on sam widział tylko wtedy, gdy stawał przed lustrem.

Dawniej otaczał się w myślach wszelkiego rodzaju wygodami i przyjemnościami, które, nie krępowane materią, nie znały ograniczeń, podczas gdy obcy smutek dotyczył jego ciała, cierpiącego i, jak się chwilami Erdosainowi wydawało, nie należącego do niego, choć dalej pełnego skrupułów, że nie przyniosło mu szczęścia.

Smutek ten, ilekroć myślał o swym biednym ciele, stawał się równie głęboki jak ból matki, która nigdy nie mogła spełnić życzeń dziecka.

Bo nie dał ciału, które miało żyć tak krótko, ani uczciwej odzieży, ani radości, która by je pogodziła z życiem: nie uczynił nic dla materii, podczas gdy duszy nie poskąpił nawet

opisu krain, na dotarcie do których ludzie nie znaleźli jeszcze sposobu.

I powtarzał wielokrotnie:

– Co zrobiłem, żeby memu nieszczęsnemu ciału dać odrobinę radości?

Bo prawdą było, że chwilami wydawało mu się równie obce jak beczka dla zawartego w niej wina.

Potem przychodziło mu do głowy, że ciało jest zbiornikiem dla jego myśli, że karmi je własną zmęczoną krwią: liche ciało, lichy ubrane, na które żadna kobieta nie raczyła nawet spojrzeć, a które czuło pogardę i brzemię dni, za co jedynie odpowiedzialne były jego myśli – te zaś nigdy nie pożyły przyjemności, jakich ono domagało się w milczeniu, nieśmiało.

Erdosain litował się, troskał się o swego zewnętrznego sobowtóra, dla którego był prawie obcy.

I wtedy, jak zrozpaczony człowiek rzucający się z siódmego piętra, z rozkosznym lękiem zaczynał się onanizować, jakby chcąc się pozbyć wyrzutów sumienia w świecie, z którego nikt nie mógł go wygnać, wśród przyjemności, jakich nigdy w życiu nie zaznał, otoczony rojem pięknych ciał, które wymagałyby niejednego życia i mnóstwa pieniędzy, aby móc się nimi cieszyć.

Był to świat lepkich myśli, pocięty zaułkami, w których wyuzdanie stroiło się w jedwabie i koronki, i aksamity, i najdroższe gipiury: świat olśniewający swą wieczorną miazgą. Poruszały się tam najpiękniejsze kobiety, nieznane ślicznotki, które odkrywały przed nim swe piersi niczym jabłka i podawały jego ustom gorzkim od tanich papierosów pachnące wargi, i szeptały słowa nabrzmiałe zmysłowością.

Były tam zarówno wysokie, smukłe i śliczne dziewczyny, jak i zdeprawowane licealistki, wieloraki świat kobiet, skąd nikt już nie mógł go usunąć, jego, ofiary losu, na którego nawet bajzel mamy w najnędrniejszych burdelach patrzyły podejrzliwie, jakby nie chciał płacić za usługę.

Zamykał oczy i wchodził w płonące ciemności, zapominał o wszystkim jak palacz opium, który po wejściu do brudnej palarni jakiegoś cuchnącego odchodem Chińczyka wierzy, że trafił do nieba.

I przez chwilę oddawał się ukradkiem pokątnej rozkoszy,

zawstydzony, ale z niecierpliwością młodzieńca wchodzącego po raz pierwszy do domu publicznego.

Pożądanie brzęczało mu w uszach niczym giez, ale nikt nie mógł już go wyrwać ze zmysłowych mroków.

Ciemności te stawały się domem, w którym nagle życie traciło swą pospolitość. W tym czarnym domu przywykł do najstraszliwszych uciech, choć już samo podejrzewanie kogoś o nie kazałoby mu zerwać znajomość z tą osobą.

Choć dom ten był w nim samym, Erdosain wchodził do środka po długich wybiegach, krętych podstępach, ale kiedy już przestąpił próg, wiedział, że nie ma powrotu, bo korytarzem czarnego domu, niezwykłym korytarzem zawsze tonącym w półmroku, szybkimi krokami szła mu na spotkanie kobieta, która kiedyś na ulicy, w tramwaju lub w czyimś domu wzbudzała jego pożądanie.

Jak ktoś, kto wyjmuje z portfela pieniądze zdobyte po wielu trudach, Erdosain wyciągał z alkowy czarnego domu kobietę złożoną ze stu kobiet poćwiartowanych stoma jednakowymi pragnieniami, ożywającymi zawsze w obecności nowych kobiet.

Ta na przykład miała kolana dziewczyny, której, jak kiedyś zauważył, wiatr uniósł spódnicę, gdy na przystanku czekała na autobus, i uda z pewnej pornograficznej pocztówki, smutny i omdlewający uśmiech licealistki spotkanej dawno temu w tramwaju, zielonkawe oczy młodej modystki z pieprzykiem koło białych ust, która w niedzielę wieczorem chodziła z przyjaciółką na tańce do parku, gdzie sklepikarze popychają swymi wzdętymi rozporkami puszczałskie panny.

Ta urojona kobieta, ulepiona z ciała kobiet, których nigdy nie mógł osiąść, przeżywała z nim teraz rozkosz znaną wszystkim roztropnym paniątkom, które choć grzebały dłońmi w spodniach swych narzeczonych, nie przestawały być przez to przyzwoite. Szła mu na spotkanie. Szeroki pas opinał jej pośladki, a jej krągłe piersi były nagie, i miała manie-ry równie nienagane jak dobrze wychowana i rozsądna pannie-ka, której nie przeszkadzało jednak, że narzeczony wciskał palce pod jej niedopięty przez zapomnienie biu-sonsz.

Potem ginał w otchłani czarnego domu. Czarny dom! Erdosain zachował z tamtych czasów jedno odrażające wspomnienie: miał uczucie, że trafił do piekła, i ten obraz prześladował

go odtąd nieustannie, i nawet na kilka dni przed śmiercią zdawało mu się, że jest ścigany przez sprawiedliwość.

Ilekcroć wracał pamięcią do tamtego okresu, ożywiało się ponuro, czerwony płomień migotał mu przed oczyma i tak wielka była jego furia, że jednym skokiem chciałby dotrzeć dalej niż gwiazdy, spłonąć w ogniu, który oczyściłby jego teraźniejszość z tamtej straszliwej przeszłości, natarczywej i nieuniknionej.

Czarny dom! Jeszcze teraz widzę przed sobą kamienną twarz milczącego mężczyzny, który nagle podnosi głowę ku bezchmurnemu niebu, potem kieruje wzrok na mnie i mówi z kwaśnym uśmiechem:

– No niech pan powie ludziom, czym jest ten czarny dom. I że jestem mordercą. Ale to ja, morderca, kochałem wszystko, co piękne na świecie, i sam zmagalem się ze straszliwymi pokusami, które rosły we mnie z godziny na godzinę. Cierpiałem za siebie i innych, rozumie pan? Także za innych...

Zawiadomienie

Porwanie nastąpiło w dziesięć dni po ucieczce Elsy. Czternastego sierpnia Erdosain gościł u siebie Astrologa, a po powrocie, jako że wychodził jeszcze z domu, znalazł pod drzwiami kopertę. Zawierała sfalszowane pismo Ministerstwa Wojny zawiadamiające Erdosaina o rzekomym miejscu pobytu kapitana Belaude i taki oto interesujący dopisek:

„Będę czekał na pana i Barsuta aż do dwudziestego, codziennie rano między dziesiątą a jedenastą. Niech pan zapuka i natychmiast wejdzie. Proszę nie przychodzić do mnie samemu.”

Erdosain przeczytał list od Astrologa i zamyślił się.

Zapomniał o Barsucie. Wiedział, że ma go zabić, potem postanowienie to jakoś się rozwiało, a owe dni oczekiwania spędzone w odrętwieniu minęły na zawsze. „Miałem zabić Barsuta.” Wytłumaczenie słowa „miałem” jest znamienne dla obłądu Erdosaina. Kiedy go o to zapytałem, odparł: „Miałem go zabić, gdyż w przeciwnym razie nie mógłbym żyć spokoj-

nie. Zabójstwo Barsuta to dla mnie warunek konieczny do istnienia – jak czyste powietrze dla innych.”

Tak więc gdy tylko otworzył list, poszedł do Barsuta.

Mieszkał on w pensjonacie przy ulicy Uruguay, w ciasnym i zapuszczonym domu pełnym lokatorów najróżniejszego autoramentu. Właścicielka tej meliny zajmowała się spirytyzmem, miała zezowatą córkę i była bezwzględna w ściąganiu komornego. Pensjonariusz, który spóźnił się choćby o jedną dobę z zapłatą, mógł być pewien, że wieczorem znajdzie swoje kufry i inne graty na podwórku.

Zjawił się tam o zmierzchu. Gregorio właśnie się golił, kiedy Erdosain wszedł do jego pokoju. Barsut przerwał, blady, z brzytwą na policzku, potem obrzucił Erdosaina spojrzeniem i zawołał:

– Czego tutaj szukasz?

„Ktoś inny obruszyłby się – komentował później Erdosain. – Ja przyglądałem mu się z przyjaznym uśmiechem, bo czułem się w tamtej chwili jego przyjacielem, i nie mówiąc ani słowa podałem mu pismo z Ministerstwa Wojny. Niewytłumaczalna radość nie pozwalała mi stać spokojnie, pamiętam, że przysiadłem na minutę na brzegu łóżka, potem wstałem i nerwowo chodziłem po pokoju.”

– A zatem jest w Temperley. Chcesz, żebyśmy pojechali po nią?

– Tak, o to właśnie chodzi. Żebyś i ty pojechał po nią.

Barsut wymruczał coś, czego Erdosain nie zrozumiał; potem zaczął sobie rozcierać ramiona, aż naskórek lekko się zaróżowił. Zabierał się do golenia wąsów; zawiesił brzytwę w powietrzu i odwróciwszy głowę powiedział:

– Wiesz? Myślałem, że nigdy nie odważysz się mnie odwiedzić.

Erdosain wytrzymał pręgowate, zielone spojrzenie – Barsut miał rzeczywiście tygrysi pysk – i skrzyżowawszy ręce rzekł:

– To prawda, ja również tak myślałem, ale jak widzisz, sprawy mają się inaczej...

– Boisz się iść sam?

– Nie, po prostu chciałbym widzieć także ciebie wplątane-go w tę przygodę...

Barsut zacisnął zęby. Z brodą w mydlanej pianie i z pomarszczonym czołem skarcił Erdosaina wzrokiem i powiedział:

– Widzisz, zawsze uważałem się za kanalię, ale myślę, że

ty... jesteś jeszcze gorszy. W końcu, niech się dzieje wola boska.

– Dlaczego mówisz: niech się dzieje wola boska?

Barsut stanął przed lustrem, podparł się rękoma w pasie, a to, co powiedział, nie zaskoczyło Erdosaina, który ze spokojną twarzą wysłuchał następujących słów:

– Kto powiedział, że to pismo nie jest podrobione i że nie szykujesz na mnie pułapki, żeby mnie zabić?

– Jaka dziwna jest dusza człowieka! – komentował później Erdosain. – Słuchałem tego i nie drgnął mi ani jeden mięsień twarzy. W jaki sposób Gregorio odgadł prawdę? Nie wiem. A może on również miał wyobraźnię równie chorą jak moja?

Zapalił papierosa i powiedział tylko:

– Rób, jak chcesz.

Ale Barsut, którego naszła ochota na rozmowę, odparł:

– A właściwie czemu nie? No powiedz sam: czemu nie? Co byłoby niezwykłego w tym, że chcesz mnie zabić? To logiczne. Chciałem ci zabrać żonę, zadenuncjowałem cię, spoliczkowałem, do diabła! Byłbyś świętym, gdybyś nie miał chęci mnie zabić.

– Święty? Nie, kochasiu, żaden święty. Ale mogę przysiąc, że jutro cię nie zabiję. Kiedy indziej tak, ale nie jutro.

Barsut zarechotał wesoło.

– Wiesz, Remo, jesteś wspaniały! Kiedy indziej mnie zabijesz. Ciekawe! Wiesz, co mnie najbardziej w tym wszystkim interesuje? Wyraz twarzy, jaki wtedy przybierzesz. Powiedz mi, będziesz poważny czy wybuchniesz śmiechem?

– Prawdopodobnie będę poważny. Nie wiem. Myślę, że tak. Zrozumiesz, że zabić kogoś to nie przelewki.

– A nie boisz się więzienia?

– Nie, bo przedsięwziąłbym środki ostrożności, a twoje ciało zniszczyłbym w kwasie siarkowym...

– Jesteś okropny... Przy okazji, mam nie najlepszą pamięć: czy zwróciłeś dług w firmie?

– Tak.

– Kto ci dał pieniądze?

– Taki jeden alfons.

– Masz przyjaciół niewielu, ale za to dobrych... Dobra, więc o której przyjdiesz po mnie jutro?

– O ósmej facet wychodzi do dowództwa... a zatem...

– Popatrz no, nie mogę uwierzyć, że to prawda, ale jeśli

Elsa tam jest, to sprawię jej takie lanie, że długo popamięta.

Po wyjściu Erdosain ruszył na pocztę, skąd nadał telegram do Astrologa.

Przygnębienie

Tej nocy nie spał. Był krańcowo wyczerpany. I o niczym nie myślał. Stan ten próbował opisać przede mną następującymi słowami:*

– Dusza jakby oddala się na pół metra od ciała. Niezwykły zanik mięśni, nie kończący się niepokój. Zamyka pan oczy i wydaje się, że ciało rozplywa się w nicości, nagle przypomina pan sobie jakiś zagubiony szczegół spośród tysięcy dni całego życia: niech pan nigdy nie zabija, jest to nie tyle straszne co smutne. Czuje pan, że rwą się jeden po drugim więzy łączące pana z cywilizacją, że wchodzi pan w mroczny świat barbarzyństwa, że wkrótce straci panowanie nad sterem. Mówią, i o tym powiedziałem Astrologowi, że bierze się to z braku przestępczej rutyny, ale tak nie jest, nie. W rzeczywistości chciałby pan żyć jak inni, jak inni być uczciwym, mieć dom, żonę, wyglądać przez okno, żeby popatrzeć na przechodniów, a mimo to nie ma ani jednej komórki w pańskim ciele, która nie uległaby fatalizmowi słów: muszę go zabić.

Powie pan, że próbuję uzasadnić własną nienawiść. Czy można inaczej, skoro mam uczucie, że żyję we śnie? Zdaję sobie nawet sprawę z tego, że rozgadałem się po to, aby przekonać samego siebie, że jeszcze nie umarłem, przejęty nie tyle owym wydarzeniem, co stanem, w jakim pozostawia ono człowieka. To jest jak skóra po oparzeniu. Niby się leczy, ale czy widział pan, jaka zostaje? Złuszczona, sucha, napięta,

* Uwaga komentatora: Być może napiszę kiedyś historię tych dziesięciu dni Erdosaina. Teraz nie jestem w stanie tym się zająć, gdyż książka ta nie pomieściłaby innej, równie obszernej, jaką byłyby owe impresje. Proszę zwrócić uwagę, że niniejsze wspomnienia dotyczą tylko wydarzeń z trzech dni i przedstawiają jedynie pewne subtelne doznania bohaterów, których dalsze dzieje opowiedziane są w tomie zatytułowanym *Los lanzallamas* (*Miotacze ognia*). W tej drugiej części, do której Erdosain dostarczył mi mnóstwa danych, znajdują się między innymi równie niezwykle historie jak *Ślepa prostytutka*, *Przygody Elsy*, *Człowiek w kręgu Jezusa* i *Fabryka gazów łzawiących*.

błyszcząca. Podobnie jest z duszą. Jej lśnienia oślepiają. Jej zmarszczki budzą odrazę. Wie pan, że nosi w sobie potwora, który w każdej chwili gotów się uwolnić i nigdy nie wiadomo, co zrobi.

Potwór! Wiele o tym myślałem. Potwór przyczajony, sprężysty, nieprzenikniony, który pana samego może zaskoczyć gwałtownością swych odruchów, diabelską przenikliwością, pozwalającą mu wśród meandrów życia wypatrzeć każdą okazję do nikczemności. Ile to razy zastanawiałem się nad sobą, nad tajemnicą swego wnętrza, i zazdrościłem życia nawet nędzarzom... Niech pan nigdy nie zabija. Widzi pan, jak teraz wyglądam. I zwierzam się panu właściwie bez potrzeby... może mnie pan zrozumie...

A noc?... Do domu wróciłem późno. W ubraniu zwałem się na łóżko. Podniecenie, znane każdemu hazardziście, objawiało się ciężkim łomotaniem serca. W rzeczywistości nie myślałem, co będzie potem, po zabójstwie, i do niego tylko ograniczałem swą ciekawość: jak się zachowam, co zrobi Barsut, w jaki sposób Astrolog go porwie, i cała ta zbrodnia, o której czytałem już w książkach, zaczynała być interesująca: jawiła się jako coś machinalnego, co łatwo wykonać, a co wydaje się trudne tylko dlatego, że nie mamy wprawy.

I pamiętam, że leżałem ze wzrokiem utkwionym w jeden kąt ciemnego pokoju. Przed oczyma wirowały mi, jakby unoszone wiatrem, resztki mego dawnego istnienia. Nigdy nie potrafię zrozumieć mechanizmu wspomnień, sprawiającego, że w wyjątkowych sytuacjach nabierają niezwyklej wagi drobne szczegóły i obrazy, które całymi latami kryły się w naszej pamięci pod warstwą coraz to nowych wrażeń. Nie wiedzieliśmy nawet, że owe wewnętrzne fotografie istnieją, aż nagle gęsta, okrywająca je osłona rwała się i dlatego tamtej nocy, zamiast myśleć o Barsucie, zachowywałem się w tym ponurym hotelowym pokoju jak człowiek oczekujący czegoś, o czym już tyle razy mówiłem, a co miało w moim przekonaniu przynieść niespodziewany zwrot w życiu, zniszczyć przeszłość, przemienić mnie w mężczyznę całkowicie innego niż dawniej.

Właściwie przestępstwo niewiele mnie obchodziło, ciekawiło mnie co innego: jaki będę po popełnieniu zbrodni? Czy będę czuł wyrzuty sumienia? Może oszaleję, napiszę na siebie donos? A może po prostu będę żył jak dotychczas, gryząc się tą

szczególną niemocą, która paraliżuje moje poczynania, co jak pan teraz mówi, jest jednym z objawów szaleństwa.

Ciekawe: chwilami czułem w sobie olbrzymią radość, chciałem śmiać się symulując obłąd, którego we mnie nie było: potem próbowałem jednak wyobrazić sobie, w jaki sposób porwiemy Barsuta. Byłem pewien, że będzie się bronił, ale Astrolog nie jest człowiekiem, który zabiera się do rzeczy bez stosownych środków ostrożności. Innym znów razem zastanawiałem się, w jaki sposób Barsut odgadł, że pismo z Ministerstwa Wojny jest sfalszowane, lub podziwiałem siebie, że udało mi się zachować pełną przytomność umysłu, kiedy odwrócił do mnie namydloną twarz i powiedział niemal kpiąco:

– Ciekawe, a gdyby tak pismo było podrobione?

W rzeczywistości był kanalią, ale i ja nie byłem lepszy: cała różnica sprowadzała się być może do tego, że nie ciekawiły go, tak jak mnie, jego niskie pasje. Mnie, poza tym, nic wtedy właściwie nie obchodziło. Może to ja go zabiję, może Astrolog, faktem jest, że uwiązałem w potwornym zaułku, w którym demony bawiły się moimi zmysłami jak kośćmi do gry.

Słyszałem jakieś dalekie hałasy: zmęczenie wciskało się w stawy; chwilami wydawało mi się, że ciało jak gąbka chłonie ciszę i spokój. Przychodziły mi do głowy różne szalone myśli o Elsie, milcząca złość usztywniała mięśnie szczęki, tak że czułem cały ból tego nędznego istnienia. A jednak jedynym sposobem rehabilitacji przed samym sobą było zabicie Barsuta – i nagle widziałem siebie obok Barsuta; leżał skrępowany grubym sznurem na stosie worków; widać było wyraźnie tylko zieloną wypukłość jego oka i blady nos, pochylałem się łagodnie nad jego ciałem, trzymałem w dłoni rewolwer, unosiłem delikatnie włosy na jego skroni i mówiłem cicho:

– Zdechniesz, kanalio.

Tłumok wzdrygał się, ja podnosiłem rewolwer, opierałem mu lufę na skroni i cicho powtarzałem raz jeszcze:

– Zdechniesz, kanalio.

Grube, skrępowane ramiona poruszały się, był to rozpaczliwy wysiłek wylęknionych mięśni i kości.

– Pamiętasz, bydlaku, pamiętasz tamte frytki rozsypane na stole? Czy teraz też wyglądam na przegranego?

Nagle w chwili najmniej stosownej ogarniał mnie wstyd, że tak mu złorzeczę, wtedy mówiłem coś albo nie, nic nie mówiłem, brałem worek i zakrywałem jego głowę: pod ciężką

płachtą głowa poruszała się wściekle; próbowałem przycisnąć ją do podłogi, żeby zapewnić większą skuteczność strzału i dobrze ustawić lufę rewolweru, ale płachta ślizgała się po włosach i wszystkie próby okiełznania tej bestii, która dysząc głucho chciała ująć śmierci, były bezskuteczne. Kiedy obraz ten rozwiewał się, wyobrażałem sobie, że podróżuję po Archipelagu Malajskim, płynę żaglowcem po Oceanie Indyjskim, zmieniłem nazwisko, cedziłem słowa po angielsku, mój smutek był zapewne ten sam, ale teraz miałem mocne ramiona i spokojne spojrzenie: może na Borneo, może w Kalkucie albo gdzieś za Morzem Czerwonym, może na Syberii czy w Korei lub Mandżurii zacznę nowe życie.

Oczywiście nie były to marzenia wynalazcy, człowieka, który odkrył promieniowanie elektryczne tak silne, że topiło szklane formy odlewnicze niczym zabawki z wosku, ani też kogoś, kto przewodniczy z za szklanego stołu obradom Ligi Narodów.

Chwilami strach obezwładniał go; Erdosain miał wtedy uczucie, że dźwiga kajdany, że jakaś straszliwa cywilizacja nałożyła mu jarzmo, którego nie może zrzucić. Wydawało mu się, że jest skuty łańcuchami i nosi pasiaste ubranie, że maszeruje wolno w kolumnie więźniów, wśród zasp śnieżnych, ku lasom Ushuai na Ziemi Ognistej. Niebo nad nim było cynowobiałe.

Wizja ta podnieciła go: zaślepiony wściekłością podniósł się i zaczął krążyć po pokoju, chciał bić pięściami ściany, ciałem przebić mury, potem przystanął w drzwiach, skrzyżował ręce, ból znowu ścisnął go za gardło, daremne było wszystko, co robi, życiem jego kierowała jakaś inna, absolutna rzeczywistość. Życiem jego i innych. Między nim a resztą ludzi istniał dystans, być może niezrozumienia innych albo własnego obłądu.

Tak czy owak nie był przez to mniej nieszczęśliwy. I znowu strzępy przeszłości ożywały przed jego oczyma: prawdą jest, że chciałby uciec od siebie, opuścić na zawsze to życie, które niewoliło jego ciało i zatruwało je wciąż.

Żeby tak znaleźć się w innym świecie, z szerokimi leśnymi duktami, gdzie nawet towarzystwo cuchnących zwierząt byłoby przyjemniejsze niż straszliwa obecność człowieka.

I chodził nieustannie, chciał zmęczyć swe ciało, wyczerpać

je ostatecznie, przygnieść zmęczeniem do tego stopnia, aby nie było w stanie myśleć.

Porwanie

O dziewiątej rano Erdosain zjawił się u Barsuta. Wyszli bez słowa. Później Erdosain wielokrotnie myślał o tej dziwnej podróży, w której tamten człowiek bez jakiegokolwiek sprzeciwu szedł ku własnemu przeznaczeniu.

Mówił o tym:

– Jechałem z Barsutem jak z potulnym skazańcem prowadzonym na miejsce egzekucji i miałem coraz natrętniejsze uczucie pustki w głowie.

Barsut był zasępiony: rozumiałem, że siedząc przy oknie pociągu, wsparty na łokciu, zbiera siły przeciw niewidzialnemu wrogowi, o którym wiedział instynktownie, że się ukrywa w willi w Temperley.

Erdosain ciągnął:

– Chwilami myślałem, jak bardzo zdziwiliby się inni pasażerowie, gdyby wiedzieli, że ci dwaj mężczyźni na skórzanych siedzeniach to przyszły morderca i jego ofiara. A mimo to nic się nie zmieniło: słońce dalej świeciło nad polami, zostawiliśmy w tyle chłodnie mięsne, fabryki stearyny i mydła, huty szkła i żelaza, krowy na pastwiskach obwążujące ogrodzenie, niebrukowane ulice, których płaszczyzny przecinały gdzieś wykopy i gipsowe sterty. A teraz, po minięciu Lanus, zaczynał się ponury widok Remedios de Escalada: potężne hale z mrocznymi paszczami z czerwonej cegły, pod których łukami manewrowały lokomotywy, a dalej, na torowisku, gromady nieszczęśników rozsypywały szuflami żwir lub dźwigały podkłady.

Jeszcze dalej, pośród rachitycznych platanów zatrutowanych sadzą i wyziewami spalin, ciągnął się ukośnie rząd czerwonych domków pracowników firmy, każdy z malutkim ogródkiem, okiennymi kratami poczerniałymi od dymu i drózkami wysypanymi żużlem i miałem węglowym.

Barsut jechał zamyślony. Erdosain, żeby użyć właściwego

terminu, po prostu był przy nim. Nawet gdyby zobaczył teraz kondukt pogrzebowy, nie drgnęłaby mu powieka, tak bardzo obojętny był na sprawy życia i śmierci.

Tak minęła podróż. Kiedy przyjechali do Temperley, Barsut wzdrygnął się, jakby wyrwany z ciężkiego snu, i zapytał tylko:

– Gdzie to jest?

Erdosain wyciągnął rękę, wskazał niedbale kierunek, w którym należało iść, i Barsut ruszył w tamtą stronę.

Kroczyli teraz w milczeniu ulicami zbliżającymi ich do posiadłości Astrologa.

Delikatny błękit poranka padał na gąszcz ukośnych uliczek.

Chwasty, trawy we wszystkich odcieniach zieleni i drzewa tworzyły niekształtne roślinne budowle zwieńczone giętkimi pióropuszcami. Wszystko to łagodnie falowało w powietrzu, tak iż wydawało się, że te fantastyczne dzieła botanicznego przypadku płynęły w złocistej atmosferze, która niby kielich zatrzymywała w swym kryształowym wgłębieniu zapachy ziemi.

– Ładny dzień – powiedział Barsut.

I nie rozmawiali więcej, aż stanęli przed willą.

– To tutaj – rzekł Erdosain.

Barsut cofnął się gwałtownie o krok i, wpatrując się w Erdosaina z niezwykłą przenikliwością, zawołał:

– A skąd wiesz, że to tutaj, skoro nie ma numeru?

Komentując potem to wydarzenie Erdosain mówił:

– Można by przyjąć, że istnieje jakiś morderczy instynkt, który pozwala człowiekowi zmyślać na poczekaniu, bez obawy, że zapłacze się w sprzeczności, instynkt, który jest jakby odruchem samozachowawczym pomagającym w chwilach najostrożniejszych zmagania znaleźć jakieś zbawienne, niewiarygodne rozwiązanie.

Erdosain podniósł wzrok i ze spokojem, nieoczekiwanym dla samego siebie i zaskakującym, odpowiedział:

– Bo kręciłem się tutaj wczoraj. Myślałem, że zobaczę Elbę.

Barsut spojrział z powątpiewaniem.

Dałby głowę, że Erdosain kłamie* , ale zaufanie nie

* Uwaga komentatora: W pewnej rozmowie z Astrologiem Barsut powiedział, że w noc poprzedzającą porwanie myślał o możliwości zasadzki, ale w ostatniej chwili zaufanie nie pozwoliło mu się wycofać.

pozwoili mu się cofnąć, zaś Erdosain już klaskał donośnie w dłonie, aby kogoś przywołać.

Z twarzą zasłoniętą do połowy szerokim rondem panamy i w samej tylko koszuli, pojawił się przy drucianej, pomalowanej na czerwono bramie Człowiek, który widział Akuszerkę.

– Czy pani w domu? – zapytał Barsut.

Bromberg nie odpowiedziawszy przesunął zasuwę i otworzył bramę; potem znikł na ścieżce skręcającej w kierunku domu, wśród eukaliptusów; dwaj mężczyźni ruszyli jego śladem. Nagle jakiś głos krzyknął:

– A wy dokąd?

Barsut odwrócił głowę. Bromberg wykręcił się na pięcie, a jego ręka wyciągnęła się błyskawicznie, jakby pękła w niej jakaś sprężyna.

Barsut otworzył usta łapiąc powietrze i w jednej chwili skulił się we dwoje. Chciał się złapać rękoma za brzuch, ale ramię Bromberga rozwarło się w nowym ciosie, a od uderzenia w szczękę stuknęły zęby Barsuta.

Upadł i wydawało się, że leży na trawie martwy, z podkurczonymi nogami i lekko rozchylonymi wargami.

Zjawił się Astrolog, a Bromberg, poważny, prawie smutny, pochylił się nad leżącym.

Astrolog chwycił go za ramiona, wczepił się palcami pod jego pachy i w ten sposób powlekli ciało do opuszczonego garażu. Erdosain przesunął na rolkach czerwone drzwi; z ciemnej czeluści dobył się zapach zeschniętej trawy i rój insektów. Wciągnęli omdlałego do jakiegoś boksu: do słupa przytwierdzony był kłódką gruby łańcuch.

Jednym jego końcem Astrolog kilkakrotnie okręcił nogę Barsuta, potem spiął łańcuch kłódką, która zazgrzytała przy otwarciu, a Erdosain, prostując się nad powalonym ciałem i patrząc na Astrologa, powiedział:

– Widzi pan? Nie ma przy sobie książeczki czekowej.

Była dziesiąta rano. Astrolog spojrział na zegarek i rzekł:

– Zdążę jeszcze złapać pospieszny, który przyjedzie do Rosario o szóstej. Odwiezie mnie pan do Retiro?

– Jak to, wyjeżdża pan do Rosario?

– Chyba muszę wysłać telegram do właścicielki pensjonatu? Ma pan numer?

– Tak, wszystko.

– To najlepszy sposób, żeby zdobyć bagaż Barsuta bez

wzbudzenia podejrzeń. W pensjonacie nie ma nic poza tym?

– Jest kufer i dwie walizki.

– Doskonale. A teraz koniec z gadaniem i do roboty.

O szóstej będę w Rosario, wysyłam starej telegram, pan wpadnie tam jutro i zapyta z głupia frant, czy Barsut nie przyjechał już z Rosario, a ponieważ nie wraca, doda pan, że zaproponowano mu, o ile panu wiadomo, ważne stanowisko itd., itd. Co pan o tym sądzi?

– Bardzo dobre!

O dwunastej Astrolog wsiadał do pociągu.

Rozdział trzeci

Podstęp obmyślony przez Erdosaina i szczęśliwie doprowadzony do końca przez Astrologa pozwolił temu ostatniemu zwołać na środę zebranie, na którym mieli być przedstawieni szefowie.

We wtorek o czwartej po południu Astrolog odwiedził Erdosaina i powiadomił go, że spotkanie szefów odbędzie się w najbliższą środę, o dziewiątej rano, w Temperley.

Astrolog spędził u Erdosaina kilka minut, a kiedy znalazł się na schodach, spojrzał zaskoczony na zegarek i wykrzyknął:

– Do licha... już czwarta, muszę jeszcze być w tyłu miejscach... czekam na pana jutro o dziewiątej... Aha! Pomyślałem, że tylko pan mógłby objąć stanowisko Szefa Przemysłu. No ale jutro o tym porozmawiamy... Aha, niech pan nie zapomni przedstawić... to znaczy, przygotować projektu turbiny elektrycznej, coś prostego do zastosowania w fabryce w górach. To dla naszej kolonii i na użytek metalurgii.

– Na ile kilowatów?

– Nie wiem... to już pan musi o tym pomyśleć. Będą piece elektryczne... zresztą, niech pan sam sobie jakoś poradzi. Poza tym przyjechał Poszukiwacz Złota i on poda panu jutro konkretne dane. Niech się pan przygotuje, żeby to pana nie zaskoczyło. Do diabła, późno już... do jutra... – poprawiając kapelusz zatrzymał przejeżdżającą taksówkę i wcisnął się do środka.

Następnego dnia, idąc ulicami Temperley, Erdosain zauważył ze zdziwieniem, że od dawna nie zaznał podobnego uczucia spokoju.

Szedł powoli. Roślinne tunele przypominały jakieś twory tytaniczne i niekształtne. Z przyjemnością patrzył na parkowe ścieżki wysypane czerwonym żwirem, ciągnące się ceglastymi wstęgami wzdłuż trawników, zielonych kobierców obsypanych fioletowym, żółtym i czerwonym kwieciem. A kiedy podnosił oczy, widział nad sobą wodnistą toń, która przyprawiała go o zawrót głowy, niebo zniknęło nagle i pozostawała czerń ślepoty, myśli porządkowały się w niewidocznej krzątaninie srebrnych atomów, które ulatywały natychmiast i przekształcały się, gdzieś wysoko, w błękitne smugi, chropowate i suche, jak jęczory błękitu metylowego. A zadowolenie, jakie

budził w nim ranek, ta nowa radość, spajało cząstki jego osobowości, rozproszone doznanymi cierpieniami, i czuł, że jego ciało zdolne jest sprostać każdej przygodzie.

– Augusto Remo Erdosain – jakby wymawianie własnego nazwiska sprawiało mu fizyczną przyjemność pomnażającą siły, które odzyskiwał w marszu.

Stąpił spadzistymi ulicami po słonecznych plamach przejęty swą nową rolą: Szef Przemysłu. Rzeźkość zadrzewionej drogi ożywiała jego świadomość. A zadowolenie kazało mu iść dostojnie i wolno, jakby miał balast w nogach. Pomyślał, że na zebraniu będzie pełen ironii, i już czuł w sobie bezwzględna pogardę dla wszystkich słabeuszy. Ziemia należy do silnych, tak jest, do silnych. Wymiotą cały świat i pokażą się tym kanaliom, wciskającym tyłki w urzędowe fotele, w pełnym blasku swej potęgi, podobni władcom samotnym i okrutnym. Znowu ujrzał się w olbrzymim salonie o lustrzanych ścianach, z okrągłym stołem na środku. Cztery sekretarze z papierami w ręku i piórami za uchem spieszą po radę, a w kącie, gniotąc kapelusze w dłoniach, pochyliwszy siwe głowy wyczekuje delegacja robotników. A Erdosain zwracając się do nich mówi po prostu: „Albo wróćcie jutro do pracy, albo was rozstrzelamy.” To wszystko. Mówi niewiele i głosem niskim, rękę ma zmęczoną od podpisywania dekretów. Trzyma go na nogach żarłoczność czasów wymagających lwiej duszy, gdyż każdy poranek zamyka kanonada plutonu egzekucyjnego.

Zbliżał się teraz do willi Astrologa z sercem bijącym w uniesieniu i powtarzał, niby słowa wesolej piosenki, zasłyszana kiedyś myśl:

– „Do diabła z taką rewolucją, jeśli nikogo nie rozstrzelamy!”

Gdy wszedł do ogrodu i uchylił drzwi, zobaczył, że na spotkanie wychodzi mu Astrolog, w długim szarym prochowcu i słomkowym kapeluszu.

Jak przyjaciele, mocno uścisnęli sobie dłonie, a Astrolog powiedział:

– Barsut jest spokojny, wie pan? I myślę, że nie będzie stawiał zbytniego oporu przed podpisaniem czeku. Już przyszli tamci faceci, ale najpierw zobaczymy Barsuta. Niech sobie poczekają, co tam, do diabła! Rozumie pan, co to dla mnie znaczy? Dzięki tej forsie świat jest nasz.

Weszli teraz do gabinetu i Astrolog, dotknąwszy pierście-

niem z fioletowym oczkiem mapy Stanów Zjednoczonych, ciągnął:

– Podbijemy ziemię, zrealizujemy naszą „ideę”... jeden burdel możemy założyć w San Martín lub w Ciudadeli, a kolonię Świętych w górach. Czy może być ktoś odpowiedniejszy do zarządzania domem publicznym niż Smutny Alfons? Mianujemy go Wielkim Patriarchą Publicznym.

Erdosain zbliżył się do okna... róże wydzierały woń mocną i ostrą, cała okolica przesycona była zapachem, rześkim jak strumień wody. Gzy o lśniących skrzydłach uwijały się wokół szkarłatnych granatowców. Erdosain stał tak przez kilka sekund. Widok ten ożywiał w nim wspomnienia identycznego popołudnia, kiedy znalazł się tutaj, w tym samym miejscu. A przecież nie wyobrażał sobie wtedy, że wieczór zaskoczy go jeszcze odejściem Elsy.

Wielokształtna zieleń wciskała mu się do oczu, ale on niczego nie widział. Na samym dnie swej świadomości zobaczył żonę z policzkiem przytulonym do atletycznego męskiego torsu, bladą, z omdlałym spojrzeniem i wargami rozwartymi dla plugawych ust tamtego.

Jakiś ptak śmignął mu przed oczyma i Erdosain odwróciwszy się do Astrologa powiedział siląc się na spokój:

– Proszę pana, niech pan robi, co się panu żywnie podoba.
– Potem usiadł, zapalił papierosa i wpatrując się w Astrologa, który cyrkiem zakreślał krąg na niebieskiej mapie, zapytał: – Ale właściwie co pan myśli robić? Czy Smutny Alfons zgodzi się kierować burdelami?

– Tak, z tym nie ma kłopotu, a i Barsut nie będzie stawiał wielkiego oporu.

– Jest cały czas w garażu?

– Pomyślałem, że rozsądniej będzie go przenieść. Spętałem go łańcuchem w stajni.

– W stajni?

– To jedyne pewne miejsce, w którym mogę go ukryć. Poza tym w pokoju nad garażem śpi Człowiek, który widział Akuszerkę...

– Co to za jeden?

– Kiedyś panu opowiem. Zobaczył położną i nie może spać po nocach. Dobra, pomyślałem, że pan...

– Jak to, to ja mam?...

– Niech mi pan pozwoli dokończyć. Że pan zobaczy się

z nim i postara się go przekonać, żeby podpisał, no, jednym słowem, wyłoży mu pan nasze zamiary...

– Trzeba go będzie chyba zmusić do podpisania...

– Ale jak? Ja naturalnie jestem wrogiem przemocy, ale sam pan rozumie. Nasza idea jest ponad jakieś tam sentymenty, o tym musi pan powiedzieć Barsutowi: po prostu, że nie chcielibyśmy być zmuszeni do przypalania mu pięt albo do jeszcze czegoś gorszego... żeby podpisał czek.

– I jest pan na to zdecydowany?

– Tak, jesteśmy zdecydowani nie stracić tej jedynej okazji. Liczyłem na pański wynalazek, na tę miedzianą różę, ale to dłuższa sprawa. Smutnego Alfonsa nie wypada prosić o pieniądze. Jeśli nie ma, postawimy go w głupiej sytuacji, a jeśli ma i nie zechce nam ich dać, stracimy przyjaciela. To, że wobec pana okazał się taki szczodry, nie znaczy, że będzie taki również dla nas. A poza tym to neurastenik, sam nie wie, na co go stać.

Erdosain oglądał przez okienną kratę szkarłatne plamy na zielonych kopcach granatowców. Żłoty snop światła rozjaśnił w górze ścianę willi. Poczul w sercu ogromny żal. Co też zrobił ze swoim życiem?

Astrolog zauważył jego milczenie i rzekł:

– Widzi pan, Erdosainie. Nie mamy innego wyjścia, jak pójść na całego albo wycofać się. Takie jest życie, to smutne... No ale co możemy zrobić? Ja również wiem, że najprzyjemniej byłoby dokonywać czegoś bez poświęceń.

– No, w tym wypadku poświęca się kogoś innego...

– I nas, Erdosainie, i nas, bo stawką jest więzienie i utrata wolności na czas nieokreślony. Pan nie czytał *Żywotów równoległych* Plutarcha?

– Nie...

– Pożyczę je panu do przeczytania, żeby pan zrozumiał, że jeżeli popchnięcie społeczeństwa na nową drogę wymaga ofiar, to życie człowieka jest mniej warte niż psa. Czy wie pan, ile trupów kosztowało zwycięstwo Mussoliniego? A innych? Ludzi to nie interesuje. Dlaczego nie interesuje? Bo Mussolini i ci inni zwyciężyli. To jest najistotniejsze, to usprawiedliwia każdą sprawę, słuszną lub nie.

– A kto zabije Barsuta?

– Bromberg, ten, który widział Akuszerkę...

– Nie powiedział mi pan...

– Nie było potrzeby, bo jeśli o to chodzi, wszystko już było postanowione.

Chmura woni wdarła się nagle do willi. Szum wody kapiącej do beczki stał się bardziej wyraźny.

– No więc sprawa wyjaśniona...

– Pan, ja i Bromberg...

– Za dużo ludzi jak na jedną tajemnicę...

– Nie, bo Bromberg jest moim niewolnikiem, jest niewolnikiem samego siebie, a to jeszcze gorzej.

– Doskonale, ale da mi pan jakieś pisemko podpisane przez pana i Bromberga, że to wy jesteście sprawcami zabójstwa.

– A panu to na co?

– Żeby mieć pewność, że mnie pan nie wykiwa.

Machinalnym gestem Astrolog poprawił panamę, dotknął swej mongołowatej twarzy grubymi palcami, ruszył na środek pokoju i tam, z łokciem opartym na drugiej dłoni, rzekł:

– Nie mam nic przeciwko temu, żeby dać panu to, o co mnie pan prosi, ale niech pan nie zapomina o jednym. Żyję tylko po to, żeby realizować moją ideę. Nadchodzą czasy niezwykle. Nie będę mógł panu wyjaśnić wszystkich tych niezwykłości, jakie się wydarzą, bo nie mam czasu ani chęci na takie rozmowy. Niewątpliwie jednak nadchodzą czasy nowe. Kto je pozna? Tylko wybrani. Tego dnia, w którym spotkam człowieka zdolnego mnie zastąpić, a organizacja będzie już działała, wycofam się, żeby w górach poświęcić się medytacji. Póki co, wszyscy otaczający mnie winni mi są absolutne posłuszeństwo. Musi pan to zrozumieć, jeśli nie chce pan pójść w ślady tamtego...

– To nie jest sposób prowadzenia rozmowy.

– Owszem, to jest sposób, bo przecież wystawię to pismo, o które pan prosi.

– Nie jest to konieczne...

– Będzie pan potrzebował pieniędzy?

– Tak, jakieś dwa tysiące pesos na...

– W porządku... Dostanie je pan...

– Poza tym nie chcę mieć nic wspólnego ze sprawą domów publicznych...

– Bardzo dobrze, poprowadzi pan rachunkowość, ale wie pan, czego nam teraz potrzeba? Znaleźć jakiś krzykliwy symbol, żeby rozruszać motłoch...

– Lucyfer.

– Nie, to jest symbol mistyczny... intelektualny... Trzeba znaleźć coś w miarę prostego i głupiego... coś, co trafi tłumowi do przekonania, jak czarne koszule... Ten diabeł miał talent. Odkrył, że Włosi mają mentalność fryzjerów i operetkowych tenorów... Zresztą, zobaczymy, myślałem już o hierarchii, ciekawe... porozmawiamy o tym przy innej okazji... może się uda...

– Chodzi o to, żebyśmy mieli z czego...

– To nie ulega wątpliwości... burdele przyniosą nam... Dobrze, czy pójdzie pan teraz do Barsuta? Czy wie pan, co mu powiedzieć?

– Tak...

ErDOSain ruszył w stronę powozowni, gdzie zainstalowano boksy dla koni. Był to budynek o grubych ścianach, miał piętrową nadbudówkę z mnóstwem pustych komórek, po których biegały szczury.

W jednym z takich zakamarków mieszkał, a raczej sypiał okrutny Bromberg, którego ErDOSain widział w dniu porwania.

Rozumiał, że idzie ku przepaści, na spotkanie, które mogło rzucić cień na całe jego życie, w sposób, jakiego nie potrafił teraz nawet sobie wyobrazić, i ta niepewność, wraz z całkowitym brakiem entuzjazmu dla projektów Astrologa, sprawiła, iż czuł, że postępuje niewłaściwie, niepotrzebnie pakuje się w tę niedorzeczną historię.

„Wszystko się we mnie załamało” – miał powiedzieć potem, przemógł jednak w sobie zmęczenie i obojętność i szedł ku stajni. Serce biło mu mocno na myśl o spotkaniu „z nieprzyjacielem”. Chwilami marszczył brwi i wtedy jego nienawiść uwidoczniła się.

Otworzył kłódkę, wyciągnął łańcuch i z nagłym zacięciem pchnął jedno skrzydło drzwi.

Więzień, z nagimi ramionami w kręgu żółtego światła, jakie na sosnowy stół rzucała lampa naftowa, zabierał się właśnie do jedzenia.

Siedział na trójkątnym boku metalowego żłobu, między drewnianymi ścianami boksu, a ujrawszy nastroszonego ErDOSaina zatrzymał przez sekundę w powietrzu naczynko, z którego skrapiał oliwą kawał mięsa z kartoflami, a potem, nie zdradzając zdziwienia jednym nawet słowem, znowu skupił całą uwagę na talerzu. Wyciągnął rękę i brał palcami szczyptę

solii, którą posypywał kartofle. Wyglądał poważnie, choć dziura w jego czerwonym podkoszulku pozwalała dostrzec czarną pachę.

Wzrok wbity w mięso świadczył, że Barsut przywiązuje większą wagę do posiłku niż do obecności Erdosaina, stojącego o trzy kroki od niego. Reszta stajni tonęła w ciemnościach. Przez szpary między belkami wciskały się ukośne smugi światła, które kładły się na zakurzonej podłodze złotymi plamami.

Barsut nie raczył dostrzegać czegokolwiek. Przyciskając chleb do stołu odkroił energicznie kromkę, wypił parę łyków wody sodowej prysnąwszy uprzednio strumieniem na podłogę, żeby przeczyścić dyszę syfonu, a potem pogрузzył się w lekturze jakiejś książki leżącej koło talerza i przeżuwał powoli mieszaninę mięsa, chleba i kartofli.

Erdosain, odurzony zapachem siana, oparł się o słup podpierający sufit i wpatrywał się zmrużonymi oczyma w Barsuta, który z twarzą na wpół oświetloną zielonkawą poświatą umbry poruszał szczękami przy nikłym świetle rzucanym przez knot lampy. I wtedy właśnie odwrócił głowę i zauważył batog wiszący na ścianie.

Erdosain drgnął. Knut miał długi trzonek i krótki rzemień, a Barsut, który śledził teraz spojrzenie Erdosaina, pogardliwie wydał wargi. Erdosain spojrział najpierw na mężczyznę, potem na batog i znowu się uśmiechnął. Podeszedł do kąta i zdjął knut. Barsut podniósł się i ze wzrokiem wbitym niespokojnie w Erdosaina wychylił się z boksu. Żyły na szyi nabrzmiały mu strasznie. Chciał coś powiedzieć, ale duma nie pozwalała mu. Rozległ się suchy trzask. Erdosain uderzył knutem w deskę, aby wypróbować giętkość rzemienia, potem wzruszył ramionami, czarna smuga przecięła słoneczny promień, padający ukośnie w ciemnościach, i batog upadł na siano.

Erdosain przechadzał się w milczeniu po stajni. Myślał o tym, że życie Barsuta jest teraz w jego rękach, że nikt już mu go nie może wydrzeć, ale świadomość tego nie czyniła go bardziej szczęśliwym. Zza drewnianej przegrody Barsut patrzył przez otwór bramy na słoneczną łąkę.

Czasy się zmieniły. To wszystko. Spojrzął z niechęcią na Barsuta:

– Podpisziesz czek czy nie?

Barsut wzruszył ramionami, a Erdosain nie powtórzył już

pytania. Być może i on znajdzie się kiedyś w ciemnej celi, a pamięć jego ożywi wówczas widok nadrzecznych kortów posypanych ceglastym proszkiem i siatki rakiet jakichś dziewczyn grających w tenisa. I nie mogąc się pohamować wykrzyknął, nie tyle do Barsuta, co sam do siebie:

– Pamiętasz? Miałem dla ciebie twarz faceta przegranego. Nic nie mów. I nie wiedziałeś nawet, jak bardzo cierpiałem. Ani ty, ani ona. Zamknij się. Myślisz, że chodzi mi o twoją forszę? Ani trochę. Chodzi o to, że jest mi tak jakoś... Ty i ona doprowadziliście mnie do tego. Nie wiem właściwie, po co to mówię. Wiem tylko, że jestem zmęczony. Ale nie ma co gadać... – i chciał wyjść, kiedy zjawił się Astrolog. Barsut rzucił badawcze spojrzenie na jego ręce, a Astrolog, poprawiając na głowie panamę, wziął lampę, zgasił ją i usiadłszy na skrzyni rzekł:

– Przyszedłem tu, żeby załatwić sprawę tego czeku. Wie pan, że dlatego porwaliśmy pana. Jasne, że nie rozmawiałbym z panem w ten sposób, gdybym w notatniku, który znaleźliśmy u pana w kieszeni, a który Erdosain chciał spalić*, czemu ja się sprzeciwiłem, nie przeczytał myśli, wspaniałej w swej prostocie: „Pieniądz zmienia człowieka w boga. Zatem Ford jest bogiem. Skoro jest bogiem, może zniszczyć Księżyc.”

Była to nieprawda, ale Barsut nie drgnął.

Erdosain obserwował nieprzeniknioną, kanciastą twarz Astrologa. Było oczywiste, że gra komedię i że Barsut mu nie wierzy, przekonany, że go okłamują.

Przemowa Astrologa

Astrolog mówił dalej:

– Początkowo myśl ta wydała mi się jedną z tych niedorzeczności, jakich wiele w pańskich zapiskach... A jednak zapytałem siebie bezwiednie, dlaczego pieniądz może zmienić człowieka w boga, i nagle zdałem sobie sprawę, że odkrył pan prawdę elementarną. A wie pan, jak nabrałem pewności, że

* Uwaga komentatora: W drugiej części tej książki dajemy wyciąg z notatek Barsuta.

ma pan rację? No więc pomyślałem, że Henry Ford za swój majątek mógłby kupić wystarczającą ilość środków wybuchowych, żeby roznieść w proch takie chociażby ciało niebieskie jak Księżyc. Pańskie twierdzenie było zatem uzasadnione.

– Oczywiście – mruknął Barsut, któremu to pochlebiało.

– I wtedy zrozumiałem, że cała starożytność klasyczna, że pisarze wszystkich epok, za wyjątkiem pana, który napisał tę prawdę nie umiejąc jej wykorzystać, nie mieli pojęcia o tym, że tacy ludzie jak Ford, Rockefeller lub Morgan zdolni są zniszczyć Księżyc... że mają tę siłę... siłę, którą, jak mówię, starożytni przypisywali jakiemuś demiurgowi. A pan stworzył niejako podwaliny nowego: wskazał początek świata nadludzi.

Barsut odwrócił głowę, żeby przyjrzeć się Astrologowi. Erdosain zrozumiał, że ten mówi poważnie:

– No więc kiedy doszedłem do wniosku, że Morgan, Rockefeller i Ford są, dzięki potędze, jaką daje im pieniądź, czymś na podobieństwo bogów, zrozumiałem, że przewrót społeczny na ziemi jest niemożliwy, gdyż taki Rockefeller lub Morgan mogą jednym gestem zniszczyć całą rasę, jak pan w swoim ogródku mrowisko.

– O ile się odważą.

– Odważą? Zastanowiło mnie, czy to możliwe, żeby taki bóg zrezygnował ze swej potęgi... zadałem sobie pytanie, czy jakiś król miedzi lub ropy naftowej zechce się wyzbyć swej floty, gór, złota i szybów, i zrozumiałem, że po to, aby wyrzec się całego tego baśniowego świata, trzeba by mieć duszę Buddy lub Chrystusa... i że oni, bogowie dysponujący wszystkimi siłami, nigdy nie pozwolą na sobie tego wymóc. A zatem, musiałyby się wydarzyć coś niezwykłego.

– Nie rozumiem... Ja napisałem to zdanie z innych powodów.

– To nieważne. Niezwykłe jest to: ludzkość, masy na ogromnych połaciach ziemi, utraciła religię. Nie mam na myśli religii katolickiej, chodzi mi o każdą wiarę teologiczną. Ludzie muszą więc zapytać: „Po co chcemy żyć?”... Nikt nie zechce istnieć jako mechanizm, a właśnie nauka gubi wiarę. A kiedy już to się stanie, wybuchnie na ziemi nieuleczalna zaraza... epidemia samobójstw... Wyobraża pan sobie ten świat ludzi oszalałych, z wyschłymi czaszkami, przemykających podziemiami gigantycznych miast i wyjących do betonowych ścian: „Co zrobiono z naszym bogiem?” I licealistki

zakładające tajne stowarzyszenia, w których samobójstwo będzie sportem? I ludzie odżegnujący się od rodzenia dzieci, które, jak wierzył marzyciel Berthelot, będą się odżywiać syntetycznymi pigułkami?...

– Czy aby pan nie przesadza? – powiedział Erdosain.

Astrolog odwrócił się do niego zdziwiony. Zapomniał o nim.

– Rzecz jasna, nie stanie się to, dopóki ludzie nie zdadzą sobie sprawy, co jest powodem ich nieszczęścia. Tak się działo w rzeczywistości ze wszystkimi ruchami rewolucyjnymi o charakterze ekonomicznym. Żydzi wywłachali Debet i Credit tego świata i obwieścili: „Szczęściu grozi bankructwo, bo człowiek nie ma pieniędzy na zaspokojenie swoich potrzeb...” A właściwie powinni byli powiedzieć, że: „Szczęściu grozi bankructwo, bo człowiekowi brak bogów i wiary.”

– Ależ pan sobie przeczy! Przedtem powiedział pan... – zaoponował Erdosain.

– Niech pan przestanie, co pan może wiedzieć?... I myśląc o tym doszedłem do wniosku, że taka jest metafizyczna choroba każdego człowieka. Szczęście ludzkości można wznieść tylko na metafizycznym kłamstwie... Jeśli się ludzi pozbawi tej nieprawdy, popadają w iluzje o charakterze ekonomicznym... i wtedy przypomniałem sobie, że jedynymi istotami, które mogą przywrócić ludziom raj utracony, są bogowie z krwi i kości: Rockefeller, Morgan, Ford... i obmyśliłem projekt, który jakiemuś prostackiemu umysłowi wydać się może nierealny... Zobaczyłem, że ślepa uliczka rzeczywistości społecznej ma jednak wyjście... a jest nim zwrot do tyłu...

Barsut założył ręce i siadł na brzegu stołu.

Jego zielone źrenice wpijały się w Astrologa, który w płaszczu zapiętym pod szyję i z rozwianymi włosami, jako że zdjął kapelusz, krążył teraz po stajni i końcem buta kopał żdźbła siana rozrzucone na ziemi. Erdosain, oparty plecami o słup, obserwował twarz Barsuta, która z wolna przybierała wyraz ironiczny, prawie złośliwy, jak gdyby myśli Astrologa zasługiwały jedynie na drwinę. Ten, zasłuchany we własne słowa, chodził, przystawał i od czasu do czasu gładził palcami włosy. Mówił:

– Tak, nadejdzie chwila, kiedy ludzi cynicznych, goniących za przyjemnościami, złorzeczających na własną niemoc

ogarnie szaleństwo tak wielkie, że trzeba będzie zabić ich jak wściekle psy...

– Co też pan wygaduje...

– Będzie to zbieranie owoców z drzewa ludzkości, owocobranie, które tylko oni, milionerzy z wysługującą się im nauką, potrafią przeprowadzić. Ci bogowie, pełni odrazy do rzeczywistości, kiedy utracą już wiarę w naukę jako warunek szczęścia, otoczeni krwiożerczymi sługusami spowodują straszliwe kataklizmy, rozsieją piorunujące zarazy... Przez kilka dziesięcioleci praca nadludzi oraz ich pomagierów sprowadzi się do niszczenia człowieka na tysiące różnych sposobów, aż do wyczerpania świata... i tylko nieliczni, niewielka grupka zostanie odizolowana na jakiejś wysepce, na której położy podwaliny nowego społeczeństwa.

Barsut wstał. Dziko nastroszony, z rękoma w kieszeniach spodni, wzruszył ramionami i zapytał:

– Czy to możliwe, żeby wierzył pan w takie bzdury?

– Nie, to nie są bzdury, bo ja je popełnię, chociażby dla zabawy.

I ciągnął:

– Są i tacy nieszczęśliwi, którzy w nie wierzą... i to wystarczy... Moja idea jest taka: społeczeństwo to będzie się składało z dwóch kast, między którymi powstanie rozdział... albo lepiej: różnica intelektualna trzydziestu wieków. Większość będzie żyła w absolutnej niewiedzy, otoczona apokryficznymi cudami, ciekawszymi tym samym niż cuda historyczne, a mniejszość posiędzie całkowitą wiedzę i władzę. W ten sposób zapewnione zostanie szczęście większości, bo człowiek z tej kasty będzie miał styczność ze światem bogów, w który dziś nie wierzy. Mniejszość będzie kierowała tymi rozkoszami i cudami dla pospólstwa, a wiek złoty, wiek, w którym aniołowie wędrowali o brzasku po drogach, zaś bogowie pozwalali się widzieć w księżycowej poświacie, stanie się faktem.

– Ależ to jest potworne. Tak być nie może.

– Dlaczego? Wiem, że nie może, i dlatego trzeba tak postępować, jakby to było możliwe.

– Ta dysproporcja... nauka...

– Nauka, co tam nauka! Niech mi pan powie, co komu po nauce? Czy nie śmieje się pan w myślach z uczonych i nie

nazywa ich ludźmi „zafascynowanymi wszystkim, co nie-trwałe”?

– Widzę, że czytał pan te moje głupoty.

– Jasne. Nie należy ludziom zaprzeczać ot, tak, bez powodu. A potworna dysproporcja, jaką pan zauważa w moim społeczeństwie, istnieje już teraz, choć na opak. Nasza wiedza, to znaczy nasze metafizyczne kłamstwa są w powijakach, podczas gdy nauki techniczne to potęga... a człowiek, istota zagubiona, cierpi z powodu tego straszliwego zachwiania równowagi... Z jednej strony wie wszystko... z drugiej nie wie nic. W moim społeczeństwie kłamstwo metafizyczne, praktyczne poznanie cudownego boga będzie celem... wszystko, co dotyczy świata rzeczy i nie ma znaczenia dla szczęścia wewnętrznego, znajdzie się w naszych rękach jako narzędzie władzy, nic więcej. I nie sprzecajmy się o to, bo nie ma sensu. Wynaleziono już prawie wszystko, ale człowiek nie wymyślił jeszcze zasad rządzenia, które przewyższałyby reguły Chrystusa lub Buddy. Nie. Naturalnie nie sprzeciwiam się prawu do sceptycyzmu, ale sceptycyzm to luksus dla mniejszości... Reszcie zaserwujemy ładnie spreparowane szczęście, a ludzie ze smakiem będą się obżerać okruchami z boskiego stołu.

– Myśli pan, że to możliwe?

Astrolog przystanął na chwilę. Obracał teraz na palcu stalowy pierścionek z fioletowym oczkiem, zdjął go, żeby obejrzeć jego wnętrze, a potem zbliżył się do Barsuta z wyrazem zdziwienia na twarzy, jak człowiek, którego wyobraźnia nie nadąża za rzeczywistością, i odrzekł:

– Tak, wszystko, co tworzy umysł ludzki, może być zrealizowane po pewnym czasie. Czy Mussolini nie wprowadził we Włoszech nauki religii? Podaję to jako dowód, że ludzi można zastraszyć. Rzecz w tym, żeby zawładnąć duszą jednego pokolenia... Reszta pójdzie sama.

– A idea?

– Otóż to... Moja idea to zorganizowanie tajnego stowarzyszenia, które nie tylko będzie propagowało nasze poglądy, ale stanie się szkołą przyszłych panów ludzkości. Wiem: pan mi powie, że istniało już wiele tajnych stowarzyszeń... i to prawda... wszystkie rozsypały się, bo nie były oparte na solidnych podstawach, to znaczy na jakimś uczuciu lub ideale politycznym albo religijnym, z wyłączeniem wszelkiej bezpośredniej rzeczywistości. Natomiast nasze stowarzyszenie bę-

dzie wzniesione na zasadzie najsolidniejszej i najnowocześniejszej: industrializmie, to znaczy, że łoża będzie łączyła element fantazji, jeśli chce się tak nazywać wszystko, o czym mówię, oraz element pozytywny: przemysł, który w konsekwencji dostarczy nam złota.

Głos jego zabrzmiał bardziej chrapliwie. Nagły wybuch gniewu sprawił, że wzrok miał teraz rozbiegany. Poruszał rozczochraną głową na prawo i lewo, jakby mózg ciążył mu pod wpływem niezwykłego ożywienia, ujął się dłońmi pod boki i znowu zaczął chodzić tam i z powrotem, wreszcie powtórzył:

– Ach. Złoto!... złoto!... Czy wie pan, jak nazywali złoto starożytni Germanie? Czerwonym metalem... Złoto... Rozumie pan? Zamilcz, szatanie. Niech pan zrozumie, że nigdy żadne stowarzyszenie nie próbowało dokonać podobnego połączenia. Pieniądz będzie spoiwem i balastem, który nada ideom wagę i gwałtowność konieczną do przyciągania ludzi. Zwrócimy się zwłaszcza do młodych, bo są najgłupszy i pełni zapału. Obiecamy im królestwo świata i miłość... Obiecamy im wszystko... rozumie pan?... ubierzemy ich w krzykliwe mundury, lśniące płaszcze... szyszaki z kolorowymi piórami, szlachetnymi kamieniami... nadamy stopnie wtajemniczenia o pięknych nazwach i rozbudowanej hierarchii... A tam w górach wzniesiemy papierową świątynię... To dla kinematografu... Nie. Jak zwyciężymy, wzniesiemy świątynię o siedmiu złotych bramach... Będzie miała kolumny z różowego marmuru, a drogi prowadzące do niej wysypane będą grudkami miedzi. Dookoła założymy ogrody... i tam będą szli ludzie, żeby oddawać cześć bogu, którego wymyślimy.

– Ale forsa na to... miliony...

W miarę jak Astrolog przemawiał, jego entuzjazm udzielał się Erdosainowi. Zapomniał o Barsucie; choć ten stał przed nim. Nie potrafił uwolnić myśli od obrazu ziemi, na której może się dokonać odnowa. Ludzie będą żyli w nieustannym, radosnym uniesieniu, wiązki strontu okryją niebo kaskadą czerwonych gwiazd, anioł o zielonkawych skrzydłach przetnie kłębiaste chmury, a pod roślinnymi kopułami lasów przemykać będą mężczyźni i kobiety w swych jasnych tunikach, z sercem czystym, wolnym od wszystkich tych brudów, które jemu tak ciążyą. Zamykał oczy i w jego pamięci ożywała twarz

Elsy, ale nie obudziła w nim żadnego echa, bo głos Astrologa wypełniał już powozownię takim oto dzikim obrazem:

– A więc ciekawi pana, skąd weźmiemy miliony? To proste. Założymy domy publiczne. Smutny Alfons będzie Wielkim Patriarchą Publicznym... wszyscy członkowie loży będą mieli udziały w tym interesie... Będziemy uprawiać lichwę... wykorzystamy kobiety, dzieci, robotników, chłopów i szaleńców. W górach... w Campo Chileno... założymy kopalnie złota, inne metale otrzymywać będziemy dzięki elektryczności. Erdosain obmyślił już turbinę o mocy pięciuset koni mechanicznych. Otrzymamy kwas azotowy redukując azot z atmosfery, a dzięki siłom hydroelektrycznym – żelazo, miedź i aluminium. Rozumie pan? Otumanimy robotników, a tych, co nie zechcą pracować w kopalniach, zatłuczemy pałami. Czy nie postępuje się tak dzisiaj w Chaco, na plantacjach yerba mate, kauczuku, kawy lub w kopalniach cyny? Otoczmy nasze posiadłości przewodami pod napięciem i byle świecidełkami przekupimy wszystkich gliniarzy i wszystkie komisariaty na południu. Chodzi o to, żeby zacząć. Wrócił już Poszukiwacz Złota. Dobrze się zabawił w Campo Chileno, włączył się z jedną prostytutką, mówią na nią Maska. Trzeba zacząć. Do tej komedii z bogiem wybierzemy jakiegoś złodziejaska... Najlepiej byłoby wychować dziecko o niezwykłej urodzie i przygotować je do roli boga. Będziemy mówili... wszędzie się będzie o nim mówiło, ale ukradkiem, a reszty dokona ludzka wyobraźnia. Wyobraża pan sobie, co powiedzą ci durnie z Buenos Aires, kiedy rozejdzie się pogłoska, że w jakiejś niedostępnej świątyni ze złota i marmuru mieszka młody bóg... cudowny efeb, który czyni cuda?

– Wie pan, te pańskie niedorzeczności są nawet ciekawe!

– Niedorzeczności? A czy nie uwierzono w istnienie plejzozaura, odkrytego przez jakiegoś pijanego Anglika, jedynego mieszkańca prowincji Neuquén, któremu policja nie pozwala używać rewolweru ze względu na jego straszliwie celne oko?... Czy nie uwierzyli mieszkańcy Buenos Aires w nadprzyrodzone zdolności pewnego brazylijskiego szarlatana, który zobowiązał się cudownie uleczyć sparaliżowaną Orfilę Rico? A było to przecież widowisko groteskowe i bez krzty wyobraźni. I te tłumy bałwanów zasmarkanych od płaczu, kiedy cwańiak uniósł ramię chorej, które nadal pozostawało bezwładne, co świadczy, że ludzie teraz i zawsze czują silną

potrzebę wiary. Przy pomocy pierwszego lepszego czasopisma, wierzcie mi, będziemy robili cuda. Jest jeszcze wiele gazet, które wylażą ze skóry, żeby dla zwiększenia nakładu wykorzystać każdą sensacyjną aferę. A my wszystkim tym spragnionym cudów dostarczymy wspaniałego boga, w otoczeniu niezwykłych historii, jakie możemy skopiować z Biblii... Przyszło mi coś do głowy: ogłosimy, że ten chłopak jest Mesjaszem oczekiwanym przez Żydów... Trzeba to przemyśleć... Zrobimy fotografie boga selwy... Możemy nakręcić film z tekturową świątynią, w głębi lasy, a bóg rozmawia z duchem Ziemi.

– Ależ, człowieku, jest pan cynikiem czy szaleńcem?

Erdosain spojrzał niechętnie na Barsuta. Czy to możliwe, żeby ten kretyn był tak nieczuły na piękno projektów Astrologa? I pomyślał: „To bydlę zazdrości mu tego cudownego szaleństwa. Nie ma rady, trzeba go zabić.”

– I jedno, i drugie, a wybierzemy coś pomiędzy Kriszną a Rudolfem Valentino... ale postać bardziej mistyczną: dziecko o twarzy symbolizującej cierpienia tego świata. Nasze filmy wyświetlać będziemy w ubogich dzielnicach, na przedmieściach. Wyobraża pan sobie wrażenie, jakie wywrze na motłochu scena, kiedy blady bóg wskrzesza umarłego, widok złotonośnych rzek z jakimś archaniołem, na przykład Gabrielem, strzegącym metalowych łodzi i ponętnie wystrojonych dziewczyn gotowych poślubić każdego nieszczęśnika, jaki się zjawi. Nastąpi zalew podań o wyjazd do miasta Króla Świata i korzystanie z uciech wolnej miłości... Z tego motłochu wybierzemy najcenniejszych... i tam, na dole, w kopalniach, złamiemy ich i zmusimy do całodobowej pracy.

– Myślałem, że jest pan za robotnikami.

– Jak będę rozmawiał z proletariuszem, będę czerwony. Teraz mówię z panem i tylko panu powiem: moje stowarzyszenie będzie przypominało to, które w początkach dziewiątego wieku założył obwieś zwany Abdala-Aben-Maimun. Naturalnie, bez całej tej strony przemysłowej, która charakteryzuje moją organizację i gwarantuje jej powodzenie. Maimun chciał połączyć wolnomyślicieli, arystokratów i wierzących dwóch ras tak różnych jak perska i arabska w jedną sektę, o różnych stopniach inicjacji i wtajemniczenia. Wszystkich bezczelnie okłamywał. Żydom obiecywał nadejście Mesjasza, chrześcijanom Ducha Świętego, muzułmanom Mahdiego... tak że tłum

ludzi o najróżniejszych przekonaniach, statusie społecznym i wierzeniach pracował dla sprawy, której prawdziwy cel znany był tylko niewielu. W ten sposób Maimun liczył, że całkowicie zapanuje nad światem muzułmańskim. Nie muszę chyba mówić wam, że organizatorami tego ruchu byli niebywali cynicy, którzy absolutnie w nic nie wierzyli. Weźmiemy z nich przykład. Będziemy czerwonymi, katolikami, ateistami, militarystami – na różnych szczeblach inicjacji.

– Jest pan najbezcześniejszym alfonsiem, jakiego... Gdyby się panu udało...

Barsut doświadczał szczególnej przyjemności ubliżając Astrologowi. Bo nie dopuszczał do siebie myśli, że jest gorszy od niego. Poza tym było coś, co go głęboko poniżało, może się to wydać niewiarygodne, ale oburzało go, że Erdosain jest przyjacielem i cieszy się zaufaniem podobnego człowieka. I powtarzał w duchu: „Jak to się stało, że ten kretyn zaprzyjaźnił się z takim człowiekiem?” I z tego powodu czuł, że to nie tylko przekora każe mu sprzeciwiać się słowom Astrologa.

– Uda się, bo wiemy, gdzie szukać złota. Wyniki naszej działalności będą widoczne w dochodach z interesów, jakie rozkręcimy. Burdele będą źródłem forsy. Erdosain wymyślił aparat, który pozwala kontrolować liczbę klientów przyjmowanych dziennie przez każdą pensjonariuszkę. A oprócz tego darowizny i rozruch nowej produkcji: miedziana róża, którą wynalazł Erdosain. Teraz może pan sobie wytłumaczyć przyczyny porwania.

– Do diabła z takim wytłumaczeniem, kiedy siedzę pod kluczem!

W tej chwili Erdosain zdał sobie sprawę, jak niezwykle jest to, że Barsut ani razu nie zagroził Astrologowi represjami po wyjściu na wolność, co każe mu powiedzieć w duchu: „Trzeba uważać na tego Judasza, gotów jest nas wszystkich sprzedać, nie dla forsy, ale z zawiści.” Astrolog ciągnął:

– Pańskie pieniądze pomogą nam założyć lupanar, zorganizować małą grupkę i kupić narzędzia, aparaturę radiotelegraficzną i inne rzeczy do kopalni złota.

– A nie dopuszcza pan myśli o pomyłce?

– Tak... już o tym myślałem, ale postępuję, jakbym miał całkowitą pewność. Poza tym stowarzyszenie to jakby ogromny kocioł. Para, jaką wydziela, może poruszać zarówno dźwig, jak i wentylator...

– A pan co chce poruszać?

– Górę bezwładnego mięsa. My nieliczni chcemy, potrzebujemy niezwykłych sił ziemi. Będziemy szczęśliwi, jeśli nasze okrucieństwa zdołają sterroryzować słabych i wynieść mocnych. I dlatego właśnie należy wykrzesać w sobie siłę, rewolucjonizować świadomość, pochwalać barbarzyństwo. Czynnikiem o tajemniczej i olbrzymiej mocy, która wszystko to ożywi, będzie społeczeństwo. Przywrócimy *autodafe*, będziemy palili na rynku niedowiarków. Jak to jest, że ludzie nie zdali sobie dotychczas sprawy z niezwykłej urody tego aktu... palenia żywcem człowieka? I to za brak wiary w Boga, rozumie pan? za brak wiary w Boga. Potrzebna jest, niech mnie pan zrozumie, konieczna jest teraz jakaś potężna i mroczna religia, która na nowo rozogni serca ludzi. Żeby wszyscy padali na kolana po przejściu świętego i żeby modlitwa najlichszego kapłana sprawiała cuda na wieczornym niebie. Ach, gdyby pan wiedział, ile o tym myślałem. A dodaje mi odwagi to, że cywilizacja i nędza naszego wieku wypaczyła wielu ludzi. Ci na wpół szaleńcy nie znajdują dla siebie miejsca w społeczeństwie i stanowią marnującą się siłę. W najnędzniejszej podmiejskiej knajpie między dwoma prostytutkami i jednym cwaniakiem znajdzie pan trzech geniuszy. Geniusze ci nie pracują, nic nie robią... Zgadzam się z panem, że są to geniusze słomiani... Ale i ta słoma daje energię, która jeśli się ją dobrze wykorzysta, może być podstawą nowego i potężnego ruchu. I to jest element, jakim chcę się posłużyć.

– Menażer szaleńców?...

– Otóż to. Chcę zostać menażerem szaleńców, niezliczonych ukrytych geniuszy, wszystkich tych niespokojnych duchów, które nie mają dostępu do ośrodków spirytystycznych lub anarchistycznych... Ci wariaci... a mówię panu, bo mam doświadczenie... odpowiednio rozruszani zdolni są do czynów, które mogą przyprawić o gęsią skórkę. Szufladowi literaci. Wiejscy odkrywcy, parafialni prorocy, kawiarniani politycy i wakacyjni filozofowie będą mięsem armatnim naszego stowarzyszenia.

Erdosain uśmiechnął się. Potem, nie spojrzawszy na skutego mężczyznę, powiedział:

– Nie znasz okrutnej zuchwałości tych niedocenionych geniuszy...

– Tak, jak długo się ich nie zrozumie, prawda, Barsut?

– Mnie to nie interesuje.

– A powinno pana interesować, bo zostanie pan jednym z nas. Ja to mówię: Tak, jeśli takiemu niezrozumianemu człowiekowi powiedziec, że nie jest geniuszem, wówczas cała jego bezczelność i arogancja skieruje się przeciw panu. Ale zacznijmy chwalać systematycznie jakiegoś zakochanego w sobie potwora, a facet, który zabiłby pana przy najmniejszym geście sprzeciwu, stanie się pańskim fagasem. Trzeba tylko umiejętnie dozować kłamstwa. Wynalazca czy poeta, będzie zawsze na pańskie usługi.

– Pan także uważa się za geniusza? – wybuchnął gniewnie Barsut.

– Ja także uważam się za geniusza... Jasne, że się uważam... ale przez pięć minut i tylko raz dziennie... a zresztą mało mnie to obchodzi. Słowa niewiele znaczą dla człowieka czynu. To ci niedocenieni geniusze pęcznieją od zbędnych słów. Postawiłem przed sobą zadanie, które nie ma nic wspólnego z moimi predyspozycjami intelektualnymi: Jak można uszczęśliwić ludzi? I zaczynam zbliżać się do wszystkich tych nieszczęśników, ukazywać jako cel ich działalności nieprawdę, która uszczęśliwia, gdyż schlebia próżności... a te ofiary losu, które pozostawione same sobie przeminęłyby wśród niezrozumienia, będą drogocennym tworzywem naszej potęgi... parą...

– Zbacza pan z tematu. Pytałem, jakim osobistym celem kieruje się pan organizując stowarzyszenie.

– Pańskie pytanie jest głupie. Po co Einstein stworzył swoją teorię? Świat równie dobrze może się obejść bez teorii Einsteina. Skąd mogę wiedzieć, czy nie jestem narzędziem sił wyższych, w które ani na jotę nie wierzę? Nic nie wiem. Świat jest pełen tajemnic. Możliwe, że jestem tylko pośrednikiem, kimś przygotowującym piękny dom, w którym kiedyś umrze Wybraniec Święty.

Barsut uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie. Ten człowiek z kłapiastymi uszami, szczeciniastą czupryną i w fartuchu stolarza, rozprawiający o jakimś Wybrańcu, budził w nim ironię. Na ile ten drań udaje? A najciekawsze, że nie może się gniewać na niego, powstrzymują go jakieś niewyraźne odczucia, nic go nie zaskakuje, wydaje mu się nawet, że już słyszał te myśli wypowiedane tym samym głosem w jakichś innych okolicznościach, jakby zagubione w szarym krajobrazie snu.

Głos Astrologa brzmiał teraz mniej władczo:

– Niech mi pan uwierzy, zawsze tak się dzieje w czasach niepokoju i zagubienia. Nieliczni tylko przeczuwają, że coś niezwyklego musi się wydarzyć... Ci ludzie z intuicją, tacy jak ja, należą do owego grona wyczekujących, czują się w obowiązku budzić świadomość społeczną... robić coś, nawet jeśli są to niedorzeczności. Moje „coś” w tej sytuacji to właśnie tajne stowarzyszenie. Wielki Boże! Czy człowiek może przewidzieć skutki własnych poczynań? Kiedy myślę, że wprawię w ruch cały ten świat kukiełek... kukiełek, które się rozmnożą... wstrząsają mną dreszcze i wydaje mi się, że to, co się może jeszcze wydarzyć, jest tak niezależne od mej woli jak w wypadku właściciela elektrowni wszystkie te wybryki, jakich na tablicy rozdzielczej może dopuścić się nagle oszalały elektryk. A mimo to czuję przemożną potrzebę rozruszania tego, skupienia w jedno rozproszonej siły stu różnych psychik, zharmozowania ich dzięki egoizmowi, próżności, pragnieniom i iluzjom, wyjścia od kłamstwa i dotarcia do złota... czerwonego metalu...

– Ma pan słuszność... Zwycięży pan.

– Dobrze, a czego oczekuje pan teraz ode mnie? – odparł Barsut.

– Już to mówiłem. Żeby podpisał pan czek na siedemnaście tysięcy pesos. Zostaną panu trzy tysiące. Z tym może pan sobie iść do diabła. Resztę zwrócimy w ratach miesięcznych z tego, co przyniosą burdele i kopalnie kruszcu.

– I wyjdę stąd?

– Gdy tylko zrealizujemy czek.

– A jak mi pan udowodni, że to prawda?

– Pewnych rzeczy się nie udowadnia... Ale skoro prosi mnie pan o dowód, powiem tak: Jeśli nie zgodzi się pan podpisać czeku, każę pana poddać torturom, zajmie się tym Człowiek, który widział Akuszerkę, a potem, po podpisaniu czeku, i tak zabiję pana...

Barsut podniósł bezbarwne oczy i teraz jego twarz z trzydniowym zarostem wyglądała jak obsypana miedzianym proszkiem. Zabiję pana! Słowa te nie wywarły na nim żadnego wrażenia. W tej chwili nie miały dla niego żadnego sensu. Poza tym tak niewiele zależało mu na życiu... Od dawna oczekiwał jakiejś katastrofy: ta już nastąpiła, a on, zamiast czuć się osaczony przez lęk, odkrywał w sobie cyniczną

obojętność, która na wszystko kazała mu tylko wzruszać ramionami. Astrolog ciągnął dalej:

– Ale nie chciałbym, żeby do tego doszło... Chciałbym liczyć na pańską osobistą pomoc... żeby pan zainteresował się naszymi projektami. Niech mi pan wierzy, żyjemy w strasznych czasach. Ten, kto odkryje kłamstwo, jakiego tłum potrzebuje, stanie się Panem Świata. Wszyscy ludzie są przygnębieni... Katolicyzm nikogo już nie zadowala, buddyzm nie odpowiada naszemu temperamentowi zepsutemu pragnieniem uciech. Można by mówić jeszcze o Lucyferze i Gwieździe Wieczornej. Uzupełni pan nasze sny całą tą poezją, jakiej oni potrzebują, i uderzymy w młodych.... o, to jest wielka rzecz... bardzo wielka...

Astrolog osunął się na skrzynię. Był wyczerpany. Kraciastą chusteczką wytarł pot z czoła i przez chwilę trwali w milczeniu.

Nagle Barsut powiedział:

– Tak, ma pan rację, to jest wielka rzecz. Niech mnie pan puści, podpiszę czek.

Myślał, że wszystko, co Astrolog powiedział, jest kłamstwem, i omal go to nie zgubiło.

Astrolog podniósł się zamyślony.

– Przepraszam, ale wypuszczę pana na wolność po zrealizowaniu czeku. Dzisiaj jest środa. Jutro po południu może być pan wolny, ale nasz dom będzie pan mógł opuścić dopiero za dwa miesiące – powiedział to, gdyż zauważył, że Barsut niezbyt wierzy w jego projekty. – Czy teraz potrzebuje pan jeszcze czegoś?

– Nie.

– No to do widzenia.

– Jak to, już pan idzie?... Proszę zostać...

– Nie. Jestem zmęczony. Muszę się chwilę zdrzemnąć. Wieczorem przyjdę i trochę pogadamy. Zostawić panu papierosy?

– Dobrze.

Wyszli ze stajni.

Barsut wyciągnął się na swym legowisku z siana i zapalił papierosa, wypuszczając z ust kłęby dymu, które w ukośnej smudze światła wiły się wspaniałymi stalowoszarymi spiralami. Teraz, kiedy został sam, myśli jego uporządkowały się i nawet wymruczał przyjaźnie:

– A właściwie dlaczego by nie pomóc temu facetowi? Projekt kolonii jest interesujący i teraz rozumiem, dlaczego to bydlę Erdosain tak go podziwia. Jasne, że i tak zdechnę na ulicy... może tak, może nie... tak czy inaczej, trzeba się decydować. – I przymknął oczy, żeby się zastanowić nad przyszłością.

Astrolog, z kapeluszem zsuniętym na oczy, zwrócił się do Erdosaina:

– Barsut myśli, że wyprowadził nas w pole. Jutro po zrealizowaniu czeku musimy go załatwić...

– Nie, to pan musi...

– Nie mam nic przeciwko... bo co z nim robić. Na wolności ten zawistnik gotów nas natychmiast wsypać. I ma nas za durni. Bylibyśmy nimi, gdybyśmy go wypuścili żywego.

Zatrzymali się koło domu. W górze czekoladowe chmury pochłaniały błękit swymi niespokojnymi jezorami.

– Kto go zabije?

– Człowiek, który widział Akuszerkę.

– Wie pan, że nie jest przyjemnie umierać, kiedy lato na dworze.

– Tak, to prawda...

– A czek?

– Pan go zrealizuje.

– Nie boi się pan, że mogę uciec?

– Nie, na razie nie.

– Dlaczego?

– Bo nie. Bardziej niż ktokolwiek potrzebuje pan tego stowarzyszenia, żeby uciec przed nudą. Właśnie dlatego jest pan moim współnikiem... z nudów, z przygnębienia.

– Możliwe. O której godzinie spotkamy się jutro?

– Tego... o dziewiątej na stacji. Przyniosę panu czek.

A propos, ma pan jakiś dowód tożsamości?

– Tak.

– No to nie ma się czego obawiać. Aha, jeszcze jedno. Radzę panu mówić na spotkaniu niewiele i chłodno.

– Czy są wszyscy?

– Tak.

– Poszukiwacz Złota też?

– Tak.

Odsuwając gałęzie, które uderzały ich po twarzy, zbliżyli się do altany. Była to budka zbita z listew, a z jej drewnianych

ścian wyrastały zielone łodygi wiciokrzewu pełne fioletowych i białych dzwonków.

Farsa

Kiedy weszli, krąg mężczyzn podniósł się, a Erdosain przystanął zaskoczony tym, że wśród zebranych widzi wojskowego w mundurze majora.

Byli to Poszukiwacz Złota, Haffner, jakiś nieznajomy i Major. Dwaj pierwsi z łokciami na stole. Haffner przeglądał jakieś nie podpisane papiery, a Poszukiwacz Złota wpatrywał się w mapę przyciśniętą okrągłym kamieniem w obawie przed porywami wiatru. Alfons uścisnął dłoń Erdosaina, a ten usiadł koło niego i zaczął obserwować Majora, który obudził w nim nagłą ciekawość. Astrolog rzeczywiście był mistrzem w zaskakiwaniu.

Nieznajomy wywarł jednak na Erdosainie niekorzystne wrażenie.

Był mężczyzną wysokim, miał siną twarz i czarne oczy. Było w nim coś odrażającego, dolna warga wykrzywiała się w ciągłym pogardliwym grymasie, a długi i krzywy nos marszczył się wtedy w trzy poprzeczne fałdy. Jedwabiste wąsy opadały na czerwone wargi: ledwie raczył spojrzeć na Erdosaina, gdy mu go przedstawiono, po czym natychmiast opadł na hamak i siedział tam z głową odchyloną, oficerską szpadą między kolanami i kosmykiem włosów przyklejonym do płaskiego czoła.

Przez kilka minut trwali w milczeniu, przyglądali się sobie z wyraźnym zakłopotaniem. Astrolog, siedzący przy wejściu do altany, zapalił papierosa i obserwował z ukosa szefów. Tak nazwano ich na jednym z późniejszych zebrań. Nagle podniósł głowę, spojrzął na pięciu mężczyzn za stołem i rzekł:

– Nie uważam za konieczne wracać do tego, co już wszyscy wiemy i co ustaliliśmy na spotkaniach prywatnych... to znaczy, do sprawy organizacji tajnego stowarzyszenia, które będzie się utrzymywało z interesów zgodnych z moralnością lub niezupełnie. Co do tego jesteśmy jednomyślni, prawda?

A co panowie na to, żebyśmy (bo lubię geometrię) nazwali główne działy stowarzyszenia „komórkami”?

– Tak nazywają się w Rosji – powiedział Major. – Członkowie jednej komórki nie mogą znać członków innej.

– Jak to... szefowie nie będą się znali między sobą?

– Powtarzam, nie będą się znali nie szefowie, lecz zwykli członkowie.

Poszukiwacz Złota przerwał:

– W ten sposób nie będzie można nic zdziałać. Co ma łączyć członków różnych komórek?

– Przecież stowarzyszenie to nas sześciu.

– Nie, proszę pana... to ja – zaprotestował Astrolog. – A mówiąc poważnie, powiem wam, że organizacja to my wszyscy... oczywiście z wyjątkiem spraw, które tylko mnie podlegają.

Głos zabrał Major:

– Myślę, że ta dyskusja nie ma sensu, bo o ile wiem, będzie istniała ścisła hierarchia. Po każdym awansie członek komórki wejdzie w kontakt z nowym szefem. Będzie tyle awansów, ile szefów komórek.

– Jaka jest obecna liczba komórek?

– Cztery. Ja będę odpowiedzialny za wszystko – ciągnął Astrolog. – Pan, Erdosainie, będzie Szefem Przemysłu. Poszukiwacz Złota – młody człowiek na rogu stołu pochylił głowę – zajmie się Koloniami i Kopalniami, Major rozbuduje naszą organizację w wojsku, a Haffner będzie Szefem Domów Publicznych.

Haffner podniósł się i zawołał:

– Przepraszam, ale nie będę szefem niczego. Jestem tutaj, tak jak mógłbym być w każdym innym miejscu. Mogę dla was zrobić tylko jedno: przygotować kosztorys i nic więcej. Jeśli przeszkadzam, mogę wyjść.

– Nie, proszę zostać – powiedział Astrolog.

Smutny Alfons usiadł znowu i zaczął coś gryzmolić na kartce papieru. Erdosain był pełen podziwu dla jego bezczelności.

Z pewnością jednak największą uwagę i ciekawość skupiał na sobie Major, budzący autorytet mundurem i swymi dziwnymi powiązaniem.

Poszukiwacz Złota zwrócił się do niego:

– Jak to? Myśli pan, że naszej organizacji uda się przeniknąć do armii?

Wszyscy wyprostowali się na krzesłach. Była to niespodzianka, pieczołowicie przygotowane, efektowne uderzenie. Nie ulegało wątpliwości: Astrolog jest wodzem w każdym calu. Szkoda tylko, że zawsze trzyma w tajemnicy własne plany. Erdosain był jednak dumny z tego, że został jego współnikiem. A zatem wszyscy wyprostowali się na krzesłach, żeby usłyszeć Majora. Ten spojrzał na Astrologa i zaczął:

– Panowie, przemyślałem to wszystko wnikliwie. Inaczej nie byłoby mnie tutaj. Rzecz ma się następująco: nasza armia jest podminowana niezadowolonymi oficerami. Nie warto wyliczać powodów, nie będzie to zresztą panów interesowało. Idea „dyktatury” oraz wydarzenia polityczne i wojskowe ostatnich czasów, mam na myśli Hiszpanię i Chile, podsunęły wielu moim towarzyszom broni myśl, że i nasz kraj mógłby być terenem odpowiednim do dyktatury.

Wszyscy otworzyli usta w szalonym zdziwieniu. Tego się nie spodziewali.

Poszukiwacz Złota zareplikował:

– Więc sądzi pan, że wojsko argentyńskie... to znaczy... oficerowie zaakceptują nasze idee?

– Oczywiście, że je zaakceptują... pod warunkiem, że będziecie umieli je uporządkować. Już teraz mogę powiedzieć, że w wojsku jest niemało oficerów rozczarowanych teoriami demokratycznymi, a nawet instytucją parlamentu. Proszę mi nie przerywać. Dziewięćdziesiąt procent posłów stoi kulturalnie niżej od pierwszego lepszego porucznika naszej armii. Pewien polityk, oskarżony o współudział w zabójstwie jakiegoś gubernatora, słusznie powiedział: „Dla rządzenia krajem nie trzeba większych zdolności, niż wymaga się od rządcy majątku.” I człowiek ten powiedział prawdę, jeśli chodzi o naszą Amerykę.

Astrolog zacierał dłonie z widocznym zadowoleniem.

Major, w którego utkwione były spojrzenia wszystkich, ciągnął:

– Wojsko jest organizacją wyższą w ramach organizacji niższego rzędu, jako że to my jesteśmy specyficzną siłą kraju. Mimo to podlegamy decyzjom rządu... A co stanowi rząd? Władza ustawodawcza i wykonawcza... to znaczy, ludzie wybierani przez jakieś pokraczne partie polityczne... I to mają

być reprezentanci, panowie! Wiecie lepiej ode mnie, że aby zostać deputowanym, trzeba mieć za sobą staż w okłamywaniu, zacząć jako pomagier przy wyborach, paktować i kumać się z najróżniejszymi kreaturami, krótko mówiąc, żyć na marginesie prawa i prawdy. Nie wiem, czy tak się dzieje w krajach bardziej cywilizowanych od naszego, ale tutaj tak właśnie jest. W naszej izbie posłów i senatorów zasiadają ludzie oskarżeni o lichwę i morderstwa, bandyci zaprzędani zagranicznym firmom, tak oczywiste nieuki, że parlamentaryzm zakrawa tu na jawną komedię, rzucającą cień na cały kraj. Wybory prezydenckie dokonują się za kapitały amerykańskie, za uprzednią obietnicę udzielenia koncesji firmom zainteresowanym eksploatacją naszych bogactw narodowych. Nie przesadzę, kiedy powiem, że walka partii politycznych w naszej ojczyźnie nie jest niczym innym jak kłótnią handlarzy, z których każdy chce sprzedać kraj za lepszą cenę.*

Wszyscy patrzyli zdumieni na Majora. Poprzez ukwiecone ścianki altany widać było błękit porannego nieba, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Erdosain opowiedział mi potem, że nikt z obecnych na środowym zebraniu nie spodziewał się czegoś równie interesującego. Major wytarł chusteczką usta i ciągnął:

– Cieszę się, że interesuje panów to, co mówię. Jest wielu młodych oficerów myślących podobnie jak ja. Liczymy nawet na paru nowych generałów... Wypadałoby teraz, i nie zdziwicie się temu, co powiem, nadać stowarzyszeniu charakter komuny. Mówię to, bo nie ma tutaj komun, jako że trudno tak nazywać pejsatą hałastrę stolarzy bełkoczących wciąż o problemach społecznych w dzielnicy, gdzie nie ma zwyczaju chodzić z odkrytą głową. Chcę wam wyjaśnić dokładnie moją myśl. Każda tajna organizacja to rak na ciele społeczeństwa. Jej ukryta działalność narusza równowagę społeczną. Wobec tego my, szefowie komórek, nadamy im charakter rewolucyjny i totalitarny. – Po raz pierwszy padały te słowa i wszyscy bezwiednie spojrzeli po sobie. – Przyciągnie to jakichś wykolejeńców, a w konsekwencji przyczyni się do powiększenia liczby komórek. Stworzymy w ten sposób jakby rewolucyjną

* Uwaga komentatora: Powieść ta była pisana w latach 1928 i 1929 i ukazała się w wydawnictwie Rosso w październiku 1929 r. Byłoby zatem śmieszne sądzić, że na oświadczenia Majora miał wpływ przewrót z 6 września 1930 roku. Ciekawe jest jednak, że deklaracje oficerów, którzy dokonali w tym dniu przewrotu, są aż tak zbieżne z tym, co mówił Major, a co znajduje wciąż dodatkowe potwierdzenie w licznych wydarzeniach po 6 września.

armię. Szczególną wagę będziemy przywiązywać do zamachów terrorystycznych. Jeden zamach, nawet błahy, ożywia w społeczeństwie wszystkie mroczne siły. Jeśli w ciągu roku dokonamy kilku zamachów dodając do tego odezwy antyspołeczne podburzające robotników do organizowania się... Wiecie, panowie, do czego doprowadzimy? Do czegoś wspaniałego i prostego. Nastąpi w kraju rewolucyjne wrzenie.

Nazwałbym „rewolucyjnym wrzeniem” zbiorowy niepokój, w którym nikt nie odważa się ujawnić swych pragnień: wszyscy czują się poruszeni, podnieceni, gazety podsycają burzę, a policja pomaga im zatrzymując niewinnych, którzy z powodu doznanych cierpień stają się rewolucjonistami: każdego ranka ludzie budzą się spragnieni nowości, czekają na zamach okrutniejszy od poprzedniego i potwierdzający ich przypuszczenia, policyjna samowola dodaje ducha tym wszystkim, co jej nie doświadczyli, nie braknie przy tym zapaleńca strzelającego z rewolweru prosto w pierś jakiegoś policjanta, organizacje robotnicze buntują się i ogłaszają strajki, a słowo „rewolucja” napawa wszystkich lękiem i nadzieją. I teraz, kiedy w różnych zakątkach miasta wybuchają bomby, a odezwy wiszą wszędzie i dojrzewa rewolucyjny niepokój, teraz wkraczamy do akcji my, wojskowi...

Major odsunął nogę w długich butach, na które padał promień słońca, i ciągnął:

– Tak, wkraczamy my, wojskowi. Powiemy, że wobec nieudolności rządu, który nie jest w stanie bronić instytucji ojczyzny, kapitału i rodziny, obejmujemy władzę w państwie i ogłaszamy tymczasową dyktaturę. Wszystkie dyktatury są tymczasowe, żeby nie gasić nadziei. Kapitałiści, a zwłaszcza zachowawcze rządy za granicą, natychmiast uznają nowy stan rzeczy. Oskarżymy Sowietów, że zmusili nas do przyjęcia podobnej postawy, i rozstrzelamy paru biedaków, którzy przyznają się do produkcji bomby. Zawiesimy działalność parlamentu i ograniczymy do minimum budżet państwa. Cała administracja przejdzie w ręce wojskowych. Kraj osiągnie w ten sposób niebywałą potęgę.

Major zamilkł, a w ukwieconej altanie rozległy się brawa. Jakiś gołąb poderwał się do góry.

– Pański plan jest piękny – rzekł Erdosain – ale wygląda na to, że mamy pracować na was...

– Czyż nie chcieliście, panowie, być szefami?

– Tak, ale to, co dostaniemy, będzie resztką ze stołu...

– Nie, proszę pana... pan się myli... chodzi o to...

Wtrącił się Astrolog:

– Panowie... Nie zebraliśmy się tutaj, żeby dyskutować o sprawach, jakie nas teraz nie interesują, ale żeby określić kompetencje szefów komórek. Jeśli jesteście gotowi, możemy zaczynać.

Krzepki młodzieniec, który dotychczas nie zabierał głosu, włączył się do rozmowy.

– Panowie pozwolą?

– Proszę bardzo...

– No więc myślę, że całą sprawę trzeba by ustawić w ten sposób: chcecie, panowie, rewolucji czy nie? Szczegóły organizacyjne to sprawa dalsza.

– Właśnie... właśnie, sprawa dalsza... tak, proszę pana.

Nieznajomy wyjaśnił do końca:

– Jestem przyjacielem pana Haffnera. Jestem adwokatem. Zrezygnowałem z korzyści, jakie mógłbym czerpać z mej profesji, tylko dlatego, żeby nie wchodzić w żadne układy z reżimem kapitalistycznym. Mam prawo tak myśleć czy nie?

– Oczywiście, ma pan prawo.

– A zatem mogę panów zapewnić, że to, co powiedział Major, nadaje naszemu stowarzyszeniu nową orientację.

– Nie – sprzeciwił się Poszukiwacz Złota. – Może być punktem wyjścia, co nie wyklucza innych celów.

– Jasne.

– Tak.

Wydawało się, że sprzeczką ożyje na nowo. Astrolog podniósł się.

– Panowie, porozmawiacie o tym kiedyś indziej. Teraz chodzi o organizację typu handlowego... nie zaś idee. Tym samym pomijamy wszystko, co wykracza poza tę sprawę.

– Ależ to jest dyktatura – wykrzyknął adwokat.

Astrolog przyglądał się mu przez chwilę, a potem rzekł powściągliwie:

– Jak widzę, ma pan temperament przywódcy... Tak, chyba tak. Pańskim zadaniem będzie więc, o ile jest pan inteligentny, utworzenie z dala od nas innej organizacji. W ten sposób szybciej spowodujemy rozpad obecnego społeczeństwa. Tutaj jednak musi mnie pan słuchać albo się wycofać.

Przez chwilę dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem: adwo-

kat wstał, wpił się oczyma w Astrologa, pochylił głowę z uśmiechem człowieka silnego i wyszedł.

Ciszę przerwał Major, który powiedział do Astrologa:

– Postąpił pan bardzo słusznie. Dyscyplina jest podstawą wszystkiego. Słuchamy pana.

Romby słońca układały się słoneczną mozaiką na czarnej podłodze altany. Z daleka zadźwięczało kowadło w jakiejś kuźni, rój ptaków rozświergotał się wśród gałęzi. Erdosain ssiał biały kwiat wiciokrzewu, a Poszukiwacz Złota, z łokciami na kolanach, wpatrywał się uważnie w ziemię.

Alfons palił papierosa, a Erdosain rzucił spojrzenie na mongolowatą twarz Astrologa siedzącego w szarym płaszczu zapiętym aż pod szyję.

Po tych słowach zapadła przykra cisza. Czego szukał tutaj ten intruz? Erdosain podniósł się nagle rozgniewany i wykrzyknął:

– Będzie tutaj taka dyscyplina, jakiej chcecie, ale absurdem jest, żebyśmy mówili o dyktaturze wojskowej. Nas mogą obchodzić tylko ci wojskowi, którzy przystąpią do naszego ruchu.

Major wyprężył się na krześle i spojrzawszy na Erdosaina powiedział ze śmiechem:

– A zatem dobrze odegrałem moją rolę?

– Rolę?

– Tak, mój panie... ze mnie taki sam major jak z pana.

– Czy zdajecie sobie teraz sprawę z potęgi kłamstwa? – zapytał Astrolog. – Przebrałem mego przyjaciela w wojskowy mundur, a panowie, choć we wszystko wtajemniczeni, już uwierzyliście, że w wojsku szykuje się rewolucja.*.

– Jak to?...

– Była to tylko próba... bo komedię tę odegramy kiedyś naprawdę.

Słowa te zabrzmiały jak pogróżka, a czterej mężczyźni spojrzeli na Majora, który rzekł:

– W rzeczywistości mam tylko stopień sierżanta – ale Astrolog przerwał jego wyjaśnienia i rzekł:

– Przyjacielu Haffner, czy ma pan kosztorys?

– Tak... proszę.

* Uwaga komentatora: Potem okazało się, że Major nie był oficerem fałszywym, lecz prawdziwym, i że kłamał, kiedy mówił, że odegrał tylko komedię.

Astrolog kartkował przez parę minut stronice zabazgrane liczbami i wyjaśnił zebrany:

– Najsolidniejszą podstawą ekonomiczną naszego stowarzyszenia będą domy publiczne.

Po czym ciągnął dalej:

– Ten pan dał mi właśnie kosztorys domu publicznego z dziesięcioma panienkami. Oto wydatki, jakie nas czekają:

10 kompletów sypialnych, używanych	2 000 pesos
wynajem domu, miesięcznie	400 pesos
kaucja za trzy miesiące	1 200 pesos
instalacja kuchni, łazienki i baru	2 000 pesos
łapówka miesięczna dla komisarza	300 pesos
łapówka dla lekarza	150 pesos
łapówka dla naczelnika urzędu za koncesję . . .	2 000 pesos
podatek miesięczny dla magistratu	50 pesos
Pianola	1 500 pesos
Szefowa	150 pesos
Kucharz	150 pesos
	Razem 9 900 pesos

Każda pensjonariuszka płaci czternaście pesos miesięcznie na pokrycie kosztów wyżywienia i musi zaopatrywać się u nas w *yerba mate*, cukier, naftę, świece, pończochy, pudry, mydło i perfumy.

Wykluczając wydatki specjalne możemy liczyć miesięcznie na co najmniej dwa i pół tysiąca pesos dochodu. W ciągu czterech miesięcy odzyskamy zainwestowany kapitał. Z pięćdziesięciu procent bieżących dochodów założymy dalsze lupanary, dwadzieścia pięć procent pójdzie na pokrycie długów, a pozostałą część przeznaczymy na utrzymanie komórek. Czy wyrażacie zgodę na wydanie dziesięciu tysięcy pesos?

Wszyscy skłonili głowy przytakująco, tylko Poszukiwacz Złota zapytał:

- A kto będzie prowadził rachunki?
- Wybierzemy kogoś pod koniec zebrania. .
- Zgoda.
- Pan także, Majorze?
- Tak.

Erdosain podniósł głowę i spojrzał na bladą twarz fałszywe-

go sierżanta, którego rozbiegane oczy zatrzymały się na białym motylu poruszającym skrzydłami wśród zieleni, ale tym razem już tylko zapytał sam siebie, jak to jest możliwe, że Astrolog dyryguje tymi komediantami. Ale Astrolog domagał się teraz odpowiedzi właśnie od niego:

– Ile pan, Erdosainie, potrzebuje na założenie zakładu galwanoplastycznego?

– Tysiąc pesos.

– Aha, to pan jest wynalazcą miedzianej róży? – zapytał Major.

– Tak.

– Moje gratulacje. Myślę, że rzecz się rozkręci. Naturalnie trzeba by metalizować kwiaty w znacznych ilościach.

– Tak jest. Myślałem połączyć to z zakładem fotograficznym. Pokryłoby to koszty.

– To już zależy od pana.

– Poza tym mam przyjaciela znającego się na galwanoplastyce – mówiąc to miał na myśli Espilę, który także mógłby przystąpić do stowarzyszenia, ale Astrolog przerwał mu:– Poszukiwacz Złota poinformuje teraz o okolicy, gdzie planujemy założyć naszą kolonię – i ten podniósł się.

Erdosain zdziwił się na jego widok. Wyobrażał sobie, zgodnie z filmowymi schematami, że zobaczy ogromnego mężczyznę z płową brodą, cuchnącego wódką. Nic podobnego.

Poszukiwacz Złota był młodzieńcem w jego wieku, o bladej cerze, kościstej twarzy i z czarniawymi, żywymi oczyma. Olbrzymia klatka piersiowa zdawała się należeć do mężczyzny co najmniej dwa razy solidniejszego. Nogi miał szczupłe i lekko kabłąkowate. Między skórzanym paskiem a tkaniną spodni widać było kolbę rewolweru. Miał głos czysty, ale wszystko to wyglądało dziwnie, jak gdyby złożony był z rozmaitych ludzkich części należących do mężczyzn najróżniejszych profesji. I tak jego twarz przywodziła na myśl szulera zezującego znad kart, pierś boksera, zaś nogi dżokeja. I w jego życiu było coś z tej mieszaniny, z owej niespokojnej rzeczywistości, jaką tworzyło jego ciało. Do czternastego roku życia mieszkał na wsi, potem zastrzelił złodzieja, a jeszcze później lęk przed suchotami rzucił go znowu na pampę i kazał przemierzać konno ogromne połacie kraju. Erdosain od pierwszej chwili poczuł do niego sympatię.

Poszukiwacz Złota wyjął z paczuszki jakieś kamienie. Kawalki złotonośnego kwarcu. Potem rzekł:

– Tutaj jest wynik analizy z Instytutu Kopalnictwa i Hydrologii.

Kamienie przechodziły prędko z ręki do ręki. Oczy błyszczały niezwykłą pożądlivością, a opuszki palców pieściły kwarc z odpryskami i zbitymi ziarenkami złota. Astrolog, skręcając wolno papierosa, wpatrywał się w te twarze, nagle rozpromienione... na widok kamieni napinały się z chciwości. Poszukiwacz Złota znowu usiadł i zwrócił się do wszystkich:

– Tam na dole jest dużo złota. Nikt nie zna miejsca. To w Campo Chileno. Najpierw byłem w Esquel... są tam jeszcze maszyny porzucone w pustych wykopach, potem kręciłem się po Arroyo Pescado... pieszko... tam, nie wiem, czy panom wiadomo, dni nikt nie liczy, i doszedłem do Campo Chileno. Selwa, dziki las na obszarze tysięcy kilometrów kwadratowych. Była ze mną Maska. Taka jedna ulicznica z Esquel, знаła drogę, bo była tam przedtem z górnikiem, którego zabili po powrocie. Bo i tam na dole zabija się za nic. Miała syfa i została w lesie. Tak, pamiętam! Od dwudziestu lat kręciła się po tej okolicy. Z Puerto Madryn szła do Comodoro Rivadavia, potem do Trelew, potem do Esquel. Znała wszystkich poszukiwaczy złota. Najpierw poszliśmy nad Arroyo Pescado... to sto dwadzieścia mil na południe od Esquel... ale znaleźliśmy tylko trochę złotego proszku wśród piachów... konno jechaliśmy piętnaście dni i klucząc po górach dotarliśmy do Campo Chileno.

Głosem dźwięcznym, w skupieniu, Poszukiwacz Złota opowiadał o swej odysei na południe. Słuchając go Erdosain miał wrażenie, że przedziera się razem z Maską przez potężne, mroczne i lodowe wąwozy, zamknięte u wylotu fioletowymi stożkami gór. Płaskowyzę tonęły w bezkresnych borach pełnych drzew z czerwonawymi pniami i czarnozielonawym listowiem, a oni, urzeczeni, szli naprzód pod niebem głębokim i gładkim, jakby to była lodowata, błękitna pustynia. Poszukiwacz Złota, nieczuły na podziw, jaki budził, opowiadał bez pośpiechu o swych wielomiesięcznych przygodach. Słuchali go z przejęciem.

– Później, któregoś ranka, dotarłem do czarnego wąwozu. Była to czeluść czarnych skał, bazaltowa, postrzępiona otchłan, której brzegi najeżone mrocznymi stalagmitami na-

dawały błękitowi nieba ponury wygląd. Zabłąkane ptaki ocierały się w locie o turnie i gubiły w cieniu gór jeszcze wyższych... Na dnie błyszczało jezioro ze złocistą wodą, do którego wpadały nitki wodospadów rozplatające się na skalnych progach.

Poszukiwacz Złota nigdy nie był w okolicach równie posępnych. Ta brązowa wodna otchłań, w której odbijały się górskie szczyty, zdumiała go. Kamienne ściany upstrzone zielonkawymi naroślami, żyłami malachitów, opadały prostopadle, a w brunatnej toni jego blada i brodata postać odbijała się z nogami zwróconymi ku niebu.

Przyszła mu nagle do głowy myśl, że woda jest szczerozłota, ale odrzucił to przypuszczenie, bo nigdy nie słyszał i nie czytał o czymś podobnym, i ciągnął swą opowieść:

– Ale po powrocie, kiedy byłem pewnego dnia w Rawson u dentysty, zachciało mi się przewertować „Tygodnik Medyczny” leżący na jednym ze stolików w poczekalni... i tutaj nastąpił cud. Otwieram na chybił trafił numer i na pierwszej stronie widzę artykuł zatytułowany: *Złota woda, czyli woda koloidowa, w terapii toczenia rumieniowatego*. Zacząłem czytać i zrozumiałem, że złoto można rozpuścić w wodzie na mikroskopijne cząstki... i że to nowe dla mnie zjawisko odkryli niegdyś alchemicy, którzy nazwali je „złotą wodą”. Otrzymywali je w najprostszy sposób, jaki można sobie wyobrazić: wrzucając rozżarzony kawałek złota do deszczówki. Natychmiast przypomniałem sobie jezioro, którego zabarwienie przypisywałem substancjom roślinnym. Byłem obok jeziora pełnego koloidowego złota, które nie wiadomo ile wieków powstawało z wód płynących wśród złotych żył, i nic o tym nie wiedziałem. Czy zdajecie sobie teraz sprawę, czym jest ignorancja? Gdyby przypadek nie podsunął mi tamtego czasopisma, nigdy bym się nie dowiedział o własnym odkryciu...

– I wrócił pan tam? – przerwał Major.

– Ależ naturalnie. Wróciłem osiem miesięcy później, wtedy gdy do pana napisałem... ale... wyszedłem z błędnego założenia... muszę przemyśleć jeszcze raz sprawę otrzymywania złota metalicznego... poza tym są tam żyły... trzeba nad tym trochę popracować... zdobyć strój nurka, bo dno wody jest złotonośne, a sama woda bezbarwna.

Haffner powiedział:

– Mówi pan ciekawe rzeczy. Zakładając nawet, że nie ma tam złota, lepsze to niż całe to parszywe miasto.

Major dodał:

– Jeśli założymy kolonię w Campo Chileno, będziemy musieli zbudować stację telegraficzną.

Erdoesain odrzekł:

– Skoro tak, można by zdobyć stację przenośną pracującą na falach od czterdziestu pięciu do osiemdziesięciu metrów. Kosztuje około pięciuset pesos i ma zasięg do trzech tysięcy kilometrów.

Znowu głos zabrał Major:

– Kolonia ma dla mnie pierwszeństwo, bo tam będzie można założyć fabrykę gazów duszących. Pan, Erdoesainie, wie coś na ten temat.

– Tak, dwujodek tymolu można wytwarzać metodą elektrolityczną, ale nie zajmowałem się tym specjalnie, choć istotnie gazy duszące i laboratorium bakteriologiczne winny nas zajmować w szczególnym stopniu. Zwłaszcza laboratorium z kolonią bakterii dżumy dymienicowej oraz cholery azjatyckiej. Trzeba by zdobyć trochę bakterii na początek, a korzyść z tego to niezwykła taniość produkcji.

Astrolog wtrącił:

– Myślę, że lepiej byłoby zostawić organizację kolonii na potem. Teraz powinniśmy ograniczyć się do wprowadzenia w życie projektu Haffnera. Dopiero gdy zdobędziemy odpowiednią sumę, wyślemy pierwszy kolonijny kontyngent. Erdoesain, wspominał mi pan o jakiejś rodzinie?

– Tak, rodzina Espilów.

Haffner znowu zaczął:

– Do diabła! Wydaje mi się, że tracimy czas na głupstwa. I choć w waszym stowarzyszeniu jestem tylko zwykłym doradcą, myślę, że już teraz można by coś ustalić.

Astrolog spojrział na niego i zapytał:

– Jest pan gotów wyłożyć na nas gotówkę? Nie. Więc o co chodzi? Niech pan poczeka, aż będziemy dysponowali kapitałem, jego zdobycie nie zajmie wielu dni, a wtedy zobaczymy.

Haffner wstał i patrząc na Poszukiwacza Złota powiedział:

– Panie kolego, gdy tylko ruszy sprawa kolonii, niech mi pan da znać; a jeśli będzie pan potrzebował ludzi, to jeszcze lepiej, dostarczę panu taką bandę rzezimieszków, która bez żalu opuści Buenos Aires – nałożył kapelusz i nie podawszy

nikomu ręki, a tylko skinieniem głowy pożegnawszy się ze wszystkimi miał wyjść, kiedy przypomniał sobie coś i zawołał do Astrologa: – Jeśli się pan pospieszy ze zdobyciem forsy, to jest wspaniały burdelik do kupienia. Jest tuż obok knajpy, a poza tym gra się tam zawsze o dużą forszę. Właścicielem jest Urugwajczyk, który chce piętnaście tysięcy gotówką, ale za dziesięć tysięcy i pozostałe pięć płatne w ciągu roku myślę, że by się zgodził.

– Czy może pan przyjść tu w piątek?

– Tak.

– Dobrze, proszę wpaść do mnie w piątek, myślę, że załatwimy sprawę.

– Cześć – pożegnał się Alfons i wyszedł.

Poszukiwacz Złota

Po wyjściu Haffnera Erdosain, który miał chęć porozmawiać z Poszukiwaczem Złota, pożegnał się z Astrologiem i Majorem. Erdosain znowu był niespokojny. Przed odejściem Astrolog powiedział mu na uboczu:

– Niech pan nie zapomni przyjść jutro o dziewiątej: trzeba zrealizować czek.

Zapomniał o tym. Rozejrzał się nagle dookoła, jakby ogłuszony ciosem. Musiał z kimś porozmawiać, zapomnieć o ponurym obowiązku, na myśl o którym serce jego zabiło gwałtownie pod rozpalonym południowym słońcem.

Poszukiwacz Złota wydał mu się sympatyczny. Dlatego zbliżył się do niego i rzekł:

– Odprowadzi mnie pan? Chciałbym z panem porozmawiać o tym na dole.

Ten spojrział na niego swymi błyszczącymi oczkami i odparł:

– Czemu nie? Z przyjemnością. Wydał mi się pan bardzo sympatyczny.

– Dziękuję.

– Zwłaszcza po tym, co mi powiedział o panu Astrolog. Wie pan, ten pański projekt dokonania przewrotu społecznego przy pomocy zarazka dżumy jest wspaniały!

Erdosain podniósł wzrok. Czuł się prawie upokorzony tymi pochwałami. Czy to możliwe, żeby ktoś przywiązywał wagę do jego pomysłów?

Poszukiwacz Złota powtórzył jednak z uporem:

– I ten z gazami duszącymi jest doskonały. Rozumie pan?! Zostawić stalowy pojemnik w prefekturze policji, kiedy będzie tam ten bandyta Santiago? Wytruć wszystkich tych gliniarzy jak szczury! – I zarechotał nagle tak donośnie, że trzy ptaki siedzące na drzewie cytrynowym wzbily się wysoko. – Tak, przyjacielu Erdosainie, jest pan kolosem. Dżuma i chlor. Mówię panu, rozruszamy jeszcze to miasto! Już sobie wyobrażam ten dzień: handlarze będą nawiewać jak zające ze swych kryjówek; i karabinem maszynowym oczyścimy ziemię z tego plugastwa. Za tysiąc pesos można kupić najlepszy karabin maszynowy. Dwieście pięćdziesiąt strzałów na minutę. Miazga. A potem zasłony z chloru i fosgenu... Ach, niech mi pan wierzy, trzeba by ogłaszać pańskie pomysły w gazetach!

Erdosain przerwał ten panegiryk pytaniem:

– A więc znalazł pan złoto, tak?... złoto...

– Przypuszczam, że nie uwierzył pan w tę bajkę na dobranoc?

– Jak to bajkę? A więc złoto?...

– Jest, jasne, że jest... ale trzeba je znaleźć.

Rozczarowanie Erdosaina było tak wielkie, że Poszukiwacz Złota dodał:

– Widzi pan, przyjacielu... mówię o tym, bo Astrolog powiedział mi, że panu można.

– Tak, ale myślałem...

– Co?

– Że wśród tych kłamstw będzie to jedna z niewielu prawd.

– W istocie jest to prawda, złoto jest... trzeba je tylko znaleźć, nic więcej. Powinien pan był się ucieszyć, że już się przygotowujemy do poszukiwań. A co, myśli pan, że te osły ruszyłyby się, gdyby nie popchnęła ich jakaś niezwykła blaga? Ba, ile o tym myślałem! Na tym właśnie polega wielkość teorii Astrologa: ludźmi mogą już wstrząsnąć tylko kłamstwa. Z fałszu czyni on rzecz najpewniejszą: ludzie, którzy nie zrobiliby kroku, żeby coś osiągnąć, wszyscy ci, co to wyzbyli się jakichkolwiek złudzeń, ozywają w obliczu prawdy jego kłamstw. Chce pan może czegoś wspanialszego? Niech pan zauważy, że na świecie nie dzieje się inaczej i nikt tego nie

potępia. Tak, wszystko to są tylko pozory... rozumie pan... i głupie kłamstewka rządzące życiem naszego społeczeństwa. Jaki jest grzech Astrologa? Że zastąpił niewiele znaczącą nieprawdę kłamstwem wymownym, potężnym, transcendentnym. Astrolog ze swymi kłamstwami wydaje się nam człowiekiem niezwykłym, a nim nie jest... i zarazem jest... jest, bo nie czerpie prywatnych korzyści z tych swoich łgarstw, i nie jest, bo zastosował jedynie starą zasadę, wykorzystywaną już przez oszustów i naprawiaczy świata. Jeśli pewnego dnia ktoś napisze historię tego człowieka, ci, co ją będą czytali, a zachowają odrobinę zimnej krwi, będą musieli powiedzieć: „Był wielki, bo dla urzeczywistnienia swych idei używał środków dostępnych pierwszemu lepszemu szarlatanowi.” A to, co nam się wydaje rojeniem, w dodatku niebezpiecznym, jest tylko niepokojem ludzi słabego i miłkiego ducha, co to wierzą w sukces jedynie wówczas, kiedy środki do niego prowadzące są złożone, tajemnicze, nigdy skromne. A jednak powinien był pan wiedzieć, że wielkie czyny są proste – tak było z jajkiem Kolumba.

– Prawda nieprawdy?

– Właśnie to. Rzecz w tym, że brak nam odwagi do wielkich spraw. Wyobrażamy sobie, że administrowanie państwem jest bardziej złożone niż przeciętnym domem, a sukcesy nazbyt koloryzujemy, widzimy je w aurze idiotycznego romantyzmu.

– Tak, ale czy w pana odczuciu... czy wydaje się panu, to znaczy, chcę powiedzieć, czy tak naprawdę sądzi pan, że wygramy?

– Całkowicie, i niech mi pan wierzy, będziemy co najmniej panami tego kraju... jeśli nie świata! Musimy być. To, co planuje Astrolog, jest ratunkiem dla dusz ludzi wyczerpanych zmechanizowaniem całej naszej cywilizacji. Nie ma już ideałów. Nie ma symboli dobra i zła. Astrolog mówił mi kiedyś o koloniach, jakie w starożytności zakładali wszyscy ci włóczędzy, którzy źle się czuli w swoim kraju. Zrobimy to samo, działając jednak w sposób bardziej zorganizowany i energiczny... skusi to nawet sklepikarzy chodzących do kinematografu na przygody kowboi. A zresztą, czy pan wie, co z tego może wyniknąć?... W ostateczności możemy nawet rzucić parę bomb z trotylem, żeby zabawić się widokiem tej wystraszonej hałastry. Jak pan myśli, kim były te stare kurwy i opryszki

z przedmieścia? Ludźmi, którzy nie znaleźli ujścia dla własnej energii. I wyładowali ją na jakimś eleganciku z miasta lub sklepikarzu. Widzi pan... Comodoro Rivadavia Puerto Madryn, Trelew, Esquel, Arroyo Pescado, Campo Chileno, znam wszystkie dróżki i wiem, co to samotność... Niech mi pan wierzy... zorganizujemy wspaniałą oddział młodzieżowy – podniecił się. – Myśli pan, że nie ma złota? Przypomina pan dzieci przy obiedzie, co to mają oczy większe niż żołądek. W tym kraju wszystko jest złotem.

Erdosain czuł, że porywa go zapal tamtego. Poszukiwacz Złota mówił gorączkowo, mrugał oczyma, podnosił raz jedną, raz drugą brew, potrząsał przyjaźnie jego ramieniem.

– Niech mi pan wierzy, Erdosainie... Pełno jest złota... więcej, niż może pan sobie wyobrazić, ale nie to jest najważniejsze. Chodzi o czas, który mija. Esquel, Arroyo Pescado, Río Pico... Campo Chileno... mile... całe dni w drodze... i wie pan, żeby dotrzeć do jakiejś żyły nie wartej nawet dziesięciu pesos, trzeba maszerować tygodniami, czas nie ma tam znaczenia. Wszystko jest tam wielkie... ogromne... wieczne. Musi się pan sam przekonać. Pamiętam, jak z Maską kręciliśmy się koło Arroyo Pescado. Nie tylko złoto... czerwone złoto. Tam znajdują ratunek dusze chore cywilizacją. Wyślemy w góry wszystkich naszych bliskich. Widzi pan... mam dwadzieścia siedem lat... i nieraz szedłem na całego – wyciągnął rewolwer. – Widzi pan tego wróbla? – był od niego pięćdziesiąt kroków, podniósł rewolwer na wysokość brody, nacisnął spust i wraz z hukiem wystrzału ptak spadł z gałęzi. – Widzi pan? tak narażałem własną skórę. Nie trzeba się martwić. Widzi pan, mam dwadzieścia siedem lat. Arroyo Pescado, Esquel, Río Pico, Campo Chileno... poznamy, czym jest prawdziwa samotność... zorganizujemy szwadron Nowej Radości... Zakon Rycerzy Czerwonego Złota... Myśli pan, że się gorączkuję. Nie, mój panie! Trzeba tam być, żeby to zrozumieć. I w takich warunkach człowiek zdaje sobie dopiero sprawę z potrzeby, z nieodzownej konieczności istnienia prawdziwej arystokracji. Rzucając wyzwanie samotności, niebezpieczeństwu, smutkom, słońcu, bezkresnej równinie, człowiek czuje się kimś innym... czymś różnym od tego stada niewolników zdychających w mieście. Wie pan, czym jest proletariatus, ci wszyscy anarchiści i socjaliści naszych miast. Bandą tchórzów. Zamiast hartować ducha w górach lub pampie,

wolą wygody i rozrywki niż bohaterską samotność na pustkowiu. Co by robiły fabryki, domy mody, tysiące pasożytniczych organizmów miasta, gdyby ludzie ruszyli na pampę... gdyby każdy z nich rozbił na południu swój namiot? Rozumie pan teraz, dlaczego jestem z Astrologiem? My młodzi stworzymy nowe życie, tak, właśnie my. Ustanowimy knajacką arystokrację. Całą tę inteligencję zarażoną idiotyzmami Tolstoja rozstrzelamy, a reszta niech na nas tyra. Dlatego podziwiam Mussoliniego. W tym kraju mandolinistów umiał pokazać batog i całe to operetkowe królestwo z dnia na dzień przemieniło się w brytana Morza Śródziemnego. Miasta to zaraza świata. Niszczą człowieka: przemieniają ludzi w tchórzy, zawistnych cwaniaków, którym właśnie ta zawiść każe wołać o prawa społeczne. Zawiść i tchórzostwo. Gdyby te stada złożone były z jakichś odważnych bestii, rozniosłyby wszystko. Wierzyć w masy to wierzyć, że księżyc można dotknąć ręką... Ale wszystko już zostało zorganizowane i można teraz powiedzieć tylko: w naszym stuleciu ci wszyscy, którym nie służy miasto, niechaj szukają pustkowi. To właśnie proponuje Astrolog. Ma rację. Kiedy pierwsi chrześcijanie poczuli się źle w miastach, ruszyli na pustynię. Tam znaleźli szczęście, jakiego szukali. Dzisiaj natomiast cały ten miejski motłoch ujada tylko na zebraniach.

– Wie pan, podoba mi się taki obraz pampy.

– Ależ jasne, Erdosainie, Astrolog tak mówi: ci, którym niewygodnie w mieście, nie mają prawa dokuczać tym, co czują się tu dobrze. Dla niezadowolonych, tych wszystkich, którym ciasno w miastach, są góry, równiny, brzegi wielkich rzek.

Erdosain nie wyobrażał sobie, że Poszukiwacz Złota nosi w sobie tyle złości. Tamten jakby odgadł jego myśli, gdyż powiedział:

– Będziemy głosić przemoc, ale nie przyjmujemy do naszych komórek teoretyków gwałtu, a każdy, kto zechce wykazać się nienawiścią do obecnej cywilizacji, będzie musiał dać dowód posłuszeństwa wobec stowarzyszenia. Czy zdaje pan sobie teraz sprawę z celu kolonii? Czy złoto nie jest równie piękną iluzją? Wysilek przemieni ich w nadludzi. Wtedy przyznamy im jakieś uprawnienia. Czy nie dzieje się tak w mnisich zakonach? Czy wojsko nie jest tak zorganizowane? Ależ, człowieku, niech pan milczy! W takich domach handlowych... na przykład w Gath and Cahves, u Hağrodsu, opowia-

dali mi pracownicy, że cały personel podlega dyscyplinie, przy której niech się schowa dyscyplina wojskowa. Widzi pan, Erdosainie, że nie wymyślamy nic nowego. Zastępujemy tylko jakiś małosłowny cel celem niezwykłym, nic więcej.

Erdosain czuł się przy Poszukiwaczu Złota poniżony. Zażdrościł mu jego gniewu, irytowały go te ciężkie i bezdyskusyjne prawdy i chciałby się im sprzeciwić, ale powtarzał tylko w myślach: „Nie ja, ale on jest bohaterem tego dramatu, jestem tylko skąpym i tchórzliwym mieszczuchem. Dlaczego nie czuję jak on gniewu i nienawiści? Tak, ma rację. I uśmiecham się słuchając jego słów, ostrożnie, jakbym się bał, że da mi w twarz, a rzecz w tym, że przeraża mnie jego gwałtowność, gniewa jego odwaga.”

– O czym pan myśli, przyjacielu? – zapytał Poszukiwacz Złota.

Erdosain spojrział na niego przeciągle i rzekł:

– Myślę, że to smutne wyrosnąć na tchórza.

Poszukiwacz Złota wzruszył ramionami.

– Uważa się pan za tchórza, bo warunki, w jakich pan żył, nie dawały okazji do nadstawiania głowy. Chciałbym widzieć pana w dniu, gdy wszystko będzie zależało od rewolwerowego spustu: czy wtedy pan stchórzy? Rzecz w tym, że w mieście nie można być dzielnym. Wiadomo, że jak rozwali pan jakiemuś rajfurowi jadaczkę, to gliny będą tak panu deptały po piętach, że lepiej już powstrzymać się przed wymierzeniem sprawiedliwości samemu. I człowiek przyzwyczajony do uległości, do hamowania własnych impulsów...

Erdosain spojrział na niego:

– Niezwykły z pana człowiek, wie pan?

– Niech się pan nie łamie, kolego. Tylko patrzeć, jak się pan rozrusza... nie da pan sobie dmuchać w kaszę... Trzeba tylko zacząć, nic więcej.

O pierwszej po południu dwaj mężczyźni pożegnali się.

Kuternoga

Jeszcze tego samego dnia, przed wejściem na ostatnie zakole krętych schodów, Erdosain ujrzał na najwyższym stopniu

kobietę w futerku z imitacji fok i w zielonym toczku na głowie, rozmawiającą z właścicielką pensjonatu. Słowa „właśnie idzie” uprzytomniły mu, że czekają na niego, a kiedy zatrzymał się na korytarzu, nieznajoma odwróciła lekko piegowatą twarz i zapytała:

– Czy pan Erdosain?

„Gdzie widziałem tę twarz?” – pomyślał Erdosain odpowiadając twierdząco nieznajomej, która zaraz się przedstawiła:

– Jestem żoną Erguety.

– Aha! To pani jest ta Kuternoga! – ale nagle zawstydzony niestosownością słów, które tak zdumiały właścicielkę pensjonatu, że spojrzała na nogi nieznajomej, Erdosain rzekł usprawiedliwiająco:

– Najmocniej przepraszam, jestem taki nieprzytomny... Pani rozumie... nie spodziewałem się... zechce pani wejść?

Przed drzwiami do swego pokoju Erdosain przeprosił ją za bałagan panujący w środku, a Hipolita, uśmiechając się ironicznie, odparła:

– Nie szkodzi, proszę pana.

A jednak Erdosaina irytowało zimne spojrzenie, jakie sączyło się z przezroczystych, szarozielonych źrenic kobiety. I pomyślał: „Musi być zepsuta” – bo zauważył, że pod zielonym toczkiem rude włosy Hipolity układają się wzdłuż skroni w dwa gładkie pasma zakrywające koniuszki uszu. Spojrzał jeszcze raz na jej delikatne rude rzęsy i wargi jakby lekko spuchnięte na niezdrowo zarumienionej, piegowatej twarzy. I pomyślał: „Jaka ona inna od tej na fotografii!”

A ona stała przed nim i obserwowała go, jakby chciała powiedzieć: „To jest mężczyzna.” Czuł jej obecność podświadomie, jakby jej nie było albo jakby dzieliła ich jakaś wewnętrzna, wielomilowa przestrzeń. Jednak była tutaj i trzeba coś było powiedzieć, a ponieważ nie przychodziło mu nic do głowy, więc zapalił światło, podsunął kobiecie krzesło, a sam usiadł na kanapie i rzekł:

– A więc jest pani żoną Erguety? Bardzo dobrze.

Nie potrafił zrozumieć, co go tak niespodziewanie wyprowadziło z równowagi. Poruszyła go ciekawość, choć wolałby czuć coś innego, być kimś bliskim dla tej kobiecej twarzy, której owal otaczała miedziana czerwień, a rude rzęsy opróżniały spojrzenie jak słoneczne strugi tryskające na świę-

tych obrazach z kłębiastych chmur. I myślał: „Jestem tutaj a gdzie błąka się moja dusza?”

I powtórzył raz jeszcze:

– A więc jest pani żoną Erguety? Bardzo dobrze.

Kobieta skrzyżowała nogi, obciągnęła spódniczkę, tkanina zmarszczyła się w jej zaczerwienionych palcach, i podnosząc głowę tak, jakby gest ten w dziwnym, nie znanym jej pomieszczeniu wymagał szczególnego wysiłku, rzekła:

– Musi pan coś zrobić dla mego męża. On zwariował.

„Niezbyt mnie to poruszyło” – pomyślał Erdosain, zadowolony, że zachowuje zimną krew jak bankierzy z powieści Xaviera de Montepin, i dodał, pełen wewnętrznej radości, że gra komedię człowieka obojętnego:

– A więc zwariował? – ale nagle zdał sobie sprawę, że długo tej roli nie będzie mógł ciągnąć, i powiedział: – No i widzi pani? Przynosi mi pani niezwykłą wiadomość, a ja nic. Przykro mi, że taki już jestem nieczuły: chciałbym coś czuć, a jestem jak kamień. Musi mi pani wybaczyć. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Pani mi wybaczy, prawda? Kiedyś jednak nie byłem taki. Pamiętam, że byłem wesoły jak szczygieł. Powolutku się zmieniam. Nie wiem, patrzę na panią, chciałbym być pani przyjacielem i nie potrafię. Gdybym widział panią konającą, nie podałbym może nawet szklanki wody. Czy może to pani zrozumieć? A jednak... No dobrze, ale gdzie on jest?

– W szpitalu Sióstr Miłosierdzia.

– To dziwne! Nie mieszkaliście w Azul?

– Tak, ale od dwóch tygodni jesteśmy tutaj...

– A kiedy to się stało?

– Przed sześcioma dniami. Sama nie mogłam zrozumieć. To coś takiego, jak pan mi opowiadał przed chwilą o sobie. Przepraszam, że zajmuję czas. Pomyślałam o panu, bo pan go znał, on zawsze mówił o panu. Kiedy go pan widział ostatni raz?

– Przed ślubem... Tak, mówił mi o pani. Nazywał panią Chromą... i Nierządnicą.

Erdosainowi wydało się, że jakiś spokój promieniuje na niego od Hipolity. Był przekonany, że teraz może z nią mówić o wszystkim. Twarz kobiety zastygła w bezruchu, jakby po to, żeby przyjąć wszystko, co powie, w sposób naturalny. Kobieta skrzyżowała dłonie na kolanach, a ta pozycja ułatwiła mu zwierzenia. Poranne wydarzenia w willi Astrologa wydawały

się czymś odległym, tylko jakiś skrawek nieba lub fragment drzewa ożywał na chwilę w jego pamięci, a ta gonitwa fragmentarycznych obrazów przynosiła mu zadowolenie powolne i nieuzasadnione. Zataił dłonie z satysfakcją i rzekł:

– Nie obrazi się pani... ale myślę, że był już szalony, kiedy się z panią żenił...

– Niech mi pan powie... czy grał już przed ślubem?

– Tak... Poza tym pamiętam, że studiował Biblię i mówił mi wciąż o nowych czasach, o czwartej pieczęci i różnych innych rzeczach. No i grał. Zawsze mnie intrygował, bo widziałem w nim szalony temperament.

– Właśnie to. Szalony. Zgodził się kiedyś zagrać w pokera o pięć tysięcy pesos. Sprzedał moją biżuterię, kolbę, którą podarował mi przyjaciel...

– Jak to... Nie podarowała pani tej kolii służącej na krótko przed ślubem? Tak mi powiedział. Że oddała jej pani ten naszyjnik i srebrną zastawę... i czek na dziesięć tysięcy pesos, otrzymany od niego...

– Co pan sobie myśli, że zwariowałam? Po co miałabym oddawać służącej kolbę z pereł?

– Zatem kłamał.

– Tak mi się wydaje.

– Dziwne!...

– Nie ma w tym nic dziwnego. Zawsze lubił kłamać. Poza tym ostatnio był jakiś nieswój. Pracował nad systemem do ruletki. Uśmiełby się pan, gdyby go wtedy zobaczył. Zapamiętał cały zeszyt liczbami, których sens tylko on potrafił zrozumieć. Co za człowiek! Nie mógł spać z przejęcia; zaniedbywał aptekę, czasami, już po zgaszeniu światła, kiedy zasypiałam, słyszałam głuchy łoskot: to on wyskakiwał z łóżka, zapalał światło, zapisywał jakieś cyfry, jakby się bał, że mu uleczą z pamięci... Tak... to znaczy, ja podarowałam naszyjnik z pereł? Co za człowiek! Sam zastawił go jeszcze przed naszym ślubem... No więc jak już panu mówiłam... w zeszłym miesiącu pojechał do San Carlos...

– I oczywiście przegrał...

– Nie, postawił siedemset pesos i wygrał siedem tysięcy. Gdyby go pan widział po powrocie... Milczał... Pomyślałam: „koniec, przegrał”... Najbardziej niezwykle było to, że jakby wystraszył się własnego szczęścia... on sam nie miał dotychczas zbyt dużego zaufania do tej swojej kombinacji... -

– Tak... rozumiem... Wolał ją wypróbować, nim uwierzył.
– Jasne, żeby nie przegrać. Ale jak już panu mówiłam, przez kilka dni był jakby nienormalny. Pamiętam, że kiedyś w czasie sjesty powiedział do mnie: „No, czarnulko, nie ma rady, zostaniesz teraz królową świata.”

– Wciąż ta mania wielkości...

– Muszę panu powiedzieć, że i ja uwierzyłam potem w ten jego system. Grał zgodnie z liczbami figurującymi w jego obliczeniach i wtedy, żeby rozbić bank, podjął z konta trzy tysiące pesos... Były na moje nazwisko, a poza tym jeszcze sześć i pół tysiąca... Zapłacił jakieś rachunki apteczne... Wyjechaliśmy do Montevideo... i stracił wszystko.

– Ile to trwało?

– Dwadzieścia minut... Myślałam, że zemdleje po drodze... a więc powiedział panu, że oddałam służącej swój naszyjnik z pereł? Co za człowiek!

– To po to chyba, żebym miał lepsze wyobrażenie o pani. A jaki był w podróży?

– Nijaki... nie powiedział ani słowa. Owszem, oczy miał szkliste, twarz jakąś nieswoją, rozluźnioną, wie pan? Jak tylko wróciliśmy do Buenos Aires, położył się... było to w poniedziałek. Do wieczora leżał w łóżku, potem wyszedł na ulicę, nie wiem dlaczego, serce mówiło mi, że coś się stanie... O dziesiątej jeszcze nie wrócił i wtedy położyłam się: gdzieś o pierwszej nad ranem obudziły mnie jego kroki w pokoju, miałam zapalić światło, kiedy skoczył jednym susem i chwycił mnie za ramiona, a wie pan, jaką straszliwą ma siłę, wywlókł w nocnej koszuli z łóżka i ciągnął korytarzem w stronę wyjścia.

– A pani?

– Nie krzyczałam, bo wiedziałam, że to go tylko rozwścieczy. W hotelowych drzwiach spojrzał na mnie, jakby nigdy mnie nie widział, z czołem pełnym zmarszczek, z szeroko otwartymi oczyma. Wiał wiatr tak straszliwy, że giał drzewa, ja osłaniałam się rękoma; a on, bez słowa, patrzył tylko na mnie i wtedy stanął przed nami jakiś policjant, od tyłu chwycił go za ramiona portier, zbudzony hałasem. A on darł się tak, że słyszała go cała ulica: „To jest dziwka, co puszczała się z alfonsami, których ciała są jako ciała osłów.”

– Jak może pani pamiętać te słowa?

– Wszystko, co się wtedy wydarzyło, mam wciąż przed

oczyma. On, między skrzydłami drzwi, próbuje się wcisnąć do środka, z zewnątrz szarpie go gliniarz, portier dusi go za gardło, żeby prędzej stracił siły, a ja, w potrzasku, czekam, aż się to skończy, bo już zebrał się wesoły tłumek, który, zamiast pomóc policjantowi, gapi się na mnie. Całe szczęście, że zawsze śpię w długiej koszuli... W końcu z pomocą innych policjantów, których wołaniem ściągnął boy hotelowy, udało się im zawlec go na posterunek. Myśleli, że się upił... ale to był atak szału... Tak to określił lekarz. Majaczył coś o Arce Noego...

– Doskonale... ale jak mogę pani pomóc? – Erdosain poczuł znowu, że to, co istotne, powraca w życiu Erguety niby jakiś motyw powieści, o który należy dbać tak, jak w rozgardiaszu zabawy dba się o węzeł krawata.

– No więc niepokoiłam pana, bo pomyślałam, że może mi pan udzielić jakiejś doraźnej pomocy. W jego rodzinie nie mogę liczyć absolutnie na nikogo.

– Jak to, nie pobraliście się u niego w domu?

– Tak, ale kiedy po ślubie wróciliśmy z Montevideo, poszliśmy pewnego dnia z wizytą... niech pan sobie wyobrazi, z wizytą do domu, w którym byłam kiedyś służącą.

– Niesamowite.

– Oburzenia tych ludzi nie sposób opisać. Jakaś jego ciotka... ale po co mówić o tych podłościach, prawda? Takie jest życie i już. Wyrzucili nas, więc poszliśmy sobie. Trudno. Niefart.

– To dziwne, że pani była służącą.

– Nie ma w tym nic niezwykłego...

– Nie wygląda pani na taką...

– Dziękuję... chodzi o to, że opuszczając hotel oddałam w zastaw pierścionek i muszę teraz radzić sobie z tą odrobiną pieniędzy, jakie mi zostały...

– A apteka?

– Prowadzi ją ktoś, kto się na tym zna. Wysłałam telegram, żeby mi przysłał pieniądze... ale odpowiedział, że otrzymał od Erguetów polecenie, aby nie dawać mi nawet centava. W końcu...

– I co pani zamierza robić?

– Tego jeszcze nie wiem... Wrócić do Pico czy czekać tutaj.

– Co za kłopot!

– Niech mi pan wierzy, mam już tego dosyć.

– No dobrze, ale ja nie mam dzisiaj pieniędzy. Jutro owszem, będę miał...

– Wie pan, tych parę pesos chciałabym zatrzymać na wypadek, gdyby...

– Dopóki nie znajdzie pani czegoś pewnego, może pani zostać tutaj. Właśnie obok jest wolny pokój. Czego chceć więcej?

– A czy mógłby go pan wyciągnąć ze szpitala?

– Jak mam go wyciągnąć, skoro zwariował? Zresztą zobaczymy. Dobra... tej nocy śpi pani u mnie. Ja ułożę się na kanapie... choć możliwe, że nie będę spał tutaj.

Kobieta znowu rzuciła zza rudych rzęs niedobre zielone spojrzenie. Wyglądało to, jakby chciała przeniknąć myśli mężczyzny i odcyfrować jego prawdziwe zamiary.

– Dobrze, zgoda...

– Jutro, jak dobrze pójdzie, dam pani pieniądze, żeby się pani mogła przenieść spokojnie do hotelu, o ile nie zechce pani zostać tutaj.

Nagle obrażony na Hipolitę za myśl, która przemknęła mu przez głowę, powiedział:

– Pani chyba musi nie kochać Eduarda?...

– Dlaczego?

– To widać. Przychodzi pani tutaj, mówi o całej tej tragedii z zadziwiającym spokojem... więc naturalne, że... no co ma człowiek sądzić o pani?

Powiedziawszy to Erdosain zaczął spacerować po niewielkim pokoju. Był niespokojny i z ukosa obserwował owal piegowatej twarzy z delikatnymi rudymi rzęsami pod zielonym rondem kapelusika, wargi jakby spuchnięte, dwa pasemka miedzianych włosów, które wiły się wzdłuż skroni zasłaniając uszy, wreszcie przezroczyście, błyskające spojrzeniami żrenice. „Prawie nie ma piersi” – pomyślał Erdosain. Hipolita rozglądała się dookoła; nagle, uśmiechając się miło, zapytała go:

– A czego pan, kochasiu, oczekiwał ode mnie?

Erdosaina zirytowało to niestosowne, burdelowe „kochasiu” dopełniające knajackie: „Trudno. Niefart.”

Wreszcie odpowiedział:

– Bo ja wiem... no, chyba wyobrażałem sobie, że jest pani mniej oziębła... niekiedy wygląda pani na kobietę zepsutą... może się mylę, ale... w końcu... pani tam...

Hipolita uniosła się:

– Kochasiu, ja nigdy nie odstawiam komedii. Po prostu przyszedłam tu, bo wiedziałam, że jest pan najlepszym jego przyjacielem. O co więc panu chodzi? Żebym wybuchnęła płaczem jak ta Magdalena, skoro tego nie żałuję?... Już dosyć się napłakałam...

Teraz i ona wstała. Przyglądała mu się bacznie, ale surowość rysów zeszywniałej twarzy złagodniała pod wpływem zmęczenia. Z głową lekko przechyloną na bok przypominała teraz Erdosainowi jego żonę... mogła nią być... stoi w drzwiach nieznanego domu... kapitan, obojętny, patrzy, jak odchodzi na zawsze, i nie zatrzymuje jej... może wylądować ostatecznie w jakimś hoteliku o brudnych ścianach... I wtedy zdjęty litością powiedział:

– Przepraszam... jestem trochę zdenerwowany. Jest pani u siebie. Przykro mi tylko, że przyszła pani, kiedy jestem bez pieniędzy. Ale jutro będę coś miał.

Hipolita znowu usiadła na krześle, a Erdosain spacerując mierzył sobie tętno. Krew pulsowała niespokojnie. Zmęczony popołudniem spędzonym z Astrologiem i Barsutem, powiedział gorzko:

– Ciężkie jest życie... nie?

Intruzka patrzyła w milczeniu na czubek swego pantofelka. Podniosła oczy i delikatna zmarszczka przecięła jej piegowate czoło. Rzekła:

– Wygląda pan na zmartwionego. Stało się coś?

– Nie... proszę mi powiedzieć... dużo pani przy nim wycierpiała?

– Trochę. Jest porywczy.

– Ciekawe, chciałbym go sobie wyobrazić w domu wariatów i nie mogę. Widzę ledwie część twarzy i jedno oko... Powiem pani, że przeczuwałem nieszczęście. Spotkałem go któregoś ranka, opowiadał mi wszystko i wydało mi się nagle, że nie będzie pani przy nim dobrze... ale jest pani chyba zmęczona. Ja muszę wyjść. Powiem właścicielce, żeby podała kolację tutaj.

– Nie... nie mam ochoty.

– Dobrze, jak pani woli. Tam jest parawan. Niech się pani czuje jak u siebie w domu.

Kiedy Erdosain wychodził, Kuternoga obrzuciła go dziw-

nym spojrzeniem, jakby chciała przepołowić mężczyznę i odsłonić całą geometrię jego życia wewnętrznego.

W melinie

Na ulicy Erdosain spostrzegł, że mży, ale nie przerwał marszu, pchany głuchą nienawiścią, wściekły, że nie może zebrać myśli.

Wszystko się gmatwało... a on – kim był właściwie, rzucony między zachłanne tryby, grzęznący coraz bardziej w życiu, tonący w tym beznadziejnym trzęsawisku? A na dodatek ta niemożność skupienia się, uporządkowania myśli, aby były jak podczas gry w szachy: i ten mętlik w głowie, który skłócił go z całym światem.

Wtedy gniew jego obracał się przeciw zwierzęcemu szczęściu wszystkich tych kramarzy, którzy u wejścia do swych nor spluwali na widok siąpiącego deszczu. Wyobrażał sobie, że kombinują coś nieustannie, podczas gdy ich zaharowane żony krzątają się na zapleczu sklepów, nakrywają koślawe stoliki serwetami lub pichcą jakieś wstrętne potrawy wypełniające ulice odorem papryki i łoju oraz swędem przypalonych kotletów.

Szedł ponury, z powolną wściekłością próbował odgadnąć myśli lęgące się pod tymi niskimi czołami, patrzył bezczelnie na zsiniałe gęby sklepikarzy, którzy z dzikim błyskiem w oczach śledzili klientów kręcących się po sklepiku. I czuł chwilami chęć ubliżenia im, pragnienie, by wyzwąć ich od rogaczy, złodziei i takich synów, wykrzyzczyć, że cała ta ich otyłość jest otyłością ludzi nieuleczalnie chorych, że nawet jeśli niektórzy są chudzi, to tylko po to, żeby ukryć przed bliźnimi własne niepowodzenie. I w myślach obrzucał ich błotem, roił sobie, że wszystkich tych straganiarzy czeka bliskie bankructwo za straszliwe długi i że nieszczęście, jakie wtrąciło go na dno rozpaczy, dopadnie również ich niechlujne żony, które przed chwilą zmieniły poplamione krwią podpaski, a teraz kroją tymi samymi paluchami chleb dla swych mężów, złorzeczących przy posiłku na konkurencję.

I choć nie potrafił sobie tego wytłumaczyć, był przekonany, że najukładniejszy z tych pijaków jest w głębi ducha prostakiem, a wszyscy razem wzięci są bardziej zawistni, bezduszni i nieubłagani niż Fenicjanie.

I kiedy tak przechodził koło knajp, straganów i sklepów, myślał, że ludzie ci nie mają w życiu żadnego szlachetnego celu, że znajdują jedynie przyjemność w złośliwym wtykaniu nosa w życie sąsiadów, równie nikczemnych jak oni, ze słowami nieszczerego współczucia, cieszą się, gdy innym przytrafia się nieszczęście, plotkują z nudów na prawo i lewo, co tak bardzo wzburzyło Erdosaina, że uznał nagle, iż najlepiej byłoby pójść sobie, bo w przeciwnym razie gotów jest wywołać awanturę z jednym z tych szubrawców, w którego wyrazistych rysach dostrzegł duszę miasta, plugawą, bezwzględną i dziką jak oni wszyscy.

Nie miał określonego celu, zdawał sobie sprawę, że obywatelstwo go wstręta do życia, więc kiedy spostrzegł nagle tramwaj jadący w stronę Placu Once, długimi susami wskoczył na pomost. Na stacji przy Placu Once kupił bilet powrotny do Ramos Mejía. Jechał tam, tak jak mógłby jechać w każdym innym kierunku. Zmęczony, wytrącony z równowagi, przekonany, że pcha własną duszę w otchłań, z której nigdy już się nie wydostanie. A jeszcze czekała na niego Kuternoga. Czy nie lepiej już być kapitanem okrętu, dowodzić pancernikiem, nawet w czasie wojny? Kominy okrętu wypluwałyby kłęby dymu, a on, na kapitańskim mostku, wydawałby polecenia dowódcy baterii i w sercu nosił wciąż obraz kobiety, być może nie będącej jego żoną. Ale dlaczego to jego życie jest właśnie takie? I innych również, również takie, jakby słówko „takie” było piętnem, mniej wyrazistym, ilekroć je dostrzegamy u innych.

Co się stało z tym prawdziwym życiem, jakiemu stawiają czoło niektórzy mężczyźni, jakby płynęła w nich krew dzikich bestii? Prawdziwym życiem, które sprawia nagle, że czyjeś istnienie objawia się nam niespodzianie i zadziwia swą doskonałą, nieomal filmową wyrazistością. Czyż nie takie są obrazy bohaterów? Kto zachował w pamięci Lenina rozprawiającego w małym londyńskim pokoiku albo Mussoliniego włóczącego się po bezdrożach Italii? A jednak nagle widzimy, jak przemaszają z balkonu do zarośniętego tłumy lub stoją wśród zniszczonych kolumn jakichś świeżych ruin, w sportowych pantof-

lach i słomkowym kapeluszu, który nie klóci się z dzikim wyrazem zwycięskiej twarzy. On natomiast znajdował tam, we własnym życiu, jedynie błahe obrazy Kuternogi, kapitana, własnej żony, Barsuta, wszystkich tych istnień, które ilekroć znikwały z jego oczu, natychmiast malały do niewielkich rozmiarów, jakie odległość nadaje ciałom fizycznym.

Oparł głowę o szybę. Wagon drgnął i zatrzymał się, po drugim gwizdku konduktora skład ruszył i z dzikim zgrzytem potoczył się po torach, które stukały glucho, odpychane ostrym obrzeżem kół.

Zielone i czerwone światła tunelu oślepiły go na moment, przymknął oczy i znowu je otworzył. W ciemnościach pociąg przekazywał szynom własne drżenie, a cała ta masa, spotęgowana prędkością, nakazała jego myślom pędzić w sposób równie zawrotny i nieubłagany. Tatata... tatata... tatata... dudniły koła na złączach szyn, a ów monotonny rytm, przytłumiony i wspaniały, łagodził jego nienawiść, przynosił ulgę duszy, podczas gdy ciało odurzone prędkością trwało w półśnie.

Potem pomyślał, że Ergueta zwariował. Przypomniał sobie jego słowa, kiedy był o krok od nieszczęścia: „spływaj, frajerze, spływaj”, i wcisnąwszy głowę w kąt miękkiego oparcia, z zamkniętymi oczyma, aby wyraźniej widzieć obrazy wspomnień, rozmyślał o czasach minionych. Zaskoczyło go, że po raz pierwszy niektóre osoby mają w tych wspomnieniach normalne wymiary, w jakich poznawał je w rzeczywistości, podczas gdy inne są postaciami lub rzeczami tak małymi jak ołowiane żołnierzyki lub pokazują tylko swój pozbawiony głębi profil. Tak więc obok grubego Murzyna, którego ręka ginęła za tyłkiem jakiegoś człowieczka, widział malutki jak dla lalek stolik, a na nim płaskie, małe głowy złodziei, podczas gdy sufit na normalnej wysokości nadawał temu miejscu wygląd szczególnie ponury.

Kłębił się tam, w jego wspomnieniach, mroczny tłum, potem zmęczenie przytępiło ból, a obok stolika, przy którym drzemali drobni, choć dorośli złodzieje, wyrastał nagle potężny, byczy profil szynkarza z paluchami zaciśniętymi na muskularnych ramionach. Inne wspomnienie unaocznilo mu, jak ścisłe było to jego przeczucie bliskiego upadku, jeszcze nim wpadł na pomysł sprzeniewierzenia pieniędzy firmy, ale nie

zatrzymał się przy nim na długo i już szukał wśród ponurych scen jakiegoś obrazu własnej osobowości.

Ile ścieżek wiło się w jego mózgu! Teraz stąpał tą, która prowadziła go do knajpy, ogromnej knajpy wciskającej się całą swą bryłą w najgłębsze pokłady jego świadomości, i chociaż kął nachylenia ścian tej bryły, zaczynającej się tuż na czole, a kończącej gdzieś koło karku, miał tylko dwadzieścia stopni, małe stoliki z drzemiącymi przy nich złodziejami nie przewracały się, jak by to było logiczne, gdyż pochyłe płaszczyzny prostowały się pod naciskiem jego natrętnych myśli: ciało przyzwyczajone do szybkości spotęgowanej masą elektrycznego pociągu trwało dalej w zawrotnym bezwładzie, ale wspomnienia pokonały ów bezwład komórek i teraz knajpa pojawiła mu się przed oczyma niby równo ucięty czworobok. Linie jej prostych ścian zdawały się przenikać do jego klatki piersiowej, tak iż sądził, że gdyby teraz przyjrzał się sobie w lustrze, zobaczyłby wąską salę gubiącą się w perspektywie. A on stąpał we własnym wnętrzu, po zaśmieconej trocinami i zaplutej podłodze, która ginęła w nieskończoności.

I pomyślał, że gdyby Kuternoga była przy nim, powiedziałby jej o tym wspomnieniu:

– Wtedy jeszcze nie byłem złodziejem.

Wyobrażał sobie, że Kuternoga przygląda mu się, a on znudzonym głosem ciągnie:

– Obok starego gmachu redakcji „Critica”, na ulicy Sarmiento, była knajpa.

Hipolita podniosła oczy, jakby wśród piekielnego stukotu wagonów na przejeździe chciała go o coś zapytać. Wyobraził sobie, że jest kimś, kto dawniej prowadził życie bandyty, ale zerwał z tym i teraz mówi do swej niewidzialnej rozmówczynie.

– Zbierali się tam gazeciarze i złodzieje.

– Ach tak?

– Aby cała ta hałastrą nie powybijają szyb w lokalu, metalowe żaluzje były zawsze opuszczone.

Światło wpadało do wnętrza przez niebieskawe szyby drzwi, tak że w tej norze o ścianach pomalowanych na szaroczerwonym w jacie u Turka panował stały półmrok, w którym unosiły się mleczne kłęby dymu cygar.

W tym ciemnym pomieszczeniu z sufitem z grubych belek, pośród kuchennych oparów, kotłował się ciemny tłum, banda złodziei, typów w oprychówkach naciągniętych

na czoło, z chusteczką przewiazaną nad dekoltem podkoszulka.

Od jedenastej do drugiej, w porze sjeisty, przy brudnych stolikach o kamiennych blatach cisnął się tłum ludzi wysysających zepsute małże lub przy winie grających w karty.

W tym zaduchu twarze nabierały wyrazu jeszcze bardziej łotrowskiego i widać było gęby, które wydłużały się, jakby im nagle zabrakło powietrza, opadłe szczęki i lejkowato rozchyłone usta: czarnuchów o porcelanowych oczach i lśniącem uzębieniu między mięsistymi wargami, klepiących nieletnich po tyłkach, wreszcie kieszonkowców i szpicli o kocich twarzach, niskich czołach i natrętnych spojrzeniach.

Ta zgraja rozwalona na ławkach i oparta na stołach wyrzucała z siebie chrapliwe głosy, a wokół niej kręcili się wystrojeni gogusie, z rozpiętymi kołnierzykami, w szarych kamizelkach i melonikach za siedem pesos. Niektórzy wyszli właśnie z więzienia przy Azcuénaga i przekazywali teraz grypsy nowych więźniów, inni, aby wzbudzić większe zaufanie, nosili szylkretowe okulary, a wszyscy przy wejściu obrzucali melinę szybkim spojrzeniem. Mówili cicho, uśmiechali się konwulsyjnie, stawiali piwo swym dziwnym kompanom, wychodzili i wracali wiele razy w ciągu kwadransa, nagleni jakimiś tajemniczymi interesami. Właściciel spelunki był potężnym mężczyzną, miał byczy łeb, zielone oczy, nos jak trąbę i wąskie, zaciśnięte usta.

Kiedy wpadał w gniew, jego ryk budził postrach całej tej hałastry. Trzymał ją krótko dzięki swym twardym pięściom. Kiedy jakiś oprych robił więcej zamieszania, niż zwykle się tolerować, szynkarz zaraz zjawiał się koło niego, awanturnik wiedział, że oberwie, ale czekał pokornie, a olbrzym zadawał pięścią straszliwe krótkie ciosy w głowę winowajcy.

Wymierzaniu kary towarzyszyła pełna zadowolenia cisza, nieszczęśnika wykopywano na ulicę, zgiełk wybuchał na nowo, jeszcze donioślejszy i bardziej wulgarny, pchając kłęby dymu w stronę oszklonych drzwi wejściowych. Czasami do tej nory zachodzili wędrowni muzycy, zwykle ktoś z gitarą i akordeonem.

Stroili instrumenty, bestie kuliły się po kątach z wyczekującym milczeniem, a niewidzialna fala smutku zalewała tę klatkę.

Więzienne tango dobywało się płacźliwie z instrumentów,

a obwiesie zapominali, nieświadomi tego, o własnych urazach i nieszczęściach. Cisza zdawała się być wielorakim potworem wznoszącym kopułę z dźwięków nad głowami pochylonymi przy stołach. Może pochylali się nad swymi myślami? I ta straszliwa wysoka kopuła, okrywająca ich wszystkich, zwielokrotniała lament akordeonu i gitary, uszlachetniała cierpienia kurwy i okrutną nudę mamra ściskającą za serca na myśl, że koleżkowie na wolności rzną właśnie na całego w karty. Wtedy w najplugawszych duszach, w najobrzydliwszych rzezimieszkach budził się jakiś nieznany niepokój, po chwili jednak wszystko to mijało i niczyja ręka nie wyciągnęła się, żeby wrzucić monetę do czapki muzykantów.

– Tam chodziłem – mówi Erdosain swojej urojonej rozmówczyni. – Jątrzyłem własny żal, szukałem potwierdzenia, że jestem zgubiony, myślałem o żonie, która dopiero przy mnie poznała, jaką męczarnią jest żyć z człowiekiem równie bezużytecznym jak ja. Ile to razy zaszyty w kącie knajpy wyobrażałem sobie, że Elsa odchodzi z innym mężczyzną. I staczałem się coraz niżej, a ta speluna była tylko zapowiedzią tego, co miało mnie jeszcze spotkać. I wielokrotnie patrząc na tych nędzników pytałem siebie: czy będę jednym z nich? Bo nie wiem dlaczego, ale zawsze miałem przeczucie, co się ze mną stanie. Nigdy się nie pomyliłem. Rozumie pani? I tam, w melinie, któregoś dnia spotkałem zamyślonego Erguetę. Tak, właśnie jego. Siedział sam przy stoliku, a kilku gazeciarzy przyglądało mu się ze zdziwieniem, choć inni sądzili zapewne, że jest tylko lepiej ubranym złodziejem, nic więcej.

Erdoşain wyobraził sobie, że Kuternoga pyta:

– Jak to, był tam mój mąż?

– Tak, oparł tę swoją hyclowską gębę na rączce laski, a obok jakiś czarnuch dobierał się do nieletniego. Ale on na nic nie zwracał uwagi. Jakby był przybity do podłogi. Tak, powiedział, że czeka na jakiegoś faceta od koni, który miał mu przekazać kilka informacji, ale wyglądało na to, że poczuł się nagle zagubiony i chciał tu odnaleźć sens życia. Taka jest zapewne prawda. Znaleźć sens życia w świecie opryszków. Tutaj dowiedziałem się po raz pierwszy, że postanowił ożenić się z prostytutką, a kiedy zapytałem go o aptekę, odrzekł, że prowadzi ją ktoś, kto się na tym zna, ja zaś od pierwszej chwili domyśliłem się, że przyjechał tu z Pico, aby zagrać. Nie wiem, czy pani wiadomo, że wyrzucono go z jakiegoś klubu za

oszustwa. Mówiono, że podrabiał żetony, ale sprawa ta nigdy nie została wyjaśniona do końca. Powiedział mi o pani, dopiero gdy zapytałem go o narzeczoną, bogatą dziewczynę z Cachari, bardzo w nim zakochaną.

– Zerwałem z nią niedawno – odparł.

– Dlaczego?

– Nie wiem... zbrzydła mi... nudziłem się.

– No dobrze, ale dlaczego ją zostawiłeś? – nalegałem.

Złe błyski zadrgały w jego oczach. Naburmuszony odpędził ręką muchy nad kuflem piwa:

– Bo ja wiem!... Z nudów... taki już ze mnie dureń. A kochała mnie biedaczka. Ale co miała ze mną robić. Poza tym nie ma na to rady...

– Powiedział panu Ergueta, że nie ma rady?

– Tak, proszę pani, powiedział mi: „Nie ma już na to rady, bo jutro się żenię.”

Pociąg elektryczny minął Flores. Erdosain, rozparty na miękkim siedzeniu, przypomniał sobie, że spojrzał wtedy poważnie na aptekarza, którego twarz zaczęła układać się w ów czujny grymas nadający mu niemiły wygląd.

– A z kim się żenisz?

Twarc Erguety pobladła aż po koniuszki uszu. Pochylił swą długą głowę ku Erdosainowi, zmrużył jedno oko, podczas gdy drugie, nieruchome, starało się ogarnąć całe to zdziwienie, jakie za sekundę obudzi w Erdosainie:

– Żenię się z Nierządnicą – podniósł głowę i widać było tylko białka oczu. Ja nie poruszyłem się.

Na twarzy aptekarza malowało się dziwne uniesienie, jak na tych ludowych obrazkach, na których święci klęczą z dłońmi na piersiach.

I Erdosain przypomniał sobie, że właśnie wtedy czarnuch macający tyłek nieletniego położył rękę tamtego na swych genitaliach, zgraja gazeciarzy wrzasnęła piekielnie, a olbrzym szynkarz niósł talerz z zupą w jednej ręce i z czerwonym gulaszem w drugiej dla dwóch kieszonkowców pałaszujących coś w kącie.

A jednak postanowienie aptekarza nie zdziwiło go. Ergneta miewał takie rozpaczliwe pomysły, jak wszystkie niespokojne natury ulegające obsesjom z powolnym szaleństwem, jakby potężny wybuch, którego nie słyszeli, zwielokrotniał ich popędy.

– Nierządnicą?... Kto to jest ta Nierządnicą? – zapytałem, zachowując pozorny spokój.

Fala krwi napłynęła mu do twarzy. Jego oczy śmiały się.

– Kto to? Anioł, Erdosainie. Na moich oczach, na moich własnych oczach porwała czek na tysiąc pesos, który jej dawał jakiś kochanek. Służącej podarowała naszyjnik z pereł wartości pięciu tysięcy pesos. Dozorcy całą srebrną zastawę. „Wejść do twego domu naga”, powiedziała mi.

– Ależ to wszystko nieprawda! – słyszał, jak Hipolita odpowiada mu we wspomnieniach.

– Ja w to wszystko wierzyłem. A on opowiadał mi dalej: „Gdybyś wiedział, ile ta kobieta wycierpiała. Kiedyś, po siódmym zabiegu, była taka zrozpaczona, że chciała się rzucić z czwartego piętra. Nagle prawdziwy cud, wiesz... na balkonie ukazał się jej Pan Jezus. Wyciągnął ramiona i powstrzymał ją.”

Ergueta wciąż się uśmiechał. Nagle wsunął rękę do kieszeni i podał Erdosainowi jakieś zdjęcie. Uroda dziewczyny urzekła go.

Nie uśmiechała się. Za jej plecami czerniły się palmy i paprocie. Siedziała na ławce z lekko pochyloną głową i przeglądała czasopismo podtrzymywane kolanem, jako że założyła nogę na nogę. Jej szeroka spódnica rozchyłała się dzwonowato tuż nad trawnikiem. Spiętrzona fryzura i pasma włosów spływające po skroniach rozjaśniały i poszerzały jej czoło. Po obu stronach kształtnego nosa biegiły wąskie łuki brwi tak pasujące do tych lekko ukośnych oczu na delikatnym owalu twarzy.

I patrząc na nią Erdosain zrozumiał nagle, że przy boku Hipolity nie pragnąłby już chyba niczego więcej, a myśl ta uradowała go tak bardzo, że wyobraził sobie teraz, jak przyjemnie byłoby głaskać dłonią policzki tej niezwyklej dziewczyny i słuchać skrzypienia piachu pod jej pantofelkami. Potem wymruczał:

– Jaka ładna!... Musi być bardzo wrażliwa!

Jakże inna była w rzeczywistości.

Elektryczny pociąg przejeżdżał teraz przez Villa Luro. Między kopcami węgla i spowitymi mgłą zbiornikami gazu smętnie świeciły latarnie. Parowozownie otwierały się wielkimi czarnymi czeluściami, a czerwone i zielone światełka,

zawieszono w równych odległościach, czyniły gwizd lokomotyw jeszcze posępniejszym.

Jakże inna była Kuternoga w rzeczywistości! A przecież pamiętał, że powiedział wtedy do Erguety:

– Jaka ładna!... Musi być bardzo wrażliwa!

– Tak, taka jest; a poza tym jest bardzo delikatna. Lubię przygody. Dopiero się zdziwią ci wszyscy, co to powątpiewali w moją bezinteresowność. Wystawiłem do wiatru bogaczkę, dziewicę, żeby żenić się z dziwką. Ale dusza Hipolity jest ponad to wszystko. Ona także lubi przygody i ludzi o szlachetnym sercu. Razem dokonamy wielkich rzeczy, bo nadeszły czasy...

Erdoşain podchwycił myśl aptekarza:

– A więc sądzisz, że czasy nadeszły?

– Tak, muszą wydarzyć się rzeczy straszne. Nie pamiętasz? Sam mi kiedyś powiedziałeś, że prezydent Roosevelt wygłosił wielką pochwałę Biblii?

– Tak... ale to było dawno temu.

Erdoşain odpowiedział tak, bo w rzeczywistości nie pamiętał, aby kiedykolwiek wspominał aptekarzowi o czymś podobnym. Ten zaś ciągnął:

– Poza domem często czytam Biblię...

– Co nie przeszkadza ci szachrować w kartach...

– Nic ci do tego – przerwał oschle Ergueta.

Erdoşain spojrział na niego z niechęcią, aptekarz wyszczerzył zęby w swym chłopięcym uśmiechu i podczas gdy szynkarz stawiał na stole pół litra piwa, rzekł:

– Zauważ, jakie tajemnicze słowa napisano w Biblii: „A zachowam chromą i wygnaną zgromadzę; owszem sposobie im chwałę i imię po wszytkiej ziemi, w której zelżywość ponosili.”

Niezwykła cisza zapanowała w szynku. Widać było tylko pochylone głowy lub grupki ludzi patrzących w zamyśleniu na muchy łąjące po zasmarowanych stołach. Jakiś złodziej pokazywał współnikowi pierścioneł z brylantami, i dwie nachylone ku sobie głowy oglądały kamienie.

Przez otwarte drzwi o matowych szybach wdarł się snop światła, który przeciął na połowę sine pomieszczenie.

Tamten powtórzył z uporem: „A zachowam chromą i wygnaną zgromadzę”, i mrugnął złośliwie okiem przy słowach:

„owszem sposobie im chwałę i imię po wszystkiej ziemi, w której zelżywość ponosili”.

– Przecież Hipolita nie jest żadną Kuternogą...

– Nie, ale jest wygnaną, ja zaś oszustem, „synem zatracenia”. Łaziłem od burdelu do burdelu, wpadałem z jednego przygnębienia w inne, jeszcze większe, i szukałem miłości. Myślałem najpierw, że chodzi o miłość fizyczną, i dopiero przeczytawszy tę księgę doznałem olśnienia i pojąłem, że moje serce szuka miłości bożej. Rozumiesz? Serce szuka na własny rachunek. Wysiłasz się, chcesz, żeby coś było po twojej myśli, i nic z tego... nie wychodzi... dlaczego? to tajemnica... Aż któregoś dnia, niespodziewanie, nie wiadomo jak, prawda objawia się sama. Popatrz no, jak żyłem. „Syn zatracenia”, takie było moje życie. Ojciec przed śmiercią w Cosquín, kiedy już wymiotował krwią, napisał do mnie straszny list z wyrzutami, wiesz? I nie podpisał go własnym imieniem, tylko umieścił słowa: „Twój ojciec, Wyklęty.” Rozumiesz? – i znowu mru-gnął okiem podnosząc brew, tak że Erdosain zapytał sam siebie: „Czyżby zwariował?”

Potem wyszli z szynku. Samochody mknęły ulicą Corrientes lśniąc w słońcu, tłum ludzi gonił do pracy, a pod żółtymi markizami twarze kobiet wyglądały jak zarumienione. Weszli do kawiarni Dwa Światy. Banda sutenerów otaczała stoliki. Grali w karty, kości lub bilard. Ergueta rozejrzał się dookoła, potem splunąwszy powiedział głośno:

– Sami alfonsi. Powiesić ich wszystkich bez cackania się.

Nikt nie wziął tych słów do siebie.

Erdosaina mimowolnie zastanawiały niektóre sformułowania aptekarza.

„Szuka miłości bożej.” Ergueta prowadził wtedy życie szalone, zmysłowe. Spędzał noce i dni w domach gry i burdelach, bawił się, pił, wdawał się w straszliwe bijatyki z oprychami i rajfurami. Jakiś głuchy impuls zmuszał go do najdzi-
kszych wyskoków.

Pewnego wieczoru Ergueta znalazł się na placu Flores, koło cukierni Niersa. Był z nim także pijany Delavene, który przed miesiącem skończył studia prawnicze, i jeszcze paru innych birbantów z Club de Flores. Zaczepiali przechodniów. Nagle Ergueta na widok jakiegoś Hiszpana rozpiął guzik rozpor-
ka, a kiedy tamten zbliżył się, oblał go strumieniem mo-
czu. Mężczyzna był przezorny i znikł zlorzecząc. Wtedy

aptekarz spojrział na Delavene, który lubił się popisywać, i rzekł:

– Dobra... Zakład, że nie obszczasz pierwszego, który przejdzie?

– O ile?

Wszyscy ucieszyli się, bo Bask Delavene był prawdziwym dzikusem. Jakiś mężczyzna wyszedł zza rogu i Delavene zaczął sikać. Nieznajomy usunął się na bok, ale Bask prawie wpadł na niego i zdążył go zamoczyć.

I wtedy stało się coś strasznego.

Nie powiedziawszy ani słowa znieważony zatrzymał się, zgraja przyglądała mu się rechocząc i pogwizdując, wyciągnął nagle rewolwer, rozległ się wystrzał i Delavene zwałił się na kolana ściskając brzuch rękoma. Agonia Baska była długa i bolesna. Przed śmiercią przyznał szlachetnie, że sam spowodował to nieszczęście, a kiedy Ergueta ślaniał się pijany i wołał Delavene, tamten klęczał i językiem kreślił na ziemi znak krzyża..

Gniotąc w palcach papierosa aptekarz odpowiedział Erdosainowi na pytanie o Delavene:

– Tak, to był szlachetny człowiek... prawdziwy przyjaciel. Zapłacę za niego któregoś dnia – i zwracając myśli ku bardziej aktualnemu zmartwieniu dodał: – Aha, wiele ostatnio myślałem. I pytałem siebie, czy to sprawiedliwe, aby człowiek jałowy, chory, zepsuty i nienormalny żenił się z dziewczyną...

– Hipolita... wie?

– Tak, wie o wszystkim. Bo dziewczycy potrzebny jest mężczyzna czysty. Mężczyzna, który miałby nieskalaną duszę i ciało. Tak kiedyś będzie. Wyobrażasz sobie pięknego faceta, czystego i mocnego?

– Tak powinno być – wymruczał Erdosain.

Aptekarz spojrział na zegarek.

– Masz coś do roboty?

– Tak, idę teraz do domu, zobaczę się z Hipolitą.

– Tym razem zdziwiłem się – opowiadał później Erdosain kronikarzowi tych wydarzeń. – Dom rodzinny Erguety był zamożny, a światopogląd ludzi, poruszających się w nim jak ślimaki, konserwatywny, niechętny nowinkom.

Erdosain zapytał:

– Jak to... Wprowadziłeś ją do siebie?

– Ba, ale ile musiałem się przy tym nakłamać... Nie chciała iść, właściwie godziła się, ale tak jakoś...

– Miała czelność?

– Tak, z trudem udało się ją przekonać. Matce powiedziałem, że porwałem ją, gdy wsiadała na statek, aby z wujostwem odpłynąć do Europy... największa bujda, jaką znam.

– A twoja matka?

Erdosain miał już zapytać, czy matka uwierzyła w podobną bzdurę, jak gdyby Hipolita miała wypisane na twarzy wszystkie profesje, jakimi parowała się w życiu...

– A twoja mama jak przyjęła tę wiadomość?

– Powiedziała mi, żebym ją natychmiast przyprowadził. Kiedy jej przedstawiłem Hipolitę, wyściskała ją i zapytała: „Uszanował cię, córko?” A ona spuściła oczy i odparła: „Tak, mamó.” Co było prawdą. Powiem ci, że moja mama i moja siostra Sara są zachwycone Hipolitą.

I właśnie wtedy Erdosaina ogarnęło przeczucie, że ci nie-szczęśnicy sami sobie przygotowują karę. Nie pomylił się i przypomniawszy sobie teraz w elektrycznym pociągu, że miał wówczas rację, powiedział, gdy mijali Liniers: „To ciekawe: pierwsze wrażenia nigdy człowieka nie mylą”; zapytał Erguetę, kiedy się żeni, na co ten odparł:

– Jutro wyjeżdżamy do Montevideo. Tam, w Urugwaju, weźmiemy ślub, na wypadek gdyby potem coś się nie układało. – Powiedziawszy to, znowu zrobił oko, zachichotał złośliwie i dodał: – Nie myśl, że spadłem z konia, te!

Erdosaina drażnił ów nadmiar ostrożności. Nie mogąc pohamować się zapytał:

– Jak to?... Jeszcze się nie ożeniłeś, a już myślisz o rozwodzie? Co z ciebie za rewolucjonista? W gruncie rzeczy pozostałeś graczem.

Ale aptekarz cieszył się jak zadowolony lichwiarz, któremu obojętne są jakiegokolwiek zniewagi w chwili, gdy wypłacają mu procent. Odrzekł grubiańsko:

– Trzeba być chyba frajerem, nie?

Erdosaina zdumiała argumentacja tamtego.

Pomyślał o rozkosznej osobce i wyobraził sobie, jak musi cierpieć w towarzystwie podobnego gbura pod niebem przesłoniętym tumanami kurzu i rozpalonym przez straszliwe, żółte słońce. Zwiędnie jak paproć przeniesiona na kamienisty grunt. Erdosain spojrział teraz na aptekarza ze wściekłością.

Tamten odczuł jego niechęć, bo rzekł:

– Trzeba coś zrobić przeciw temu cholernemu społeczeństwu, no nie? Czasami cierpię nie do wytrzymania. Wydaje mi się, że wszyscy ludzie przemienili się w dzikie bestie. Człowiek ma wtedy ochotę wyjść na ulicę i nawoływać do zagłady albo ustawiać na każdym skrzyżowaniu karabin maszynowy. Rozumiesz? Nadchodzą okrutne czasy:

„I podzielią się syn przeciw ojcu swemu, a ojciec przeciw synowi.”

Trzeba coś zrobić przeciw temu przekłętemu społeczeństwu. Dlatego żenię się z dziwką. Dobrze mówi Pismo: „A ty, synu człowieczy, czy nie sądzisz miasta krwawego? I ukazesz im wszystkim obrzydłość jego (...).”

Albo inne słowa, zwróć uwagę na te słowa:

„I pałała miłością przeciwko nierządnikom, których ciała są jako ciała osłów, a przyrodzenie ich jako przyrodzenie końskie.”

I wskazując na rajfurów grających w karty przy stolikach, powiedział:

– To oni. Wejdź do Royal Keller, do Marzota, Pigal lub Maipu, wszędzie, gdzie się ruszysz, spotkasz ich. Wyrzutki. Nawet ta kanalia nudzi się w głębi duszy. Kiedy wybuchnie rewolucja, powiesi się ich albo pośle do kompanii karnej. Mięso armatnie. Mogłem być taki jak oni, ale zrezygnowałem. Nadchodzą teraz okrutne czasy. Dlatego mówi się w Piśmie:

„A zachowam chromą i wygnaną zgromadzę: owszem sposobie im chwałę i imię po wszystkiej ziemi, w której zelżywość ponosili.”

Bo dzisiaj miasto jest zakochane w swoich alfonsach, a przecież to oni doprowadzili do upodlenia chromą i wygnaną, ale będą musieli jeszcze ukorzyć się i całować stopy i chromej, i wygnanej.

– No tak, ale właściwie to kochasz Hipolitę czy nie?

– Jasne, że kocham. Chwilami wydaje mi się, że zeszła z księżycy po drabinie. Gdzie ona, tam wszyscy będą szczęśliwi.

I Erdosain uwierzył przez moment, że zeszła z księżycy, aby wszyscy mężczyźni mogli podziwiać jej skromność.

A farmaceuta ciągnął:

– Teraz, stary, nadchodzą czasy krwi, zemsty. Dusze ludzi są pełne łez. A oni nie chcą nawet słyszeć płaczu aniołów.

A miasta są jak dziwki, kochają się w alfonsach i bandytach. Tak dalej być nie może.

Patrzył przez chwilę na ulicę, a potem, z uwagą skierowaną ku własnemu wnętrzu, rzekł głosem, który w kawiarnianej nudzie zabrzmiał patetycznie:

– Musi zjawić się jakiś człowiek, anioł, bo ja wiem. Ukłęknie na środku Avenida de Mayo. Samochody zatrzymają się, dyrektorzy banków i bogaci hotelowi goście wychylą się z balkonów i machając rękoma oburzeni zawołają: „Czego od nas chcesz, nędzarzu? Nie naprzykrzaj się!” Ale on podniesie się, a kiedy ujrzą jego smutną twarz i oczy rozpalone gorączką, opadną im ręce, a on zwróci się do wszystkich forsiastych, przemówi do nich, zapyta, dlaczego postępowali niegodnie, zapomnieli o sierotach i dręczyli bliźnich, a życie, które było takie piękne, przemienili w piekło. Nie będą wiedzieli, co odpowiedzieć, i rozlegnie się głos ostatniego anioła, który przyprawi ich o drżenie, i nawet najwięksi rajfurzy zaleją się łzami.

Gęba aptekarza wykrzywiła się z żalu. Zdawało się, że żuje teraz jakąś ciągnącą się i gorzką truciznę.

– Tak, trzeba, żeby znowu przyszedł Chrystus. Najnikczemniejsi ludzie, te wszystkie plugawe niedowiarki dalej cierpią. A jeśli on nie przyjdzie, kto nas zbawi?

Rodzina Espilów

Pociąg zatrzymał się w Ramos Mejía. Zegar stacyjny wskazywał ósmą wieczór. Erdosain wysiadł.

Gęsta mgła wisiała nad błotnistymi ulicami miasteczka.

Kiedy znalazł się sam na ulicy Centenario, otoczony murem mgieł, przypomniał sobie, że jutro mają zabić Barsuta. Prawda. Mają go zabić. Chciałby mieć teraz przed oczyma lustro, żeby móc się przyjrzeć twarzy mordercy, tak nieprawdopodobne wydawało mu się, że to on (jego jestestwo) dzięki tej zbrodni stanie się kimś innym od reszty ludzi.

Latarnie płonęły smętnie, rzucając na błoto snopy wełniste-go światła skraplającego się w barwną mozaikę, która zasłania-

ła wszystko już w odległości dwóch kroków. Erdosain czuł w sobie jakiś ogromny żal i szedł w nastroju bardziej ponurym niż człowiek, który wie, że jest nieuleczalnie chory.

Miał wrażenie, że jego dusza uwolniła się na zawsze od ziemskich uczuć. Był przygnębiony, jak człowiek dźwigający w swej świadomości straszliwą klatkę, gdzie pośród ogryzionych kości nudzą się krwiożercze, prężne tygrysy, zdradzające błyskiem ślepiów gotowość do skoku.

Idąc myślał, że całe to jego życie jakby nie należało do niego, starał się zrozumieć, czym są owe mroczne siły, pełzące od koniuszków palców ku górze i z jękiem wichury wdzierające się do uszu.

Spowity mgłą, która nasycala wilgocią każdą komórkę jego płuc, Erdosain dotarł do ulicy Gaona i tam zatrzymał się, aby wytrzeć spocone czoło.

Zastukał do bramy z desek, było to jedyne wejście w długim ceglany murze i tutaj wisiała naftowa lampa... Czyjaś ręka otworzyła nagle bramę, a on, belkocząc przekleństwa, ruszył wzdłuż muru dróżką wyłożoną ceglami, tonącymi w błocie pod jego ciężarem.

Zatrzymał się przed oświetlonymi oszklonymi drzwiami, zaklaskał w dłonie, a chrapliwy głos krzyknął ze środka:

– Proszę!

Erdosain wszedł.

Gazowa lampa oświetlała kopcącym płomieniem pięć głów, które przed chwilą pochylały się nad talerzami. Powitano go uśmiechem i radosnymi okrzykami, a Emilio Espila, mężczyzna wysoki, chudy i zarośnięty, podbiegł ku niemu z wyciągniętą ręką.

Erdosain przywitał się kolejno: najpierw z przygarbioną wiekiem i ubraną na czarno staruszką, potem z dwiema siostrami Lucianą i Eleną i wreszcie z głuchym Eustaquio, wysokim mężczyzną, posiwiałym i chudym, jakby miał suchoty, który zgodnie ze swym zwyczajem jadł z nosem w talerzu i ze wzrokiem wbitym w rebus z jakiegoś czasopisma, który rozwiązywał w trakcie posiłku.

Erdosain ożywił się trochę na widok serdecznie uśmiechniętych Luciany i Eleny.

Luciana była blondynką o pociągłej twarzy, miała zadarty nos i duże usta o delikatnych, falistych wargach koloru róży. Elena wyglądała trochę jak mniszka ze swą owalną woskową

twarzą, w długiej spódnicy i z pulchnymi, bladymi rękoma.

– Zjesz kolację? – zapytała staruszka.

ErDOSain widząc, jak niewiele jest na półmisku, odparł, że już jadł.

– Naprawdę jadłeś?

– Tak... napiję się herbaty.

Zrobili mu miejsce przy stole między głuchym Eustaquiem, który dalej gapił się w rebus, i Eleną, która resztę makaronu rozdzieliła między Emilia i staruszkę.

ErDOSain przyglądał się im ze współczuciem. Od lat znał tę rodzinę. Kiedyś żyli względnie dostatnio, potem lawina nieszczęść zepchnęła ich na dno nędzy i wtedy właśnie ErDOSain, spotkawszy przypadkiem na ulicy Emilia, odwiedził ich. Nie widzieli się siedem lat i ErDOSaina zdziwiło, że gnieźdzą się teraz wszyscy w jednej klitce, oni, którzy w lepszych czasach mieli służącą, salon i duży przedpokój. Trzy kobiety spały w zagraconym pokoiku, pełniącym w porze posiłków funkcję jadalni, podczas gdy Emilio i głuchy staruszek schronili się w kuchni skleconej z cynkowych blach. Aby utrzymać ten dom, chwyтали się najdziwniejszych zajęć: sprzedawali poradniki towarzyskie, maszynki do robienia lodów, a dwie siostry zajmowały się szyciem. Pewnej zimy bieda tak bardzo ich przycisnęła, że ukradli słup telegraficzny i porąbali go w nocy. Innym razem rozebrali jakieś drewniane ogrodzenie, a przygodę, jakich zaznali przy zdobywaniu tej niewielkiej ilości pieniędzy, bawiły ErDOSaina i zarazem budziły w nim litość.

Tamta pierwsza wizyta wywarła na nim niezwykle wrażenie. Espilowie mieszkali wówczas w dużym czynszowym domu koło cmentarza Chacarita, w trzypiętrowym pekinie z żelaznymi schodami i drzwiami. Budynek wyglądał jak transatlantyk i roilo się tam od dzieciarni, jakby to był falanster. Przez kilka dni ErDOSain myślał tylko o tym, co musieli przeżyć ci ludzie, nim ostatecznie zmoęły ich nieszczęścia, a potem, kiedy wpadł na pomysł z miedzianą różą, powiedział sobie, że dla podtrzymania Espilów na duchu trzeba obudzić w nich nadzieję, i za część pieniędzy skradzionych firmie kupił używany akumulator, amperomierz i kilka innych urządzeń potrzebnych do założenia prymitywnego warsztatu galwanoplastycznego.

I przekonał ich, że powinni się tym zajmować w wolnych chwilach, bo gdyby się rzecz udała, wszyscy się na tym

wzbogacą. I on, którego życie pozbawione było radości i złudzeń, zdołał natchnąć ich nadzieją tak wielką, że ochoczo zgodzili się rozpocząć doświadczenie: Elena zajęła się na serio galwanoplastyką, a głuchy Eustaquio przygotowywał kąpiele i wprawiał się w szeregowym łączeniu przewodów amperomierza oraz regulowaniu oporu. Nawet staruszka brała udział w tych pracach, a kiedy udało im się pokryć miedzią kawałek cyny, nikt nie wątpił, że wkrótce, gdy tylko powiedzie się eksperyment z różą, będą bogaci.

ErDOSain mówił poza tym o wytwarzaniu złotej koronki, srebrnych firanek, miedzianej gazy, a nawet naszkicował projekt metalizowanego krawata, czym wszystkich zadziwił. Jego plan był w istocie prosty. Będą produkowali plastrony, mankiety i metalowe kołnierzyki – poprzez zanurzenie tkanki w roztworze solnym i poddanie kąpeli galwanoplastycznej, niklowej lub miedziovej. Magazyny Gath and Chaves, Harrods czy też San Juan mogłyby kupić od nich patent; i ErDOSain, który tylko połowicznie wierzył w podobne pomysły, zaczął pewnego dnia myśleć, że nazbyt daleko poprowadził tych ludzi w świat rojeń, gdyż teraz, choć na nic nie mieli pieniędzy i przymierali głodem, marzyli jedynie o kupnie rolls-royce'a i willi, która koniecznie musiała leżeć przy wytwornej Avenida Alvear – inna ewentualność w ogóle nie wchodziła w grę. ErDOSain pochylił się nad szklanką herbaty, a wtedy Luciana, lekko zarumieniona, odpowiedziała gestem na zachęcający uśmiech Emilia, który rzekł sepleniąc straszliwie z powodu braków w uzębieniu:

- Wies, róża jest gotowa.
- Tak, dzięki Bogu, udało się nam ją utrzymać.

I Luciana zerwała się z miejsca zniecierpliwiona, otworzyła jakąś skrzynię w łazience, a ErDOSain uśmiechnął się radośnie.

W ręku złotowłosej dziewczyny zobaczył miedzianą różę.

W nędznej klitce wspaniały metalowy kwiat rozchyłał swe rude płatki. Migotliwy płomień gazowej lampy prześwitywał przez nie czerwienią, jakby był duszą kwiatu, jakby kwiat, spalony kwasami, znowu ożył.

Głuchy podniósł nos znad talerza z sałatą i grzmiącym głosem zawołał, rzuciwszy przedtem okiem na rebus i różę:

- No, nie ma co... ErDOSainie... jesteś geniuszem...
- Jak się udało z tą jedną, to teraz zacniemy robić pieniądze...

- Oby cię Bóg wysłuchał – mruczała staruszka.
- Ależ, mam, nie bądź taka sceptyczna...
- Kosztowała cię wiele pracy?

Elena z poważnym uśmiechem i znajomością rzeczy wyjaśniła:

- Widzisz, Remo, jak na pierwszą różę, dawał za duże napięcie, spalała się...
- A roztwór nie osadzał się?
- Nie... lekko go ostudziliśmy...
- Tę różę przed kąpielą pociągnęliśmy klejem...
- No, wiesz... zanuzaliśmy w delikatnym roztwozie kleju... takim łagodnym...

Remo obejrzał raz jeszcze miedzianą różę, podziwiając jej doskonałość. Każdy czerwony płatek był przezroczysty, a pod metaliczną błonką nieomal widać było unerwiony kształt płatka naturalnego, poczerńiałego od kleju. Kwiat nie był ciężki i Erdosain zawołał:

- Jaki lekki!... waży mniej niż pięciocentawowa moneta...

Potem, obserwując żółty nalot na słupkach kwiatu, widoczny po odchyleniu płatków, zauważył:

- Jednak po wyjęciu kwiatu z kąpeli musicie go dobrze opłukać w wodzie. Widzicie te żółte rysy? To cyjanek z kąpeli, żre miedź. – Wszystkie głowy otoczyły go ciasnym kręgiem i słuchały w nabożnym milczeniu. – Tworzy się cyjanian miedzi – ciągnął dalej – trzeba tego unikać, bo w przeciwnym razie zaszkodzi kąpeli nikielowej. Jak długo to trwało?

- Godzinę.

Kiedy uniósł głowę, spojrzenie jego spotkało się ze wzrokiem Luciany. Aksamitne oczy dziewczyny jakby płonęły tajemniczym ciepłem, a wargi uśmiechały się odsłaniając błyszczące zęby. Erdosain spojrział na nią zdziwiony. Różę oglądał teraz głuchy starzec, a głowy wyciągnięte w jego stronę badały z uwagą żółty nalot. Luciana nie spuściła powiek. Erdosain przypomniał sobie nagle, że jutro ma wziąć udział w zabójstwie Barsuta, i ogromny żal kazał mu opuścić wzrok; potem pełen naglej niechęci do tych żyjących złudzeniami ludzi, którzy nie mieli pojęcia o zmartwieniach i zgryzotach, jakie dręczyły go od miesięcy, wstał i powiedział:

- No to do zobaczenia.

Nawet głuchy spojrział na niego poruszony. Elena podniosła

się z krzesła, a staruszka znieruchomiała z talerzem, który miała postawić przed Eustaquiem.

– Co ci jest, Remo?

– Ależ jak to, panie Erdosainie...

Elena patrzyła na niego poważnie:

– Co ci jest, Remo?

– Nic, Eleno... proszę mi wierzyć...

– Gniewasz się? – zapytała Luciana, z oczyma pełnymi tajemniczego i smutnego ciepła.

– Nie, skądże... miałem wielką ochotę was zobaczyć... Teraz muszę już iść...

– Naprawdę nie jesteś obrażony?

– Skądże, proszę pani.

– To psez te zmartwienia... tak sobie myślę...

– Zamknij się, gamoniu.

Głuchy zdecydował się odłożyć czasopismo z rebusem i powtórzył z uporem to, co mówił przedtem.

– Mówię ci, musisz się tym zająć poważnie, to będziesz bogaty.

– Naprawdę nic ci nie jest?

Erdosain wziął kapelusz. Czuł odrazę wypowiadając zbędne słowa. Wszystko było postanowione. Po co więc mówić? A jednak zdobył się na wysiłek i rzekł:

– Proszę mi wierzyć... bardzo państwa lubię... jak dawniej... Nie gniewam się... proszę się nie niepokoić... mam własne plany... Założymy farbiarnię dla psów i będziemy sprzedawać psy pomalowane na zielono, niebiesko, żółto i fioletowo... Jak widzicie, pomysłów mi nie brak... Wydostaniecie się jeszcze z tej straszliwej biedy... wydostanę was... widzicie sami, pomysłów mi nie brak.

Luciana spojrzała na niego poruszona i rzekła:

– Odprowadzę cię – i wyszli razem na ulicę.

Mgła wciskała się w zaułek zwartą masą, w której smutno pełgały ogniki naftowych lamp.

Nagle Luciana ujęła Erdosaina pod rękę i powiedziała miękko głosem:

– Kocham cię, bardzo cię kocham!

Erdosain spojrzał na nią ironicznie, jego ból przemienił się w okrucieństwo. Przyglądał się jej:

– Wiem o tym.

– Kocham cię tak, że dla ciebie zaczęłam się uczyć, jak

zbudowany jest wielki piec i konwertor Bessemera. Chcesz, żebym ci powiedziała, co to takiego suwnica albo na czym polega chłodzenie?

ErDOSain postawił jej zimne spojrzenie i pomyślał: „Ona ma źle w głowie.”

A ona ciągnęła:

– Zawsze o tobie myślałam. Chcesz, żebym ci opisała metody badania stali albo jak otrzymuje się czystą miedź, albo wypłukuje złoto, albo co to jest mufla?

ErDOSain szedł z zaciśniętymi ustami myśląc, że życie ludzkie to absurd, i znowu czuł w sobie nieuzasadnioną niechęć do tej słodkiej dziewczyny, która przytulona do jego ramienia szeptała:

– Pamiętasz, jak mówiłeś mi, że twoim marzeniem byłoby zostać kierownikiem wielkiego pieca? Oszalałam przez ciebie. Dlaczego milczysz? Wtedy zaczęłam czytać wszystko z zakresu metalurgii. Chcesz, żebym ci wyjaśniła różnicę między przemysłowym przetwarzaniem węgla a jego rozkładem doskonałym, molekularnym? Dlaczego nic nie mówisz, kochanie?

Z daleka dobiegł stukot przejeżdżającego pociągu, młeczna zawiesina stawała się czarna już w niewielkiej odległości od latarni: ErDOSain chciałby mówić, opowiedzieć Lucianie o swoim nieszczęściu, ale zawzięty i głuchy gniew nakazywał mu być nieczułym przy dziewczynie, która powtórzyła z uporem:

– No, co ci jest? Gniewasz się na nas? Przecież właśnie tobie będziemy zawdzięczać naszą fortunę.

ErDOSain zmierzył ją wzrokiem, ścisnął za ramię i powiedział głucho:

– Nic mnie nie obchodzisz.

Następnie odwrócił się do niej plecami i nim zdążyła zareagować, oddalił się szybkimi krokami, aż zginął we mgle.

Rozumiał, że bezpodstawnie obraził dziewczynę, a świadomość tego przyniosła mu radość tak okrutną, że wycedził przez zęby:

– Niech zdychają i zostawią mnie w spokoju.

O drugiej nad ranem Erdosain krążył jeszcze wśród podmuchów wiatru ulicami śródmieścia w poszukiwaniu jakiegoś lupanaru. Słyszał w uszach głuche ujadanie, ale uległy szalonemu instynktowi włókł się w cieniu, jaki wysokie fasady domów rzucały na bruk. Było mu straszliwie smutno. Nie miał w tej chwili żadnego określonego celu.

Szedł jak lunatyk, ze spojrzeniem wbitym w niklowane strzałki lśniące na przejściach ulicznych i w kręgi światła pod latarniami... Jakiś niezwykły impuls kazał mu odbywać ten szybki spacer... Tak dotarł do Plaza Mayo, a teraz, idąc ulicą Cangallo, zostawił za sobą Once.

Było mu strasznie smutno.

Jego myśli krążyły bezładnie wokół jednego, powtarzały: „Nie ma rady, jesteś mordercą.”

Ale nagle, gdy zauważył czerwone lub żółte światełko u wejścia do burdelu, zatrzymywał się, zastanawiał przez chwilę skąpany w czerwonej lub żółtawej mgle, a potem mówił do siebie:

– Tu nie, może gdzie indziej – i ruszał dalej.

Obok niego przejechał bezgłośnie i znikł jakiś samochód, a Erdosain myślał o szczęściu, którego już nigdy nie zazna, i o utraconej młodości, a jego cień na płytach chodnika przyspieszał gwałtownie, potem kurczył się, pozwalał się deptać, krył się za plecami lub kołysał na lśniącej kracie ścieku... Osaczający go smutek był coraz cięższy, jakby to masy wody próbowały zwalić z nóg jego ciało. Mimo to Erdosain wyobraził sobie, że zrzędzeniem opatrności trafił do jakiegoś niezwykłego burdelu.

Szefowa otwierała mu drzwi sypialni, on rzucał się w ubraniach na łóżko... w kącie w garnuszku stojącym na prymusie kipiała woda... weszła półnaga panienska... i przystanąwszy zdumiona z powodów tylko jemu i jej samej wiadomych, wykrzykiwała:

– A, to ty!... ty!... wreszcie przyszedłeś!...

Erdosain odpowiadał:

– Tak, to ja... Gdybyś wiedziała, ile się ciebie naszukałem!

Ponieważ to wszystko nie mogło się wydarzyć, smutek

powracał jak piłka odbijająca się o ścianę. Wiedział dobrze, że pragnienie, aby nagle ulitowała się nad nim jakaś nieznana ulicznica, pozostanie niespełnione, bezradne wobec życia jak owa piłka próbująca się przebić przez ścianę. Znowu powtórzył w myślach: „Ach, to ty, ty... Nareszcie przyszedłeś, mój smętny kochanku...” – ale na nic się to nie zdawało, nie spotka nigdy tej kobiety, a jakaś bezlitosna siła, siła rozpaczy, rozsadała mu mięśnie, rozlewała się w siedemdziesięciu kilogramach jego ciała, pchała je gorączkowo przez ciemności, podczas gdy ogromny smutek sprawiał, że serce w jego klatce piersiowej tłukło się ciężko. Nagle znalazł się przed bramą pensjonatu, gdzie mieszkał, i postanowił wejść do środka. Serce mu biło niespokojnie.

Przeszedł na palcach przez korytarz, zbliżył się do swego pokoju i ostrożnie otworzył drzwi. Następnie z wyciągniętymi rękoma ruszył w kierunku sofy i wolno przysiadł na niej, uważając, żeby sprężyny nie zaskrzypiały. Potem nie znajdował wytłumaczenia dla swego postępowania. Wyciągnął nogi na sofie i przez kilka sekund siedział z rękoma założonymi na karku. W jego duszy panowały teraz większe ciemności niż w tym wytapetowanym pudle pokoju. Chciał skupić na czymś myśli, ale nie potrafił. Obudziło to w nim jakiś chłopięcy lęk: przez kilka chwil wyteżał uwagę, ale niczego nie usłyszał, i wtedy przymknął oczy. Jego serce pracowało chrapliwie tłocząc masy krwi, zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Z bezwładnymi powiekami i sztywnym ciałem czekał, aż się coś wydarzy. Nagle zrozumiał, że jeśli dłużej pozostanie w tej pozycji, zacznie krzyczeć ze strachu, więc podkurczył nogi, skrzyżował je po turecku i dalej wyczekiwał w ciemnościach. Jego przygnębienie było ogromne, ale nie potrafiłby teraz wydobyć z siebie głosu ani też zapłakać. Ale przecież nie można tak spędzić całej nocy w kucki.

Zapalił papierosa i zdrętwiał.

Kuternoga stała przy parawanie i śledziła go swym jadowitym, zimnym spojrzeniem. Włosy rozczesane na dwa gładkie pasma rudymi wstęgami zasłaniały jej uszy; wargi miała zaciśnięte. Wszystko wskazywało na to, że obserwuje go z niezwyklej uwagą. Ale Erdosain nadal czuł dziwny lęk. Wreszcie wydusił:

– To pani!

Zapałka przypiekła mu paznokcie... i nagle jakiś impuls,

silniejszy niż strach, kazał mu się podnieść; w ciemnościach ruszył ku niej i powiedział:

– To pani... Nie spała pani?

Poczuł, że kobieta wyciąga rękę i bierze go pod brodę pytając niskim głosem:

– Co panu jest, że pan nie śpi?

– Pani mnie dotyka?

– Dlaczego pan nie śpi?

– Pani mnie dotyka?... Jakie pani ma zimne ręce! Dlaczego pani ręce są takie zimne?

– Proszę zapalić lampę!

Przy padającym z góry świetle Erdosain patrzył na kobietę, która usiadła na sofie.

Wymruczał nieśmiało:

– Chce pani, żebym usiadł obok? Nie mogę spać.

Hipolita zrobiła mu miejsce, a on, znalazłszy się przy niej, nie potrafił już zapanować nad impulsem, który nakazywał mu podnieść rękę i koniuszkami palców pogłaskać ją po twarzy.

– Dlaczego pani jest taka? – zapytał.

Spojrzała na niego spokojnie:

Erdosain przyglądał się Hipolicie z niemą rozpaczą i wreszcie ujął jej drobną dłoń. Chciał przycisnąć ją do ust, ale jakaś dziwna siła powstrzymała go przed tym gestem czułości i ze szlochaniem osunął się na jej kolana.

Szlochał konwulsyjnie w cieniu znieruchomiłej kobiety, która wpatrywała się w jego drżącą głowę. Płakał w zaślepieniu, z chrapliwą wściekłością na to przegrane życie, tłumil rozziewające go krzyki, które nie znajdując ujścia potęgowały tylko straszliwy ból, żal rósł w nim bez końca, chęć płaczu ścisnęła go za gardło. Tak męczył się przez dłuższy czas, gryzł chusteczkę, żeby nie krzyknąć, ale łagodne milczenie Hipolity zaczęło działać na niego kojąco. Nieposkrómiony ból z wolna ustępował: z oczu popłynęły spóźnione łzy, w piersiach jeszcze rzęziło mu głucho, ale już znalazł pocieszenie w tym, że może oprzeć zapłakaną twarz na kobiecych kolanach. Przygniatało go teraz ogromne znużenie, osoba jego dalekiej żony zagubiła się gdzieś pośród cierpień i kiedy tak leżał, jakieś wieczorne ukojenie pogodziło go z nieszczęściami, które na niego spadły.

Podniósł zaczerwienioną twarz, mokrą od łez, z odcisniętym wzorem spódnicy.

Kobieta patrzyła na niego spokojnie.

– Smutno panu? – zapytała.

– Tak.

Potem zamilkli, a fioletowa błyskawica rozjaśniła zakamarki podwórka. Padało.

– Wypijemy *mate*?

– Tak.

W milczeniu postawił wodę. Ona patrzyła zamyślona w szybę, za którą dudnił deszcz, Erdosain odmierzał zieloną *yerba mate*. Potem, uśmiechając się przez łzy, powiedział:

– Mam własny sposób zaparzania. Będzie pani smakowało.

– Dlaczego było panu tak smutno?

– Nie wiem... jakaś zgryzota... od dawna żyję w niepokoju.

Pił teraz *mate* bez słowa, a w tym pokoju, z tapetą odklejającą się w jednym z kątów, postać w futerku z imitacji fok, z rudymi włosami rozczesanymi na dwa pasma zakrywające koniuszki uszu, stała się jakby bardziej kobieca.

Z chłopięcym uśmiechem Erdosain dodał:

– Kiedy jestem sam... zaparzam czasami w ten sposób.

Kobieta uśmiechnęła się przyjaźnie, założyła nogę na nogę, pochyliła się lekko, łokieć oparła na dłoni, a drugą podtrzymała naczynko z płynem, który wolno sączyła przez niklową rurkę.

– Tak, zgryzota – powtórzył Erdosain – jakie pani ma zimne ręce!... Zawsze są takie zimne?

– Tak.

– Proszę mi podać rękę!

Wyprostowała się i niczym dama wyciągnęła dłoń. Erdosain ujął ją delikatnie i podniósł do ust, a kobieta spojrzała na niego uważnie, chłód w jej oczach roztopił się nagle w ciepłe, które zaróżowiło jej policzki. Wtedy Erdosain przypomniał sobie porwanie Barsuta, ale nie mogło to stłumić w nim tej wątłej radości, jaką czuł, i rzekł:

– Wie pani... gdyby mnie pani teraz poprosiła, żebym się zabił, zrobiłbym to. Taki jestem zadowolony.

Ciepło, jakie przed chwilą zauważył w jej oczach, znikło, a jej spojrzenie było teraz chłodne. Obserwowała go zaciękwioną.

– Mówię na serio... Chcę... albo lepiej... niech mnie pani poprosi, żebym się zabił... niech pani powie: nie sądzi pan, że niektórzy ludzie lepiej by zrobili, gdyby sobie poszli?

- Nie.
- Nawet gdybym zrobił coś strasznego?
- To już jest w ręku Boga.
- Zatem nie ma sensu o tym mówić.

Znowu pili *mate* w milczeniu, w ciszy, która zapadła po to, aby mógł się cieszyć widokiem kobiety o rudych włosach otulonej tanim futerkiem, przezroczystymi dłońmi poprawiającej na kolanie spódnicę z zielonego jedwabiu.

I nagle, nie mogąc powstrzymać ciekawości, wykrzyknął:

- Czy to prawda, że była pani służącą?
- Tak... co w tym niezwykłego?
- To dziwne.
- Dlaczego?

- Tak, to dziwne. Czasami wydaje mi się, że w cudzym życiu znajdę to, czego mi brakuje w moim. I przychodzi człowiekowi do głowy, że są ludzie, którzy odkryli tajemnicę szczęścia... i jeśli wyjawią nam własne tajemnice, również i my będziemy szczęśliwi.

- W moim życiu nie ma żadnych tajemnic.
- I nigdy nie zdumiewało pani samo życie?
- To owszem.
- Niech mi pani opowie.

- Zdarzyło się to, kiedy jeszcze byłam młodą dziewczyną. Pracowałam w pewnym ładnym domu przy Avenida Alvear. Było tam troje dzieci i cztery służące. Budziłam się rano i nie byłam pewna, czy to ja poruszam się między tymi cudzymi meblami i ludźmi, którzy zwracali się do mnie tylko po to, żebym ich obsłużyła. I chwilami zdawało mi się, że inni mocno trzymają się życia, własnych domów, podczas gdy ja jakbym była oderwana, luźno związana z życiem. I głosy innych dźwięczały w moich uszach jak wtedy, gdy człowiek się zdrzemnie i nie wie, czy śni, czy już się ocknął.

- Musi to być smutne.

- Tak, to smutne patrzeć, jak inni są szczęśliwi i nie rozumieją, że ktoś będzie całe życie nieszczęśliwy. Pamiętam, że w porze sjeisty wracałam do swojej służbówki i zamiast pocerować własną bieliznę, myślałam: „jak to, przez całe życie będę służącą?” I nie męczyła mnie praca, ale moje myśli. Zauważył pan, jak natrętne bywają ponure myśli?

- Tak. Nigdy nie chcą nas opuścić. Ile lat miała pani wtedy?

– Szesnaście.
– I nie spała pani jeszcze z żadnym mężczyzną?
– Nie... ale byłam wściekła... wściekła, że całe życie mam być służącą... poza tym było coś, co mnie wtedy szczególnie przejęło. To jeden z paniczów. Miał już narzeczoną i był bardzo wierzący. Przytapałam go nieraz, jak ścisnął się z kuzynką, tą swoją narzeczoną, jak wiem teraz, dziewczyną zmysłową, i pytałam siebie, jak mógł godzić katolicyzm z tymi świństwami. Mimowolnie zaczęłam go w końcu śledzić... ale on, choć taki obowiązkowy wobec własnej narzeczonej, był w stosunku do mnie bardzo poprawny. Potem zrozumiałam, że wtedy go pożądałam... ale było za późno, pracowałam już w innym domu...

– I?

– ... wciąż z głową pełną różnych myśli. Czego chcę od życia? Więc nawet tego nie wiem? Wszyscy byli dla mnie mili. Później słyszałam, jak źle mówiono o ludziach bogatych... ale ja nie zauważałam tego zła. Oni po prostu tak żyli. Po co by mieli być źli, prawda? Byli paniczami, a ja dla nich tylko służącą.

– I?

– Pamiętam, że pewnego dnia jechałam tramwajem z jedną z moich pań. Na ławce siedzieli dwóch zajętych rozmową chłopaków. Czy zauważył pan, że są dnie, kiedy pewne słowa wpadają do ucha jak bomba... jakby człowiek był głuchy i po raz pierwszy słyszał głosy innych? Więc tak. Jeden z tych chłopaków powiedział: „Inteligentna kobieta, nawet brzydka, jeśli wybierze nierząd, to na pewno zbije majątek i jeżeli się w kimś nie zakocha, może zostać królową całego miasta. Gdybym miał siostrę, tak bym jej radził.” Usłyszawszy to, zdrętwiałam na ławce. Słowa te w jednej chwili uwolniły mnie od nieśmiałości i kiedy dojechaliśmy do końca, wydawało mi się, że powiedzieli je nie ci dwaj nieznajomi, ale ja, ja, która nie pamiętałam ich aż do tamtej chwili. I przez wiele dni myślałam tylko o tym, jak zostać kobietą nierządną.

Erdosain uśmiechnął się:

– Wspaniale!

– Pierwszą pensję, jaką dostałam, wydałam na książki o nierządzie. Pomyliłam się, bo wszystkie były pornograficzne... takie głupie... to nie był żaden nierząd, ale zwykła

rozpusta... Niech mi pan wierzy, żadna z moich koleżanek nie potrafiła mi wytłumaczyć, na czym polega nierząd.

– Proszę mówić dalej... teraz nie dziwię się, że Ergueta zakochał się w pani. Jest pani zachwycającą kobietą.

Hipolita uśmiechnęła się zarumieniona.

– Pan przesadza... jestem zwykłą trzeźwo myślącą kobietą, nic więcej.

– Proszę mówić, słodka istoto.

– Ale z pana dzieciak!... No więc – Hipolita zakryła piersi kłapami futerka i ciągnęła: – ...pracowałam jak przedtem, przez cały dzień, ale praca przestała mnie jakoś pochłaniać... to znaczy, kiedy zmywałam albo słałam łóżko, myśli moje były daleko, a jednocześnie tak głęboko we mnie, że chwilami wydawało mi się, że gdyby były większe, rozerwałyby mnie. I ciągle nic nie wiedziałam. Napisałam do jakiejś księgarni, czy mają podręcznik, jak zostać kobietą nierządną, i nie odpowiedzieli mi, aż pewnego dnia zdecydowałam się pójść do adwokata, żeby mi tę sprawę wyjaśnił. Chodziłam po sądach, kręciłam się po ulicach, gapiałam w tabliczki z nazwiskami adwokatów, aż wlokąc się ulicą zatrzymałam się przed jakimś wytwornym domem, porozmawiałam z portierem i ten zaprowadził mnie do gabinetu adwokata. Pamiętam, jakby to było dzisiaj. Był to mężczyzna szczupły, poważny, miał twarz przewrotnego bandyty, ale kiedy uśmiechał się, wyglądał jak smarkacz. Później, kiedy myślałam o tym wszystkim, doszłam do wniosku, że człowiek ten musiał w życiu wiele wycierpieć.

Długo piła *mate*, a potem, oddając puste naczynko, powiedziała:

– Ale gorąco tutaj! Mógłby pan otworzyć okno?

Erdoşain uchylił jedno skrzydło. Wciąż padało. Hipolita ciągnęła:

– Z poważnym wyrazem twarzy powiedziałam: „Panie mecenasie, przyszedłam do pana, bo chcę się dowiedzieć, co to takiego nierząd.” Tamten spojrział na mnie zdziwiony. Zastanawiał się przez chwilę i zapytał: „W jakim celu chce pani to wiedzieć?” Wyjaśniłam mu spokojnie moje zamiary, a on słuchał z uwagą, marszczył brwi, zastanawiał się nad moimi słowami. W końcu powiedział: „W odniesieniu do kobiety, nierządem określa się wykonywanie aktów seksualnych bez miłości, dla zysku.” „To znaczy, odparłam, poprzez nierząd kobieta uwalnia się od ciała... staje się wolna.”

– Tak mu pani odpowiedziała?

– Tak.

– Dziwne!

– Dlaczego?

– A potem?

– Prawie nie pożegnawszy się wyszłam na ulicę. Byłam zadowolona, nigdy nie byłam bardziej zadowolona niż tamtego dnia. Nierząd, Erdosainie, to było właśnie to, uwolnić się od ciała, mieć nieskrępowaną wolę i robić wszystko, na co ma się ochotę. Czułam się taka szczęśliwa, że oddałam się pierwszemu chłopakowi, jaki się nawinął i podrywał mnie na piękne słówka.

– A potem?

– Zaskoczenie, kiedy mężczyzna... już mówiłam, że to był ładny chłopak... nasyciwszy się, zwałił się jak martwy. Pomyślałam najpierw, że jest chory... Nigdy sobie tego nie wyobrażałam. Ale gdy wyjaśnił mi, że jest to naturalne u wszystkich mężczyzn, nie mogłam powstrzymać wesołości. A więc mężczyzna, który wydawał się silny jak byk... krótko mówiąc, czy widział pan kiedyś złodzieja w pokoju pełnym złota? W tamtej chwili ja, służąca, byłam takim złodziejem... Zrozumiałam, że świat należy do mnie... Potem, jeszcze nim poszłam na ulicę, postanowiłam uczyć się... tak, niech pan nie patrzy na mnie zdziwiony, czytałam o wszystkim... doszłam do wniosku po lekturze powieści, że mężczyzna przypisuje kobiecie wykształconej nadzwyczajne uzdolnienia miłosne... nie wiem, czy mówię jasno, to znaczy, że kultura jest przybraniem, które dodaje wartości towarowi.

– Znajdowała pani przyjemność w oddawaniu się?

– Nie... ale wracając do tamtej sprawy: czytałam wszystko, co miałam pod ręką.

Erdosain, pełen zachwyty nad cynizmem tej kobiety, powiedział rozczulony:

– Niech mi pani poda rękę.

Wyciągnęła ją poważnie.

Erdosain ujął jej dłoń delikatnie, potem podniósł do ust, a ona wpatrywała się w niego długo i wtedy przypomniał sobie nagle skutego Barsuta – zbudził się już na pewno w stajni – ale nie zmogło to uczucia słodczy, usypiającego jego świadomość, i powiedział:

– Gdybyś mi... gdyby mi pani kazała się teraz zabić, zrobiłbym to z przyjemnością.

Przyglądała mu się długo zza swych rudych rzęs.

– Tak, mówię poważnie. Jutro... dzisiaj... .tak byłoby najlepiej. Niech mi pani kaze się zabić... Proszę mi powiedzieć, nie wydaje się pani, że pewni ludzie powinni opuścić ziemię?

– Nie... tego się nie robi.

– Nawet jeśli stają się bandytami?

– Któż może sądzić innych?

– No to nie mówmy więcej.

Znowu pili *mate* w milczeniu. Erdosain rozumiał teraz, na czym polega słodycz wielu rzeczy. Spojrzał na nią i rzekł:

– Niezwykła z pani kobieta.

Odpowiedziała uśmiechem na to pochlebstwo, a on poczuł w sercu olbrzymią radość.

– Zaparzyć jeszcze *mate*?

– Tak.

Nagle Hipolita spojrzała na niego poważnie.

– Skąd właśnie u pana tyle serca?

Erdosain chciał powiedzieć coś o własnych cierpieniach, ale powstrzymywał go wstyd, i odrzekł:

– Nie wiem... wiele kiedyś myślałem o czystości... chciałbym być człowiekiem czystym – i podniecony ciągnął: – Wiele razy czułem żal, że nie jestem człowiekiem czystym. Dlaczego? Tego nie wiem. Wyobraża pani sobie człowieka o czystym sercu zakochanego po raz pierwszy... i żeby wszyscy dookoła byli tacy? Wyobraża pani sobie miłość między takim czystym mężczyzną i czystą kobietą? Potem, nie oddając się sobie, popełniają samobójstwo... albo nie, ona mu się oddaje, potem zabijają się, zrozumiałwszy cały bezsens tego życia bez złudzeń.

– A jednak jest to niemożliwe.

– Ale zdarza się. Nie zauważyła pani, ile sklepikarzy i modystek popełnia razem samobójstwa? Kochają się... nie mogą się pobrać... idą do hotelu, ona mu się oddaje, a potem zabijają się.

– Tak, ale robią to nie w pełni świadomi.

– Możliwe.

– Gdzie pan jadł dzisiaj kolację?

Erdosain opowiedział o rodzinie Espilów, o tym, jak ludzie ci znaleźli się w nędzy.

– A czemu nie pracują?

– A skąd wziąć pracę? Szukają i nie mogą znaleźć. To jest straszne. Wydaje mi się, że bieda zabiła w tych ludziach nawet chęć do życia. Głuchy Eustaquio ma zdolności matematyczne... zna rachunek całkowity; ale nic mu po tym. *Don Kichota* zna również na pamięć... ale chyba nie za bardzo wszystko rozumie... opowiem pani taką historię: kiedy miał szesnaście lat, posłali go po *yerba mate*, a on zamiast pójść do sklepu spożywczego, poszedł do apteki. Po wielu wyjaśnieniach powiedział, że *yerba mate* to zioła, więc myślał... bo tak podają w podręcznikach botaniki.

– Ani krzty zmysłu praktycznego.

– Otóż to. Poza tym lubi się zastanawiać... kiedy ma rozwiązać jakąś łamigłówkę, gotów jest stracić obiad, a kiedy ma parę groszy, zachodzi do cukierni i obżera się słodyczami.

– Dziwak.

– Za to Emilio to dobry chłopak. Jest przekonany, jak mi kiedyś powiedział, że ten ich stan psychiczny, ta dziwna bezwolność, to sprawa dziedziczności, i tym kieruje się w życiu: porusza się wolno jak żółw. Potrafi ubierać się przez dwie godziny... jakby robił wszystko w atmosferze wyjątkowego niezdecydowania.

– A siostry?

– Robią, biedne, co mogą... szyją... jedna opiekuje się u jakiejś znajomej chorym na wodogłowie dzieckiem, które ma łeb większy od arbuza.

– Straszne!

– Nie potrafię tylko zrozumieć, jak mogli się do czegoś takiego przyzwyczaić. Dlatego gdy ich odwiedziłem, czułem ogromną potrzebę obudzenia w nich jakiejś iluzji... a ponieważ mówiłem dość składnie, więc się udało. I zajęli się tą miedzianą różą.

– Co to takiego?

Erdosain opowiedział jej o swych pomysłach. Zaczęło się to wkrótce po ślubie, gdy marzył, żeby wzbogacić się na jakimś odkryciu. Jego wyobraźnia budowała nocami niezwykle maszyny, mechanizmy obracające się wokół naoliwionych trybów.

– To znaczy, że jest pan wynalazcą?

– Nie... teraz nie... wtedy miało to dla mnie duże znaczenie. W pewnym okresie czułem głód... straszliwy głód pieniędzy... może chorowałem na jakieś przejściowe szaleństwo. Teraz, kiedy powiedziałem im o tym, to nie dlatego że sprawa interesuje mnie od strony finansowej, lecz po to, żeby mieli jakieś złudzenia, żebym na własne oczy zobaczył, że te biedne dziewczyny marzą o jedwabnych strojach, o narzeczonym z samochodem i willą, której same nigdy nie będą miały. I teraz jestem przekonany, że we wszystko to wierzą.

– Zawsze był pan taki?

– Nie, czasami. Czy nie zdarzyło się nigdy, żeby czuła pani chęć zrobienia czegoś dla innych? Przypominam sobie jeszcze taką historię. Opowiem ją, bo pytała mnie pani, skąd u mnie tyle serca. Przypominam sobie. Przed rokiem. Było to w sobotę, o drugiej nad ranem. Pamiętam, że byłem jakiś nieswój i wstąpiłem do burdelu. Sala pełna mężczyzn czekających w kolejce. Nagle drzwi sypialni otworzyły się i pokazała się w nich kobieta... niech pani sobie wyobrazi... okrągła twarzyczka szesnastoletniej dziewczyny... błękitne oczy i uśmiech licealistki. Otulona w zielony szlafrok, raczej wysoka... a do tego ta twarz uczennicy... Rozejrzała się... było już późno, jakiś straszny czarnuch o nabrzmiątych wargach poderwał się z krzesła, a wtedy ona, która patrzyła na nas z nadzieją w oczach, cofnęła się smutna do pokoju pod twardym spojrzeniem bajzelmamy.

Erdoesin przerwał na chwilę, potem, głosem bardziej czystym, ciągnął powoli:

– Niech mi pani wierzy, to bardzo upokarzające tak czekać w burdelu. Nigdzie człowiek nie czuje się bardziej ponuro niż tam, otoczony bladymi twarzami ukrywającymi za nieszczęrym, ulotnym uśmiechem strasliwą potrzebę ciała. I jest jeszcze coś poniżającego... nie wiadomo, co to takiego... ale słysząc bieg czasu, wyostrzony słuch odbiera skrzypienie łóżka w pokoju, potem ciszę, potem brzęk miednicy... i nim ktoś zdążył zająć miejsce Murzyna, wstałem i usiadłem na opuszczonym krześle. Czekałem z bijącym sercem, a gdy tylko stanęła w drzwiach, podniosłem się.

– Zawsze to samo... jeden za drugim...

– Wstałem i wszedłem do środka, drzwi się znowu zamknę-

ły, położyłem pieniądze na umywalce, a kiedy dziewczyna chciała rozpiąć szlafrok, wziąłem ją za rękę i powiedziałem: „Nie, nie przyszedłem tutaj, żeby się z tobą przespać.”

Głos Erdosaina nabrał teraz dźwięcznej płynności.

– Spojrzała na mnie i zapewne pomyślała najpierw, czy nie jestem jakimś zbrodniarzem, a ja patrzyłem na nią poważnie, niech mi pani wierzy, i powiedziałem poruszony: „Widzisz, wszedłem, bo zrobiło mi się ciębie żal.” Usiedliśmy przy konsoli ze złożonym lustrem, a ona, z tą swoją twarzyczką uczennicy, przyglądała mi się poważnie. Pamiętam, jakby to było przed chwilą! Powiedziałem: „Tak, zrobiło mi się ciębie żal! Wiem, że zarabiasz dwa albo trzy tysiące pesos miesięcznie... i że są rodziny, które byłyby szczęśliwe, gdyby miały tyle, ile wydajesz na same buty... wiem to... ale zrobiło mi się ciębie żal, okropnie żal, że tak znieważasz w sobie wszystko, co piękne.” Przyglądała mi się w milczeniu, ale nie czuła ode mnie odoru wina. „Wtedy pomyślałem... jak tylko wszedł ten czarnuch, przyszło mi do głowy zostawić po sobie jakieś miłe wrażenie, najładniejsze wspomnienie, jakie mogłem zostawić, to właśnie to... wejść i nie dotknąć ciębie... a ty zawsze już będziesz pamiętała o moim gościu.” I kiedy to mówiłem, szlafrok prostytutki rozchylił się lekko na piersiach, a jej nogi... nagle spojrzała w lustro, jakby się opamiętała, i pospiesznie zakryła kolana. Gest ten wywarł na mnie dziwne wrażenie... ona przyglądała mi się bez słów... kto wie, co myślała... nagle bajzelmama zapukała do drzwi, dziewczyna spojrzała markotnie w tamtą stronę, potem zwróciła twarz do mnie... przyglądała mi się przez chwilę... wstała... wyjęła pięć pesos i siłą wcisnęła mi do kieszeni, ze słowami: „Nie przychodź tu więcej, bo każę portierowi, żeby cię wyrzucił.” Staliśmy... chciałem wyjść drugimi drzwiami i nagle, a patrzyła mi prosto w oczy, poczułem, że jej ręce opasują moją szyję... wpatrywała się wciąż we mnie i... pocałowała mnie w usta... cóż mogę pani powiedzieć o tym pocałunku... musnęła dłonią moje czoło, a kiedy już byłem za progiem, powiedziała: „Do widzenia, szlachetny człowieku.”

– I już pan tam nie wrócił?

– Nie, ale mam nadzieję, że któregoś dnia się spotkamy... któż to wie gdzie, bo ona, Lucienne, na pewno nigdy mnie nie zapomni. Upłyną lata, będzie się staczała do coraz nędzniejszych burdeli... i stanie się szkaradna, a ja pozostanę w jej

pamięci, tak jak tego chciałem, najcenniejszym wspomnieniem całego życia.

Deszcz bębnił w oszklone drzwi i w kafelki na podwórzu. Erdosain wolno siorbał *mate*.

Hipolita wstała, podeszła do drzwi i patrzyła przez moment na czarne podwórko. Potem odwróciła się i powiedziała:

– Dziwny z pana człowiek, wie pan?

Erdosain wahał się przez chwilę:

– Jestem szczerzy... nie wiem, jak potoczy się dalsze moje życie, ale niech mi pani wierzy, chciałem być porządny, tylko że nie zależało to jedynie ode mnie. Złamały mnie jakieś inne mroczne siły... ściągnęły w dół.

– A teraz?

– Teraz chcę przeprowadzić pewien eksperyment. Spotkałem niezwykłego człowieka, który jest głęboko przekonany, że kłamstwo stanowi podstawę ludzkiego szczęścia, i zdecydowałem się mu towarzyszyć.

– I czuje się pan szczęśliwy?

– Nie... od dawna wiem, że nigdy już nie będę szczęśliwy.

– No ale wierzy pan w miłość?

– Po co o tym mówić! – Nagle zdał sobie sprawę, dlaczego opowiada jej o tym wszystkim, i rzekł: – Co pomyślałaby pani o mnie, gdybym jutro... to znaczy, któregoś dnia... gdyby któregoś dnia dowiedziała się pani, że zabiłem człowieka?

Hipolita, która już siedziała, podniosła wolno głowę i położywszy ją na oparciu sofy, powiedziała z zimnym spojrzeniem sączącym się zza rudych rzęs:

– Pomyślałabym, że był pan ogromnie nieszczęśliwy.

Erdosain wstał z krzesła, schował w szafie prymus, *yerba mate* oraz naczynko do picia, a wtedy Hipolita powiedziała:

– Proszę usiąść koło moich nóg.

Ogarnęło go uczucie ogromnej słodyczy.

Usiadł na dywanie tak, że dotykał jej nóg, głowę położył na jej kolanach, a Hipolita przytknęła oczy.

Było mu dobrze. Odpoczywał na kolanach kobiety, a ciepło jej ciała przenikało materiał i grzało w policzek. Sytuacja ta wydawała mu się poza tym bardzo naturalna; życie nabierało owej filmowej formy, jakiej zawsze poszukiwał, i nie przyszło mu nawet do głowy, że Hipolita, zastygła w bezruchu na sofie, uważa go za sentymentalnego mięczaka... Zegar wyrzucał ze swego tykającego wnętrza miarowe dźwięki, które

niczym krople wody spadały w ciszę pokoju. A Hipolita myślała:

„Całe życie będzie tylko narzekał i cierpiał. Po co mi taki chłopak? Musiałabym go utrzymywać. A ta jego miedziana róża to na pewno jakaś bzdura. Jaka kobieta zechce przy kapeluszu nosić ciężką metalową ozdobę, która w dodatku ciemnieje? Ale oni wszyscy są tacy. Ci słabi są inteligentni i bezużyteczni, a znów inni nudni i ordynarni. Nie znalazłam jeszcze takiego, który mógłby im wszystkim skręcić karki albo być tyranem. Budzą tylko litość.”

Myślała o tym często, w miarę jak rzeczywistość rozwiewała fantazje, które kiedyś roiła jej wyobraźnia zafascynowana odważnymi cwaniakami. Mogłaby wytykać ich palcami. Ta zarozumiała kukła wyperfumowana i poważna, obnosząca się na co dzień ze swą elegancją i milczeniem, to zwykły lubieżnik, tamten mały i skromny, zawsze uprzejmy, dyskretny i wrażliwy, to ofiara okrutnego nałogu, jeszcze inny, brutalny jak furman i silny jak byk, ma mniej doświadczenia niż uczeń – i tak wszyscy przemykali pod jej spojrzeniem, opętani podobną i niezniszczalną żądzą, wszyscy pochylali na chwilę głowy na jej nagich kolanach, a ona, obca ich sprośnym dłoniom i przejściowym uniesieniom, myślała szorstko, że jest jak źródło na pustyni.

– Właśnie tak. Mężczyzn porusza jedynie głód, rozpusta i pieniądze. Właśnie tak.

Rozżalona mówiła sobie, że jedynym, który ją zainteresował, był aptekarz, zdolny chociaż na kilka chwil oderwać się od spraw swego porywczego ciała, ale hazard zniszczył go i leży teraz bardziej pogruchotany niż inne kukły.

Takie to jest jej życie! Dawniej, kiedy była bezradną dziewczyną, myślała, że nigdy nie będzie miała pieniędzy, domu pełnego drogich, pięknych mebli, lśniącej zastawy, i ta niemożność zdobycia bogactwa zasmucała ją tak jak dziś świadomość, że żaden z tych mężczyzn, którzy pójdą z nią do łóżka, nie jest na tyle przedsiębiorczy, aby zostać tyranem lub zdobywcą nowych lądów.

I wciąż marzyła!

Były dni, kiedy wyobrażała sobie niezwykle spotkanie z mężczyzną, który opowie jej o swych przygodach w dżungli i będzie trzymał w domu oswojonego lwa. Nie będzie znał zmęczenia, a ona pokocha go jak niewolnica: wtedy znajdzie wreszcie przyjemność w usuwaniu włosów pod pachami i malowaniu piersi. Przebrana za chłopca zwiedzi z nim ruiny, w których gnieźdzą się wije, oraz osady, gdzie Murzyni mieszkają w szalaszach uplecionych na gałęziach drzew. Ale nigdzie nie spotkała lwów, tylko zapchlone psy, a rycerze przygody byli tylko krzyżowcami widelca i mistykami pełnego garnka. Odwracała się ze wstrętem od ich pustego życia.

Dziwni powieściowi bohaterowie, jakich wtedy spotykała, nie byli tak interesujący jak w powieściach, a cechy charakteru, które ich wyróżniały na stronach romansu, stawały się w życiu szczególnie odrażające. A mimo to oddawała się im.

Oni zaś nasyceni odwracali się od niej, jakby upokorzeni tym, że objawiali przed nią swą słabość. I pogrążała się w jałowości własnego życia przypominającego płonne piaski.

Jak niemożliwa jest zmiana ołowiu w złoto, tak nie sposób zmienić duszę mężczyzny.

Ile to razy padała naga w ramiona jakiegoś nieznajomego i mówiła: „Nie chciałbyś pojechać do Afryki?” Tamten wzdrygał się, jakby usłyszał za plecami grzechotnika. I miała wtedy uczucie, że te ciała oplecione mięśniami są słabsze niż ciała niemowlęce, bardziej strachliwe niż dzieci w lesie.

Do kobiet czuła nienawiść. Widziała, jak w poniżający sposób ulegają samczej zmysłowości i odsłaniają wszędzie brzydotę swych napęczniałych brzuchów. Zdolne były tylko do cierpień, był to świat ludzi znużonych, widm ledwie przebudzonych, zarażających wszystkich swą brzemienią ospałością jak gnuśne i olbrzymie potwory z dawnych epok. W ten sposób cała jej zwiewna dusza czuła się przytłoczona zaborczą niemocą otoczenia. Bo Hipolita chciała obracać się w świecie mniej zawiesistym, lekkim jak bańka mydlana, w którym materia nie byłaby podporządkowana ciężeniu, wyobrażała sobie, jakie to szczęście móc spacerować po ziemi

uległej naszej woli i każdy dzień przemieniać w zabawę, która przyniesie to wszystko, czego jej brakowało w dzieciństwie.

Wszystkiego jej odmówiono, kiedy była mała. Przypominała sobie, jak w jednym ze swych dziecięcych marzeń wierzyła, że byłaby najszczęśliwszą osobą na ziemi, gdyby mieszkała w pokoju ze ścianami wyklejonymi tapetą.

Widziała w sklepie wzorzyste tapety, które w jej skromnej wyobraźni miały, dzięki jaskrawobłękitnym kwiatom wijącym się na złotym tle, przenosić tych, co wśród nich żyją, w świat ze snów, sprowadzać do pokoju Zaczarowany Bór, a te rojenia siedmiolatki były tak intensywne jak wówczas, gdy była służącą, myśl o przyjemności, jaką odczuwałaby, gdyby miała rolls-royce'a ze skórzanymi siedzeniami, równie cennymi w jej wyobraźni jak te nieosiągalne tapety, które kosztowały zaledwie siedemdziesiąt centavos za rolkę.

Dała się nieść wspomnieniom. Teraz, siedząc tak z głową mężczyzny na kolanach, przypominała sobie tamte niedzielne zmierzchy, kiedy niebo chmurzyło się nagle i chłodny wiatr wyganiał panie z ogrodu do salonu. Deszcz stukał o szyby, ona chroniła się w czystej i lśniącej kuchni, a z salonu docierały głosy gości, podczas gdy ich córki kartkowały czasopisma zatrzymując wzrok na zdjęciach z uroczystości weselnych albo grały na pianinie.

A ona, lekko pochylona, siedziała przy kuchennym stole, kręciła w palcach róg fartucha i chłoneła dźwięki, które brzmiały dla niej zawsze smutno, nawet gdy były wesole. Czuła, że nigdy nie zazna szczęścia. Muzyka ożywiała widoki dalekich miejsc, hoteli w górach, ale nie ona będzie tą młodą mężatką, która ze swym przystojnym mężem zejdzie do jadalni, gdzie słycać brzęk zastawy stołowej i ptaki uwijające się koło okien z widokiem na wodospad.

Z pochyloną głową i nogą założoną na nogę kręciła wolno w dłoniach róg fartucha.

Nigdy nie będzie miała męża jak Marcelo* i nie położy swej mantyli na aksamitnej balustradzie łoża, kiedy roziskrzą się brylanty w kolczykach księżnych, a przed proscenium łagodnie odezwą się skrzypce.

* Postać z powieści Caroliny Invernizio.

Nigdy również nie będzie panią, jedną z tych młodych mężatek, którym usługiwała i które mężowie kochają tym bardziej, gdy ciąża powiększa ich cierpiące brzuchy. I jej ból rósł łagodnie jak te wieczorne ciemności.

– Usługiwać... zawsze tylko usługiwać!

Zniechęcenie zaczynało wypierać uczucie żalu, głowa ciążyła coraz bardziej, a rude rzęsy opadały w poczuciu pełnej rezygnacji.

Dźwięki pianina niosły jej senne myśli do dalekich krajów i wyobrażała sobie, że wykształcenie pańienek musiało uczynić ich dusze piękniejszymi i bardziej ponętными, a tymczasem jej głowa ciążyła, jakby czaszka przemieniła się nagle w ołowianą skorupę.

Wszystko, co ją otaczało, rondle i fajerki, i czyste półki kuchenne, i lustro w łazience, i czerwone abażury lamp, przedstawiało dla niej wartość, która czyniła te przedmioty nieosiągalnymi, i myślała, że ścierka, dywan lub dziecięcy rowerek stworzone zostały po to, aby przynosić szczęście ludziom innego pokroju niż ona.

Nawet sukienki dziewcząt, lekkie materiały, w które stroiły one swe piękne ciała, nawet koronki i wstążki wydawały się inne od tych, które mogła kupić za tę samą cenę. Uczucie, że styka się z ludźmi żyjącymi w innym świecie, dręczyło ją tak bardzo, że rozpacz odcisnęła się trwałym piętnem na jej twarzy.

Kim mogła być, jeśli nie kuchcią, wieczną kuchcią!

Ponuro budził się w jej sercu głuchy sprzeciw, odpowiedź niewidzialnej zjawie, która ją prześladowała. Jej życie było walką przeciwko próbom ujarznienia. Nie wiedziała jeszcze, w jaki sposób umknie przed nieszczęściami, ale nie przestawała powtarzać w myślach, że obecny stan jest tymczasowy, nawet jeśli nie wiadomo, co będzie potem. I nieustannie obserwowała sposób bycia pańienek z dobrych domów. Patrzyła, jak pochylają głowy, żegnają się w drzwiach z przyjaciółkami, aby odtwarzać później przed lustrem zapamiętane słowa i gesty. I te czynności, powtarzane w samotności służbówki, na kilka godzin pozostawiały w jej ustach i sercu wrażenie wytworności i delikatności, i wtedy odwracała się od swego dotychczasowego nieukładnego sposobu bycia, jakby nie licował on z jej obecną i prawdziwą osobowością damy.

Przez kilka godzin jej życie było pełne delikatności, przenikliwej i wonnej jak zapach kremu waniliowego, i zdawało się jej, że czuje w gardle słodkie brzmienie owych „ależ tak” i „bynajmniej”, aż miała złudzenie, że prowadzi rozmowę z jakąś damą z błękitnym lisem wokół szyi. Jej służbówka zaludniała się natrętnymi widmami, sama zasiadała w fotelu obitym jedwabiem koloru krokodylowej skóry i przyjmowała wizyty przyjaciółek, które przychodziły pożegnać się, bo wyjeżdżały „do Paryża we Francji”, lub plotkowały o znajomych. „Mama nie pozwoli jej pojechać tego lata do X., bo spotkałaby się tam z tym nietaktownym S., który ją przesadnie adorował.” Albo odbywała daleką podróż, po morzu spokojnym jak stawy w parku Palermo, siedząc w wiklinowym fotelu, jak to widziała na zdjęciach z pewnego luksusowego parowca, kiedy robiła w mieście zakupy. Na kolanach położyła kamerę kodaka, a jakiś młodzieniec z czapką w dłoni pochylił się i będzie coś do niej mówił onieśmielony. Jej dusza kuchty nurzała się w szczęściu. Wiedziała, że jest to wszystko takie piękne, że gdyby się urzeczywistniło, jej miłosierdzie nie znalazłoby granic. I widziała siebie, jak w futrze z popielic kroczy w zimowym zmierzchu ciemną uliczką i szuka sieroty, córki jakiegoś ślepcy. Udziela jej pomocy, adoptuje i pewnego dnia wprowadza sierotę do towarzystwa: będzie to piękna dziewczyna o nagich ramionach wylaniających się spośród puszystych zwojów szyfonu i gładkim czole, nad którym fala płowych włosów podkreśli łagodność migdałowych oczu.

I nagle jakiś głos wołał:

– Hipolito... podaj herbatę!

Zbrodnia

ErDOSAIN podniósł gwałtownie głowę, a Hipolita powiedziała, jakby właśnie myślała o nim:

– Ty też... Ty też byłeś bardzo nieszczęśliwy.

ErDOSAIN ujął zimną dłoń kobiety i przycisnął do ust.

Ona ciągnęła wolno:

– Czasami całe to życie wydaje mi się złym snem. Teraz,

kiedy czuję się twoja, przypominają mi się znowu dawne biedy. Wszędzie, zawsze tylko cierpienia.

Potem dodała:

– Co zrobić, żeby tyle nie cierpieć?

– Rzecz w tym, że nosimy cierpienia w sobie. Raz to myślałem nawet, że się unoszę w powietrzu... śmieszne; ale to pewne, że brak harmonii jest w każdym z nas.

Zamilkli. Hipolita głaskała powoli jego włosy, nagle jej dłoń oderwała się od jego głowy i Erdosain poczuł, że kobieta przyciska rękę do warg.

Erdosain usiadł przy niej i wymruczał:

– Powiedz mi, co ci takiego zrobiłem, że mnie tak uszczęśliwiasz? Nie rozumiesz, że dzięki tobie czuję się jak w niebie? Nigdy nie byłem równie szczęśliwy.

– Nikt cię nie kochał?

– Nie wiem; ale nigdy miłość nie objawiła mi się z całą swą straszliwą siłą. Kiedy się ożeniłem, miałem dwadzieścia lat i wierzyłem w uczucia platoniczne.

Zastanowił się chwilę, wstał szybko, zgasił światło i usiadł na kanapie obok Hipolity. Potem powiedział:

– Może i byłem nieszczęśliwy. Przed ślubem ani razu nie pocałowałem żony. Z pewnością nie czułem wtedy takiej potrzeby, bo brałem za czystość to, co było jej uczuciową oziębłością, a poza tym... uważałem, że nie wypada całować panny.

Kobieta uśmiechnęła się w ciemnościach. Erdosain siedział teraz na brzegu sofy, z łokciami na kolanach i policzkami w dłoniach.

Fioletowa błyskawica rozjaśniła pokój.

Mówił dalej bez pośpiechu:

– Panna w moich wyobrażeniach to było najpełniejsze uosobienie czystości. Poza tym... niech się pani nie śmieje... byłem wstydlivy... po ślubie, w nocy, kiedy z całkowitą naturalnością rozbierała się przy zapalonej lampie, zawstydzony odwróciłem głowę... a potem położyłem się przy niej w spodniach.

– Naprawdę? – w głosie kobiety brzmiało oburzenie.

Erdosain, niezwykle podniecony, zaniósł się śmiechem.

– A dlaczegoż by nie? – i obserwując ukradkiem Kuternogę, zacierał ręce. – Zrobiłem to i wiele gorszych rzeczy. I jeszcze zrobię... „Nadeszły już czasy”, mówił pani mąż.

Myślę, że ma rację. Jasne, że te epizody odnoszą się do tego okresu mego życia, kiedy żyłem jak idiota. Mówię to, aby nie było wątpliwości, że gdybym się teraz z panią położył, to na pewno zdjąłbym spodnie...

Hipolita czuła przez moment lęk. Erdosain patrzył na nią kątem oka i zacierał ręce. Przezornie wtrąciła:

– Musiał pan chyba być chory. Jak ja, kiedy byłem służącą. Człowiek żyje wtedy między niebem i ziemią...

– Otóż to, między niebem i ziemią. Właśnie to. Tak, pamiętam, kiedy mieli mnie wszyscy za wariata.

– Pana też?

– Tak, nawet się z tym nie kryli... patrzyłem wtedy na gościa, który mnie obrażał, i obezwładniała mnie jakaś straszliwa niemoc; pytałem siebie, co takiego i kiedy właściwie zrobiłem, że muszę teraz znosić tyle upokorzeń i własne tchórzostwo. Wiele cierpiałem... tyle, że... nieraz czułem pokusę, żeby zgodzić się za służącego w jakimś bogatym domu... Czy może być coś bardziej poniżającego? Ogarniało mnie wtedy przerażenie, czułem okrutny strach, że nie ma w moim życiu żadnego szlachetnego celu, jakiejś wielkiej idei... i wreszcie znalazłem... skazałem na śmierć człowieka... Niech pani siedzi... Jutro, bo nie mam nic przeciw temu, zabijemy pewnego faceta.

– To niemożliwe!

– Tak, to już ustalone. Ten mój znajomy, człowiek, który wierzy w potęgę kłamstwa, ten, o którym pani wspominałem, potrzebuje pieniędzy na zrealizowanie swego planu. Zrealizuje go, bo ja chcę, żeby się mu udało. Jutro da mi czek do banku. Kiedy wrócę, będzie już po wszystkim.

– Nie... to niemożliwe.

– Tak, a jeżeli nie wrócę, nie zabiją go, bo bez forsy morderstwo nie ma sensu... chodzi o piętnaście tysięcy pesos... mogę z nimi uciec... do diabła ze stowarzyszeniem... człowiek uratuje się... Rozumie pani? Wszystko zależy od mojego bandyckiego sumienia.

– Mój Boże!

– Chcę przeprowadzić mały eksperyment... Pani rozumie, pewne sytuacje zamieniają człowieka w boga. Od dawna noszę w sobie myśl o samobójstwie. Gdyby przedtem, kiedy mówiłem, pani się zgodziła, już bym się zabił. Gdyby pani wiedziała, jak się wspaniale czuję! Proszę mi nie mówić o tamtym...

decyzja zapadła, nawet się cieszę na myśl o przepaści, w którą spadam. Rozumie pani? I któregoś dnia... nie, to będzie w nocy, nie w dzień, kiedy dosyć będę miał tej komedii i tego chaosu, odejdę.

Czoło Hipolity porysowały zmarszczki. Nie ulegało wątpliwości. Ten człowiek jest szalony. Jej awanturnicza dusza przewidziała dalsze wydarzenia i dlatego powiedziała do siebie: „Z tym idiotą trzeba postępować ostrożnie.” I skrzyżowawszy ręce zapytała, jakby nie była pewna:

– Miałby pan odwagę się zabić?

– Nie jest tak, jak pani mówi. Nie chodzi już o odwagę ani tchórzostwo. Gdzieś, w głębi, mam wrażenie, że popełnić samobójstwo to jakby wyrwać sobie ząb. Kiedy o tym myślę, wszystko się we mnie uspokaja. To jasne, myślałem już i o podróżach, i o dalekich krajach, i o innym życiu. Jest we mnie coś, co tęskni do uczuć subtelnych i pięknych. Wiele razy myślałem, że gdyby... że za te piętnaście tysięcy, które jutro odbiorę, mógłbym pojechać na Filipiny... do Ekwadoru, żeby zacząć życie od nowa, ożenić się z jakąś bogatą i wrażliwą dziewczyną... w czasie sjeisty leżelibyśmy w hamakach, pod palmami, a Murzyni przynosiliby obrane pomarańcze. A ja patrzyłbym ze smutkiem na morze... Wie pani?... to przekonanie, że gdziekolwiek pojedę, będę patrzył na morze ze smutkiem... ta pewność, że nigdy nie będę szczęśliwy, początkowo doprowadzała mnie do szału... a teraz już się z tym pogodziłem.

– Więc po co ten cały eksperyment?

– Wie pani... nie zgłębiłem jeszcze samego siebie... ale ta zbrodnia to moja ostatnia nadzieja... i Astrolog wie o tym, bo kiedy go dzisiaj zapytałem, czy nie obawia się, że ucieknę, odpowiedział: „Nie, na razie nie. Pan bardziej niż ktokolwiek potrzebuje tego wszystkiego, żeby otrząsnąć się z przygnębienia...” Widzi pani, jak daleko zabrnąłem.

– Nigdy sobie czegoś podobnego nie wyobrażałam. I zabijecie go w Temperley?

– Tak. A mimo to... bo ja wiem? Zgryzota. Wie pani, co to takiego zgryzota? Zgryzota wżerająca się w kości jak choroba? Widzi pani, cztery miesiące temu czekałem na pociąg na stacji w jakimś miasteczku. Miał przybyć za trzy kwadransy, więc wyszedłem na placyk przed stacją. Po kilku minutach usiadła obok mnie na ławce jakaś smarkula... może miała dziewięć lat.

Zaczęliśmy rozmawiać... nosiła szkolny biały fartuszek... mieszkała w jednym z domów naprzeciwko... Powoli, nie mogąc się powstrzymać, sprowadziłem rozmowę na jakiś obleśny temat... ale ostrożnie, badając grunt. Moimi myślami zawładnęła okrutna ciekawość. Dziecko, zahipnotyzowane swymi na wpół rozbudzonymi instynktami, słuchało mnie z drżeniem... a ja, szeptem... musiałem wtedy wyglądać jak kryminalista... wie pani, z budki przy torach dwaj dróżnicy przyglądali się mi uważnie, wyjawilem jej sekrety płci i zachęcałem, żeby zaczęła deprawować swe małe przyjaciółki.

Hipolita ścisnęła skronie dłońmi.

– Ależ pan jest potworem!

– Teraz dotarłem do kresu. Moje życie to koszmar... Muszę teraz stawić czoło jakimś straszliwym kłopotom... popełnić jakiś grzech. Niech pani tak nie patrzy. Możliwe... widzi pani, ludzie zagubili sens słowa grzech... grzech to nie jest zwykle wykroczenie... zdałem sobie sprawę, że grzech to akt, przez który człowiek zrywa tę wątłą nić łączącą go z Bogiem. Na zawsze traci Boga. I choćby życie człowieka, który popełnił grzech, było czystsze niż żywot świętego, nigdy już nie będzie mógł dotrzeć do Boga. Ja zerwę tę cienką nić łączącą mnie z bożym miłosierdziem. Czuję to. Od jutra będę potworem na ziemi... niech pani sobie wyobrazi dziecko, płód... płód, który potrafiłby żyć poza łonem matki... nie rośnie... jest mechaty, mały, bez paznokci, błąka się wśród ludzi, choć sam nie jest człowiekiem... jego kruchość przeraża cały otaczający go świat... ale nie ma takiej ludzkiej siły, która byłaby w stanie zawrócić go tam, skąd wyszedł. To stanie się jutro ze mną. Oderwę się od Boga na zawsze. Będę sam na ziemi. Moja dusza i ja, oboje samotni. Nieskończoność przed nami. Zawsze samotni. Nocą i dniem... i wciąż to żółte słońce. Rozumie pani? Nieskończoność rośnie... w górze żółte słońce, a dusza, która oderwała się od boskiego miłosierdzia, błąka się samotna i ślepa pod żółtym słońcem.

Głuche uderzenie wstrząsnęło podłogą i nagle stała się rzecz niezwykła. Erdosain zamilkł wystraszony. Hipolita klęczała u jego stóp... chwyciła go za rękę i okrywała ją pocałunkami. Wołała w ciemnościach:

– Pozwól... pozwól mi całować twoje biedne dłonie. Jesteś najnieszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

– Wstań, Hipolito.
– Nie, chcę całować twoje stopy – poczuł, że rękoma ściska mu nogi. – Jesteś najnieszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Mój Boże, ile wycierpiałeś! Jesteś wspaniały, masz wspaniałą duszę!*

Erdosain podniósł ją z uczuciem niewysłowionej słodyczy. Pełen miłości przytulił do piersi, pogłaskał włosy opadające na czoło i powiedział:

– Gdybyś teraz wiedziała, jak łatwo będzie mi umierać. To fraszka.

– Jakie ty masz serce...

– Co to.. drżysz?

– Biedny chłopcze!

– Dlaczego? Przecież teraz jesteśmy jak bogowie... Usiądź koło mnie. Dobrze ci tutaj? Widzisz, siostrzyczko, wszystko, co wycierpiałem, okupione zostało twoimi słowami. Pożyjemy jeszcze trochę...

– Tak, jako narzeczeni...

– Zostaniesz moją żoną, ale dopiero któregoś niezwykłego dnia...

– Tak bardzo cię kocham!... Jaką ty masz wspaniałą duszę!...

– A potem odejdziemy.

I więcej nie rozmawiali. Głowa Hipolity opadła mu na piersi. Zbliżał się świt. Erdosain ułożył jej zmęczone ciało na sofie... uśmiechnęła się wyczerpana: potem Remo siadł na dywanie, oparł głowę o brzeg kanapy i tak skulony zasnął.

Podświadomość

Na wpół leżąc w ciemnościach pokoju na kanapie, ze skrzyżowanymi rękoma i czapką nasuniętą na czoło, Astrolog rozmyślał tej nocy o własnych zmartwieniach. Deszcz stukał

* Uwaga komentatora: Hipolita powiedziała potem Astrologowi: „Ukłękłam przed Erdosainem, kiedy przyszła mi do głowy myśl, że moglibyśmy pana oszukać; skorzystałam z tego, że zwierzył mi się z planu zabójstwa.”

o szyby, ale on, zaaferowany swymi planami, nic nie słyszał. Poza tym działo się z nim coś dziwnego.

Myśl o bliskiej zbrodni ożywiła w strumieniu czasu normalnego jakiś czas szczególny. Miał uczucie, że stał się wrażliwy na te dwa rodzaje czasu. Jeden to naturalny, właściwy wszystkim stanom życia normalnego, drugi zaś ulotny, objawiający się ciężkim biciem serca i umykający między splecionymi w zamyśleniu palcami niczym woda z koszyka.

I Astrolog, zatrzymany w czasie zegarowym, czuł, że zawładnął nim czas inny, gorączkowy i nieskończony, który jak przesuwaną się z zawrotną prędkością taśma filmowa ranił obrazami jego świadomość w sposób tak nieuchwytny i nużący, że nim zdołał ogarnąć jakąś myśl, już wypierała ją inna. Dlatego ilekroć oświetlał płonąca zapałką zegarek, przekonywał się, że upłynęło zaledwie parę minut, podczas gdy w jego odczuciu te mechaniczne minuty (nagłone jego niepokojem) ciągnęły się tak długo, że nie zmierzyłby tego żaden zegar.

Uczucie to kazało mu trwać w ciemnościach, jakby wyczekiwać czegoś. Rozumiał, że każdy błąd popełniony w tym stanie mógłby się odbić fatalnie na jego późniejszych poczynaniach.

Niepokoili go nie tyle śmierć Barsuta, ile środki ostrożności, jakie winien był przedsięwziąć, żeby sprawa nie nabrała rozgłosu. I chociaż chciał przygotować sobie alibi, nie było to łatwe. Miał wrażenie, że to nie on rozmyśla teraz o wszystkim, lecz jego sobowtór zrodzony z emocji i wiernie oddający jego wygląd: kwadratowa twarz, skrzyżowane ręce i czapka nasunięta na czoło. Mimo to nie potrafił uchwycić sensu myśli owego sobowtóra, tak bliskiego mu, a tak niepojętego. Sądził, że świadomość istnienia była w nim w owej chwili bardziej realna niż samo istnienie ciała. Później, wyjaśniając to zjawisko, powiedział, że była to świadomość odmiennego biegu czasu, w którym trwały jego odczucia, w obrębie czasu innego, mechanicznego, jak wówczas, gdy mówimy: „Zdawało mi się, że ta minuta trwa cały wiek.”

Ta niemożność skupienia się nie była czymś błahym, gdyż chodziło o pozbawienie życia człowieka, zatrzymanie obiegu pięciu litrów krwi, oziębienie jego komórek, wymazanie go ze świata żywych jak płamy z kartki białego papieru, aby nie

pozostał po niej żaden ślad. Astrolog, który nie mógł zapomnieć o tak poważnej sprawie, czuł, że żyje w czasie odmierzanym pracą zegara, że jest człowiekiem z krwi i kości, gdy w czasie, którego biegu nie potrafiłby zmierzyć żaden zegar, umiejscowił się jego sobowtór, zamyślony, zagadkowy, tajemniczy, przygotowujący alibi, jakie zadziwi potem każdego myślącego człowieka.

Strasliwe zmęczenie sparaliżowało jego mięśnie, kończyny, stawy.

Deszcz ożywił w rowach skrzeczące żaby, a on, człowiek czynu, obezwładniony przez niepokój, jakby miał nogi z waty i nie mógł na nich ustać, powtarzał tylko: „Ja, człowiek czynu, leżę tutaj, trwam w danym mi czasie mechanicznym ocierając się zarazem o czas, który jest mi obcy i nie pozwala mi się teraz skupić. Bo nie ulega wątpliwości, że zabić człowieka to tyle co zarznąć owieczkę, choć inni myślą inaczej. Moje postępowanie jest dla nich być może zagadką i mimo że są przecież daleko, ten niezwykły czas przybliży ich i przez to nie mogą się ruszyć, jak gdyby tu byli i śledzili mnie w ciemnościach. To chyba te nerwowe czasy tak mnie rozbiły; albo ten podświadomy Astrolog, który ma własne sądy i wyciska ze mnie, jak z cytryny, myśli, których mi teraz brak. A przecież po śmierci Barsuta życie będzie się dalej toczyło, jakby nigdy nic... i właściwie nic się nie stanie, jeśli tego nie wykryją.”

Znowu podniósł płonąca zapalną. Pokój zapełnił się ruchomymi, ostrymi cieniami. Nie minęła nawet minuta. Jego myśli gonili równocześnie we wszystkich kierunkach i ogarniały w tej czasowej pustce wydarzenia, które, gdyby je uporządkować w czasie rzeczywistym, ciągnęłyby się miesiącami i latami. Tak więc urodził się przed czterdziestu trzema laty i ośmioma dniami, ale ta przeszłość gubiła się nieustannie w terażniejszości, terażniejszości tak ulotnej, że zawsze miał wrażenie, iż jest Astrologiem z ubiegłej minuty.

Całe jego życie, skupione na wydarzeniu, jakie jeszcze nie nastąpiło, choć już za kilka godzin miało się stać faktem, przeżyło się teraz w czasie mechanicznym niczym huk i obdarzało ów czas niezwykłym napięciem czasu innego, pełnego niepokoju i gorączki.

I chociaż wielokrotnie mówił sobie, że gdyby miał możliwość zabić kogoś, nie zmarnowałby podobnej okazji, znowu skupił cały swój niepokój na zagadce czasu. Potem oderwał się

od tych myśli i wyobraził sobie dyktaturę, która utrzymywałaby się budząc powszechny strach licznymi egzekucjami, ale obraz rozstrzelanych ludzi oddalał od niego tę odrażającą wizję. Wyobraził więc sobie w środku równiny drobne ciało człowieka i porównawszy długość zwłok z bezmiarem tych tysięcy kilometrów, jakimi władał, nabrał przekonania, że życie ludzkie nie przedstawia żadnej wartości.

Tamten będzie gnił w ziemi, podczas gdy on, po usunięciu tej człowieczej przeszkody mierzącej ledwie tysięczną część jego ziem, wyruszy na dalszy podbój.

Potem pomyślał o wodzu zacierającym dłonie i powtarzającym swym komisarzom:

– To głupota. Jak możemy przeprowadzić rewolucję nie zabijając nikogo?

I słowa te ucieszyły Astrologa. Wprowadziłby tę zasadę w stowarzyszeniu. Przyszli patriarchowie ras byłiby wychowywani w duchu ludobójczej bezwzględności... i znowu jego nadzieje więdły. Potem uznawał, że każdy rewolucjonista musi walczyć ze starymi poglądami, jakie przekazała tradycja, i że te jego obecne rozważania są wynikiem sprzeczności między zasadami, jakie trzeba narzucić, a tymi, jakie mu kiedyś wpojono.

Czas przemykał między jego splecionymi w zamyśleniu palcami.

Dzisiejszy morderca będzie jutro zdobywcą, ale póki co, musi znosić tę ponurą rzeczywistość dnia dzisiejszego spletanego z wczorajszym: Wstał rozdrażniony. Wciąż padało. Wyszedł na schody i zapatrzył się w ciemny gąszcz poruszany ulewą, gęstą i powolną. Ciemności zdawały się być cielskiem jakiegoś dyszącego ciężko potwora. Mokra ziemia przybrała barwę ciemnożółtą... a on był mocnym człowiekiem pośród nocy, sprawcą wielkich wydarzeń, i mimo to nie ukazał się w tej gęstwie żaden duch, aby usankcjonować jego postępowanie. Zapytywał sam siebie teraz, czy ludzie w dawnych wiekach również doświadczali podobnych wątpliwości, czy też dążyli ku własnym celom zadowoleni, że śmierć okryje wszystkie ich czyny grubym pancerzem. Bo właściwie jakie znaczenie może mieć śmierć? Powtarzał sobie, że jedyne, co może go obchodzić jako filozofa, to gatunek, nie zaś jednostka, ale dręczyły go skrupuły i wbrew jego woli dzieliły jeden czas na dwa dziwne czasy.

Błyskawica okryła błękitem przestrzeń między masywami chmur. U stóp schodów stanął Człowiek, który widział Akuszerkę, przemoczony i z rozwianą czupryną.

– A! to pan! – mruknął Astrolog.

– Tak, chciałem zapytać, co sądzi pan o takiej interpretacji wersetu „z nieba od Boga”. Znaczy to jasno, że są inne nieba, nie należące do Boga...

– Więc do kogo?

– Mam na myśli to, że być może są nieba, w których nie ma Boga. Bo werset ten mówi jeszcze: „widziałem święte miasto Jeruzalem, nowe, zstępujące z nieba”. Nowe Jeruzalem? Czyżby chodziło o nowy Kościół?

Astrolog pomyślał przez chwilę. Cała ta sprawa niewiele go obchodziła, ale wiedział, że dla zachowania autorytetu musi coś odpowiedzieć, więc rzekł:

– My, oświeceni, wiemy, że nowe Jeruzalem to nowy Kościół. Dlatego Swedenborg powiada: „Ponieważ Pan nie może objawić się osobiście, a zapowiedział, że przyjdzie i założy Nowy Kościół, wynika z tego, że uczyni to za pomocą człowieka, który nie tylko pozna doktrynę tego Kościoła, lecz również będzie ją mógł upowszechnić poprzez prasę...”, ale dlaczego dopuszcza pan, obok innego pisma, istnienie więcej niż jednego nieba?

Bromberg, który schronił się pod gankiem, popatrzył w ciemności wstrząsane ulewą i odrzekł:

– Bo te nieba czuje się tak jak miłość.

Astrolog spojrział zdziwiony na Żyda, a ten ciągnął:

-- To jest tak jak miłość. Jak może się pan zaprzeć miłości, skoro miłość jest w panu i czuje pan, że aniołowie czynią ją coraz mocniejszą? Podobnie dzieje się z czterema niebami. Należy przyjąć, że wszystkie słowa Biblii kryją tajemnicę, bo w przeciwnym razie byłby to zbiór niedorzeczności. Zeszłej nocy byłem trochę przygnębiony i czytałem Apokalipsę. Myślałem o tym, że muszę zabić Gregoria, i pytałem sam siebie, czy wolno przelewać ludzką krew.

– Jak się dusi, nie ma rozlewu krwi – odparł Astrolog.

– A kiedy doszedłem do słów „niebo od Boga”, zrozumiałem przyczynę ludzkiego przygnębienia. To ten mroczny kościół nie dopuszcza ludzi do nieba... i dlatego tak bardzo grzeszą.

W ciemnościach dziecięcy głos Bromberga brzmiał tak

smutno; jakby się użalał, że odtrącono go od prawdziwych niebios. Astrolog wyjaśnił:

– Uskrzydłony człowiek, który przemawia do mnie we śnie, powiedział mi, że kres tego kościoła jest bliski...

– Tak powinno być... bo piekło rośnie z dnia na dzień. Tych, co się uratują, będzie tak mało, że niebo w porównaniu z piekłem będzie mniejsze niż ziarnko piasku w oceanie. Z roku na rok piekło rośnie, a mroczny kościół, który miał zbawić człowieka, powiększa je z dnia na dzień, tak że nie ma już sposobu, żeby je zmniejszyć. I aniołowie patrzą z lękiem na ten mroczny kościół i czerwone piekło napęczniałe jak brzuch hipopotama.

Astrolog, szukając górnobrzmiących słów, odparł:

– Dlatego uskrzydłony człowiek powiedział mi: „Idź, święty mężu, dodawać ludziom otuchy i głosić dobrą nowinę. I zniszcz antychrystów, wyjaw Brombergowi sekrety nowego Jeruzalem” – i chwyciwszy nagle swego towarzysza za rękę, Astrolog zapytał: – Nie pamiętasz, jak twój duch rozmawiał z aniołami i podawałeś im biały chleb na skraju gościńca, i prosiłeś, żeby odpoczęli koło twego szałas, i myłeś im nogi?

– Nie pamiętam.

– Musisz więc sobie przypomnieć. Co powie Pan, gdy się o tym dowie? Co ja powiem Aniołowi Nowego Kościoła, gdy zapyta o twoją duszę? Zapyta mnie: „Co się stało z naszym kochanym synem, pobożnym Alfonem?” A ja co mu odpowiem? Że jesteś prostakiem? Że zapomniałeś o czasach, kiedy żyłeś życiem anioła, że zaszyłeś się gdzieś w kącie i jak muł puszczasz tylko wiatry?

Bromberg, głęboko urażony, zaprotestował:

– Ja nie puszczam wiatrów.

– I to całkiem głośno... ale to nieważne. Anioł Kościoła wie, że twoja pobożność jest szczerą i że jesteś wrogiem Króla Babilonii, papieża ciemności, i dlatego zostałeś wybrany na przyjaciela człowieka, który z posłannictwa Pana założy na ziemi Nowy Kościół.

Krople deszczu uderzały cicho o liście drzew figowych, a ciemności, miękkie i cierpkie, wydzielały wilgotną roślinną woń. Bromberg przepowiedział poważnie:

– I papież, sam papież wybiegnie boso na ulicę, wystraszony, a wszyscy będą się od niego odwracać z bojaźnią i pośpie-

chem, i gdzie tylko stanie święty Baranek, tam drogi okryją się kwiatami.

– Właśnie tak – ciągnął Astrolog. – A przez uchylone niebo wszyscy skruszeni grzesznicy ujrzą złote bramy nowego Jerozalem. Bo światłość boska jest tak wielka, że nie ma człowieka, który zetknąwszy się z nią bezpośrednio nie padłby na ziemię, jakby miał nogi z waty.

– Dlatego wyjawię ludziom moją interpretację Apokalipsy i odejdę w góry, żeby odprawiać pokutę i modlić się za nich.

– Tak jest, Alfonie, ale teraz idź spać, muszę jeszcze trochę pomedytować, bo o tej porze zjawia się uskrzydłony człowiek, aby mi szeptać do ucha. Ty też musisz się wyspać, bo jutro... bo inaczej zabraknie ci sił, żeby zadusić tego potępieńca...

– I Króla Babilonii.

– Otóż to.

Człowiek, który widział Akuszerkę, oddalił się wolno. Astrolog wszedł do domu i schodami z korytarza dostał się do długiego i wąskiego pokoju, którego sufit stanowiły belki załamującego się ukośnie dachu. Na ścianach z osypującym się tynkiem nie było żadnego obrazka. W kącie stały bagaże Gregoria Barsuta, a pod okrągłym oknem drewniane łóżko pomalowane na czerwono. Czarny koc leżał w nieładzie wśród białych prześcieradeł. Astrolog usiadł zamyślony na brzegu łóżka. Jego płaszcz rozchylił się i odsłonił owłosioną klatkę piersiową. Astrolog przeciągnął palcami po swych focznych wąsach i zmarszczywszy brwi wpatrywał się w kufer w kącie.

Chciał, aby jego myśli porwało teraz coś nowego, co zburzyłoby monotonię przeżyć i przywróciło przytomność umysłu z okresu, gdy nie podjął jeszcze decyzji o zabiciu Barsuta.

„Chodzi o dwadzieścia tysięcy – myślał – dwadzieścia tysięcy na założenie burdelu i kolonii... kolonii...”

A jednak nie widział wszystkiego jasno. Pomysły umykały przed nim jak cienie, myśli zaskakiwane ciągłymi niespodziankami nie potrafiły się na niczym skupić. Nagle klepnął się dłonią w czoło i uradowany przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia wlokąc za sobą skrzynię, z której wieka, nie dbale wzmocnionego metalowymi taśmami, wzbijały się tumany kurzu.

Nie troszcząc się o rękawy płaszcza, które pokryły się szarym nalotem, otworzył kufer. Był pełen ołowianych żołnie-

rzyków i drewnianych kukiełek: pajaców, generałów, clownów, księżniczek i dziwnych grubych potworów o ptasich nosach i żabich pyskach.

Wziął kawałek postronka i przywiązał go w rogu do dwóch gwoździ w ten sposób, że dzielił na pół kąt utworzony przez dwie ściany. Potem zaczął wyjmować z kufra lalki i rzucać je na łóżko. Kawałkami sznurka przewiązywał teraz gardła kukiełek i tak był zajęty swą pracą, że nie zauważył, kiedy strugi wzmagającego się deszczu wdarły się przez otwarte okno do pokoju.

Pracował z zapamiętaniem. Kiedy powiązał już sznurkowe pętle o różnej długości na szyjach lalek, zaniósł je wszystkie do kąta i przymocował do rozciągniętego powroza. Skończywszy tę pracę, zaczął się im przyglądać. Cienie pięciu powieszonych kukiełek poruszały się na różowej ścianie. Pierwszym był pierrot bez spodni, ale za to w kurtce w białe i czarne kwadraty; drugim czekoladowy pajac o cynobrowych ustach, którego arbuzowaty łeb wisiał na wysokości stóp pierrota; trzecim, wiszącym jeszcze niżej, był pierrot mechaniczny, z brązowym talerzem na brzuchu i małpią twarzą; czwartym – marynarz z niebieskiego kartonu, a piątym Murzyn z płaskim nosem i gipsową raną na wytwornym kołnierzyku. Astrolog przyglądał się z zadowoleniem swemu dziełu. Siedział tyłem do lampy i jego czarna sylwetka sięgała sufitu. Powiedział głośno:

– Ty, pierrocie, jesteś Erdosainem; ty, gruby, Poszukiwaczem Złota; clown to Alfons, a ty, czarny, jesteś Alfonem. Zgadzamy się.

Powiedziawszy to odsunął kufer Barsuta od ściany, postawił na wprost kukiełek i usiadł na nim. I tak zaczął się ten cichy dialog, w którym Astrolog stawiał pytania, a odpowiedzi rodziły się w jego wnętrzu, kiedy rzucał spojrzenie na pytanego pajaca.

Jego myśli stały się teraz zadziwiająco jasne. Musiał wyrażać je sposobem telegraficznym, niespokojnym, urywanym, jakby całym sobą dostosowywał rytm myślenia do tajemniczych porywów entuzjazmu.

I myślał:

„Trzeba założyć fabryki gazów duszących. Postarać się o chemika. Karetki więzienne zamiast ciężarówek. Z solidnymi przyczepami. Kolonia w górach, nonsens. Albo nie. Tak.

Nie. Także nad brzegiem Parany fabryka. Samochody, pancerz chrom, nikiel. Gazy duszące ważne. W Kordylierach i Chaco wybuch rewolucji. Gdziekolwiek są burdele, zabić właścicieli. Banda morderców w samolocie. Wszystko jest do zrobienia. Każda komórka – urządzenie radiotelegraficzne. Kod i pasmo fal zmieniane równocześnie. Prąd elektryczny z wodospadów. Turbiny szwedzkie. Erdosain ma rację. Życie jest wspaniałe! Kim jestem? Fabryka zarazka dżumy dymienicowej i tyfusu plamistego. Założyć akademię do studiów porównawczych nad rewolucją francuską i innymi. Także szkołę propagandy rewolucyjnej. Kinematograf ważny element. Uwaga. Obejrzyć kinematograf. Erdosain niech się tym zajmie. Kinematograf na użytek propagandy rewolucyjnej. To jest to.”

Teraz rytm jego myśli uspokajał się. Pytał siebie:

„Jak wszczepić każdemu rewolucyjny entuzjazm, który noszę w sobie? Właśnie, właśnie. Jakim kłamstwem lub prawdą? Jak szybko mija ten czas! I jak smutno! Jedno jest pewne. Jest we mnie tyle smutku, że gdyby się dowiedzieli, na pewno byliby zdziwieni. I sam to wszystko dźwigam.”

Skurczył się na kanapie. Było mu zimno. W skroniach czuł pulsowanie krwi.

„Czas, który umyka. Właśnie. Właśnie. I wszyscy w bezruchu jak te kamienie. Nikogo, kto chciałby poderwać się do góry. Jak przekonać tych osłów, że powinni oderwać się od ziemi? A przecież życie jest inne. Tak odmienne, że nawet sobie tego nie wyobrażają. Dusza jak ocean, tłukąca się w siedemdziesięciu kilogramach ciała. I samo ciało spragnione lotu. Wszystko w nas chce się wzbić ku chmurom, sprowadzić ten świat obłoków na ziemię... ale jak?... Zawsze to jak, a ja... ja cierpię tutaj za nich, kocham ich, jakby byli moimi dziećmi, bo przecież kocham tych ludzi... kocham wszystkich. Stąpają po ziemi, bo tacy już są, choć powinni być inni. Czuję to teraz. Kocham ludzkość. Kocham ich wszystkich, jakby byli połączeni z moim sercem jakąś delikatną pępowiną. I przez nią właśnie czerpią moją krew, moje życie, a mimo to jest we mnie tyle życia, że chciałbym, aby było tych ludzi o wiele milionów więcej, abym kochał ich jeszcze bardziej i obdarzał własnym życiem. Tak, obdarzał życiem jak papierosami. Teraz rozumiem Chrystusa. Jak bardzo musiał kochać ludzi! A mimo to jestem szpetny. Moja gęba jest szpetna. A przecież powinna

być piękna, ładna jak twarz jakiegoś boga. Mam uszy jak liście kapusty i nos jak gnat złamany uderzeniem pięści. Ale co tam. Jestem mężczyzną i już. I muszę podbijać. To wszystko. I nie oddałbym żadnej mojej myśli za miłość najpiękniejszej kobiety.”

Nagle jakieś wcześniejsze słowa ożyły w pamięci Astrologa i powiedział:

– Dlaczego by nie?... Możemy produkować działa, jak mówi Erdosain. Strona techniczna przedsięwzięcia nie jest trudna, poza tym wcale nie muszą wytrzymać tysiąca wystrzałów. Rewolucja, która trwałaby tak długo, musiałaby upaść.

Zamilkł. W ciemnościach zobaczył mroczną uliczkę pełną stalowych rusztowań, otwierającą się jakby we wnętrzu jego czaszki, a w kłębach sadzy ukazały się wielkie piece opasane pancierzem urządzeń chłodniczych.

Astrolog czuł, że odzyskuje swą dawną osobowość, której pozbawiły go tamte dziwne czasowe omamy.

Myśli, myśli teraz, że można by produkować stal niklową i działa ze spawanymi lufami. Czemu nie? Wyobraźnia jego zręcznie omija przeszkody. A wtedy dysponując pieniędzmi z burdeli kupiliby ziemię w różnych punktach kraju. Tam członkowie loży zbudowaliby z betonu i stali halę na artyleryjski sprzęt udając, że chodzi o spichlerze.

Podniecała go możliwość stworzenia w kraju rewolucyjnej armii, która poderwałaby się na pierwszy radiowy lub telefoniczny sygnał. Czemu nie? Stał, chrom, nikiel. Każdy szef komórki odpowiadałby za jedną baterię. O co więc właściwie chodzi? Żeby działa wystrzeliły pięćset, czterysta pocisków. I samochody z karabinami maszynowymi. Czemu nie? Na dziesięć osób jeden karabin maszynowy, jedno auto i jedno działo. Dlaczego by nie spróbować?

W środku czarnej nocy rozpalone do białości gigantyczne stalowe jajo między dwiema kolumnami chyli się wolno nad wielką michą. To konwertor Bessemera poruszany hydraulicznym tłokiem. Potok iskier i płomieni odrywa się od czubka stalowego jaja. To żelazo, przemienione w ciepłą stal dzięki strumieniowi powietrza o ciśnieniu kilkuset atmosfer. Stał, chrom, nikiel. Dlaczego by nie spróbować? Myśl jego ogarnia setki szczegółów. I wkrótce jakiś głos wewnętrzny pyta go:

„Dlaczego ludzkie szczęście trwa tak krótko?”

Ta prawda osnuwa smutkiem jego życie. Świat powinien

należęć do nielicznych. A ci nieliczni powinni stąpać krokami gigantów.

Trzeba stawiać czoło problemom i widzieć jasno. Najpierw zabić Barsuta, potem założyć dom publiczny i kolonię w górach... ale jak się pozbyć trupa? Czy to nie głupie, żeby człowiek, który uważa, że łatwo jest zbudować działo i wyprodukować stal, chrom, nikiel, tak bardzo głowił się nad tym, jak pozbyć się zwłok? Jasne, że nie powinien w ogóle o tym myśleć... spali się je... pięćset stopni wystarczy na zniszczenie zwłok, wciśniętych do jakiegoś pojemnika. Pięćset stopni.

Czas i zmęczenie robią swoje. Nie chciałby już myśleć, ale nagle głos, niezależny od jego ust i woli, szepce mu gdzieś w głębi duszy:

„Rewolucja wybuchnie o tej samej godzinie w całej Republice. Zaatakujemy koszary. Rozstrzelamy wszystkich, którzy mogą choć trochę wicherzyć. W stolicy na kilka dni przedtem rozrzuci się parę kilogramów zarazka tyfusu plamistego i dżumy. Nocą, z samolotów. Podstołeczne komórki rozkręcą tory kolejowe. Nie będziemy wpuszczać ani wypuszczać pociągów. Po opanowaniu stolicy, przerwaniu połączenia telegraficznego, rozstrzelaniu dowódców władza będzie w naszych rękach. Wszystko to są szaleństwa realne. Ale człowiek zawsze żyje jakby we śnie i odrętwieniu, ilekroć zabiera się do tych spraw. A mimo to zbliża się do nich z powolnością tak rączą, że dziwi się sam, kiedy wszystko osiągnie. Trzeba mieć tylko silną wolę i pieniądze... Oprócz komórek możemy zorganizować szajkę morderców i zamachowców. Iloma samolotami będzie dysponować armia? Ale po przerwaniu łączności, zajęciu koszar i rozstrzelaniu dowódców kto wprawi w ruch cały ten mechanizm? Jest to kraj dzikich bestii. Trzeba je wszystkie wystrzelać. To nieuniknione. Będą nas szanowali tylko wówczas, gdy poczują lęk. Taka tchórzliwa jest już natura człowieka. Jeden karabin maszynowy... Ciekawe, jak zorganizują oddziały do walki z nami? Po unieruchomieniu telegrafu i telefonu, zerwaniu torów... Dziesięciu mężczyzn może zastraszyć dziesięciotysięczne miasteczko... Wystarczy im jeden karabin maszynowy. W kraju jest jedenaście milionów mieszkańców. Północ z plantacjami *yerba mate* odpowie na nasze wezwanie. Tucumán i Santiago del Estero ze swymi cukrowniami... Przeciw nam tylko armia. Koszary można zaatakować w nocy; po zajęciu zbrojowni, rozstrzelaniu dowódców i powieszeniu

sierżantów dziesięciu ludzi może opanować koszary z tysiącem żołnierzy, pod warunkiem że będziemy mieli karabin maszynowy. Jakie to proste. A bomby, gdzie by je podrzucić? Tylko jednoczesne zaskoczenie w całym kraju; dziesięciu ludzi na jedno osiedle – i Argentyna jest nasza. Żołnierze są młodzi i pójdą za nami. Kaprali awansujemy na oficerów i będziemy mieli najbardziej niezwykłą armię, jaką kiedykolwiek znano w Ameryce. Dlaczegoż by nie? Cóż to takiego napad na bank w San Martín, na kasę szpitala w Rawson, na filię Martellego w Montevideo? Trzech odważnych gazeciarzy i miasto zdobyte.”

Głucha nienawiść sprawia, że czuje teraz przyspieszone bicie serca. Krew płynie zgiełkliwie w jego mocnym, jędrnym ciele, gotowym do ataku. Czuje się silniejszy niż kiedykolwiek – siłą człowieka, który może rozstrzeliwać!

Żarówka kołysała się przy łoskocie burzy, ale Astrolog, siedzący plecami do łóżka, na kufrze, ze skrzyżowanymi nogami, z policzkiem podpartym dłonią i z łokciem na udzie, nie odrywał oczu od pięciu kukiełek, których postrzępione cienie drżały na różowej ścianie.

Struga deszczu, która wpadła przez otwarte okno, utworzyła na podłodze kałużę; pytania i odpowiedzi krzyżowały się bez słów, od czasu do czasu jakaś zmarszczka przecinała czoło Astrologa, potem nieruchome oczy na kwadratowej twarzy potwierdzały powolnym ruchem powiek odpowiedź zgodną z jego życzeniami i tak trwał aż do świtu. Wreszcie podniósł się ze skrzyni i pogardliwie odwrócił plecami do pięciu lalek kołyszących się w pustym pokoju przy oknie niczym pięciu wisielców. Zastanawiał się przez chwilę, potem zbiegł szybko po schodach, otworzył drzwi i długimi susami ruszył w ciemnościach w kierunku garażu, gdzie przebywał Barsut.

Już nie padało. Chmury zaczęły się rwać i odsłoniły na jasnym błękitnie skrawek żółtego księżyca.

Objawienie

Niezwykłe wydarzenia działały się tymczasem w szpitalu szarytek. Ergueta dostępował tu tego, co sam nazwał potem „poznaniem Boga”. Było to tak.

Obudził się o świcie w dużej sali. Księżycowa poświata kładła się sinym prostokątem na ścianie na wprost jego łóżka. Przez kraty otwartego okna widać było niebo w kwadratowych ramach, porowate i jaskrawe jak gips zabarwiony błękitem metylenowym. Na żelaznej kracie iskrzyły się drżące krople wody.

Ergueta podrapał się przytomnie po nosie, choć nic mu nie dokuczało. Rozumiał, że jest w domu wariatów, ale „sprawa ta nie jego dotyczyła”.

Przejmowało go tylko, czy uwięziono również jego duszę; w rzeczywistości jednak zamknięto w zakładzie dla obłąkanych jedynie ciało, ciało ważące dziewięćdziesiąt kilo, które teraz z pewną niewytłumaczalną niechęcią przypominało sobie swe dawne wędrówki po lupanarach. I nie mogąc tego uniknąć, dokonywało przeglądu uciech życia zmysłowego. Ale co właściwie mogło łączyć jego duszę z tymi szaleństwami ciała?

Była to dla niego prawda tak oczywista, iż zdumiał się, że lekarze nie zwrócili uwagi na tę różnicę.

Odkrycie to zachwyciło Erguetę. Nie był już człowiekiem, tylko duchem, „czystą duszą” o brzegach delikatnie wyciętych w klatce ciała niczym chmury w bezkresnej przestrzeni.

Był prawie wesół. Już przez kilka poprzednich nocy nie wątpił, że potrafiłby oderwać się od własnego ciała, porzucić je jak ubranie. Nagła pewność przejęła go lękiem. Chwilami miał nawet uczucie, że dotyka nie powierzchni skóry, lecz własnej duszy, tak iż spokój jego niestałego ciała przyprawiał go o mdłości. To tak jakby z olbrzymią szybkością zjeżdżał windą. Bał się poza tym, że zechce kiedyś opuścić własne ciało i jeśli je zniszczą, jak do niego wróci? Sanitariusz miał teraz minę szelmowską, a choć napomykał mu przedtem o rewanzu w kartach, nie czuł się zbyt pewnie. Kiedy jednak to pierwsze wrażenie minęło, przyjemność sprawiła mu myśl, że jest wątłym dzieckiem, i skręcał się w łóżku ze śmiechu na widok tych wszystkich komedii, którymi sanitariusz próbował uspokoić jego dziewięćdziesiąt kilogramów, nie przypuszczając nawet, że pacjent może w każdej chwili umknąć, gdzie tylko zechce... ale nie... z tym nie ma żartów. Jego dobroć nie dopuszczała czegoś podobnego i jakie to wspaniałe czuć w sobie tyle miłości! Jego miłosierdzie wzbierało nad światem jak chmury nad dachami miasta.

A ciało spadało coraz niżej.

Widział je teraz na dnie jakiegoś pudła. Między białymi sześcianami domów sanatorium było tylko jeszcze jedną bryłą, błękitne ulice wiły się między cienistymi kopcami, nad torami pełgały zielone światełka, a on chłonał przestrzeń jak gąbka ocean; i czas przestawał istnieć.

Upojenie niosło go pod niebiosa. Ergueta czuł w sobie spokój, jakby jakaś zewnętrzna siła zatrzymała w nim wszystką dobroć. Był jak wyschnięty staw w czasie ulewy zesłanej przez niebo.

Widział spowite błękitem eteru zielone rubieże ziemi, ku której kierował swą miłość. Nie miał zwyczaju milczeć, ale teraz potrafił tylko szeptać:

– Dzięki... dzięki Ci, Panie.

Nie doświadczał żadnej ciekawości. Jego pokora rosła wraz z szacunkiem.

W błękitnej poświacie zauważył nagle skalny nasyp. Mimo nocy, granie skąpane były w złotym świetle, a dalej błękit gubił się w głębokich parowach o złocistych stokach. Ergueta stąpał ostrożnie, odzyskawszy swe ciało i czujne, sępie spojrzenie.

Oczywiście, że czuł się nieswojo, gdyż jego ciało grzeszyło niezliczoną ilość razy, a twarz, o czym wiedział, mimo obecnego poważnego wyrazu nosiła piętno siły i porywczosci bandytów, których naśladował w chłopięcych latach razem z kompanami ze swojej dzielnicy.

Ale jego dusza była przygnębiona i być może to wystarczało; nie przeszkadzało mu to jednak pytać siebie:

„Co powie Pan, kiedy mnie zobaczy? Jak mogę stanąć przed nim? – I spojrzawszy machinalnie na buty, spostrzegł, że są nie wyczyszczone, co pogłębiło jego niepewność. – Co powie Pan, kiedy zobaczy mnie właśnie takim, z tą twarzą karciarza i sutenera? Zapyta o moje grzechy... przypomni sobie wszystkie głupstwa, jakie popełniłem... a ja co mu odpowiem?... że nie wiedziałem? Ale jak mogę mu to powiedzieć, skoro dał świadectwo, że obecny jest w każdym swoim proroku?”

Znowu spojrzął na swoje buty, brudne i podarte.

„I powie mi: «Nawet wyglądasz jak szubrawiec... podły nikczemnik, a przecież byłeś nawet na uniwersytecie... Grałeś tylko w karty i plugawileś w orgiach nieśmiertelną duszę, jaką cię obdarzyłem, i ciągałeś swego anioła stróża po burdelach,

a on płakał za twoimi plecami, kiedy twoja gęba była pełna złorzeczeń...» A najgorsze, że nie będę mógł mu zaprzeczyć... Jakże miałbym zaprzeczyć się przed nim własnych grzechów? Co za bzdura! Mój Boże!”

Niebo nad jego głową było błękitną gipsową kopułą. Po elipsach krążyły niby pomarańcze odległe planety, a Ergueta patrzył pokornie na złotą turnię.

Nagle jakiś wielki niepokój wytrącił go z tego nastroju pokory. Podniósł głowę i po lewej stronie, w odległości dziesięciu kroków, zobaczył Syna Człowieczego.

Nazaretańczyk okryty błękitną tuniką zwrócił ku niemu swój wychudły profil, na którym błyszczało łagodne migdałowe oko.

Ergueta pogrążył się w rozpacz, nie mógł uklęknąć, „gdyż facet z Buenos Aires trzyma zawsze fason” i nie klęka przed byle żydowskim cieślą, ale czuł, że szloch rozsadza mu piersi, i bez słowa wyciągnął złączone dłonie w stronę milczącego Boga.

Czuł, jak cała jego zuchwałość przemienia się w nabożne oddanie.

W milczeniu przyglądał się Jezusowi stojącemu na skale. Oczy Erguety wypełniły się łzami. Żałował, że nie ma tu nikogo, z kim mógłby się pobić, żeby udowodnić Panu, jak bardzo go kocha, i wtedy cisza wydała się mu tak nieznośna, że pokonawszy straszliwe odrętwienie, kornie wyjęczał:

– Chciałbym być inny, ale nie potrafię.

Jezus patrzył na niego.

– Proszę mi wierzyć... nie wiem nawet, jak powiedzieć, że bardzo pana kocham.

Ergueta odwrócił się do niego plecami, postąpił trzy kroki naprzód, znowu się odwrócił i stanął.

– Popeliłem wszystkie grzechy i wiele bzd... niedorzeczności... chciałbym czuć skruchę i nie mogę... chciałbym uklęknąć... no właśnie, całować stopy pana, który za nas dał się ukrzyżować. Ach! gdyby wiedział pan wszystko, co chciałem powiedzieć, co wyleciało mi z pamięci... a jednak kocham pana. Czy to dlatego, że rozmawiamy jak człowiek z człowiekiem?

Jezus patrzył na niego. Uśmiech rozpogodził twarz Chrystusa.

Ergueta zamilkł na chwilę, potem zaczerwieniony wymru-
czał nieśmiało:

– Och! jaki pan jest dobry – zawołał oszalały Ergueta. – Jaki
dobry! Raczył pan uśmiechnąć się do mnie, grzesznika...
Rozumie pan? Uśmiechnął się pan. Przy panu, proszę mi
wierzyć, czuję się niewinnym chłopcem. Chciałbym wielbić
pana całe życie, być pańskim strażnikiem. Teraz nie będę już
więcej grzeszyć, całe życie będę myślał o panu i biada temu,
kto w pana zwątpi... dam mu po pysku...

Jezus patrzył na niego.

Wtedy Ergueta chcąc ofiarować to, co w nim najlepsze,
powiedział:

– Klękam przed panem – postąpił parę kroków i stanąwszy
przed Jezusem pochylił głowę, oparł kolano o złoty występ
skalny i już miał uklęknąć, kiedy Jezus wyciągnął swą zranio-
ną dłoń, położył na jego ramieniu i rzekł:

– Chodź. Idź za mną zawsze i nie grzesz więcej, bo du-
sza twoja jest piękna jak u aniołów głoszących chwałę Pań-
ską.

Chciał mówić, ale już owionęły go pustka i cisza. Ergueta
zrozumiał, że poznał był samego Boga. Było to oczywiste, bo
kiedy zwrócił się w stronę głosów, które zabrzmiały w ciemnej
sali, jakiś wariat, niemy od urodzenia, zawołał patrząc na
niego ze zdumieniem:

– Wygląda na to, że przychodzisz z nieba.

Ergueta patrzył na niego zdziwiony.

– Tak, bo jak święci masz aureolę nad głową.

Ergueta, lekko przerażony, oparł się o ścianę. Inny, jednoo-
ki wariat, który dotychczas milczał, zawołał:

– Cuda... robisz cuda. Niememu przywróciłeś mowę.

Ta rozmowa obudziła trzeciego szaleńca, który całymi
dniami iskał urojone pchły swymi modzelowatymi, zniszczo-
nymi paluchami, i ten, zwróciwszy w ich stronę pobladłą
brodatą twarz, powiedział:

– Przeszedłeś, aby wskrzeszać umarłych...

– I przywracać wzrok ślepcom... – przerwał niemowa.

– I jednookim – potwierdził wariat bez jednego oka – bo
teraz widzę na oba.

Niemowa, unosząc się na łokciach, ciągnął:

– Ale ty to nie ty, tylko Bóg, który jest w twoim ciele.

Ergueta zaszępioty potwierdził:

– Tak, bracia... to nie ja... lecz Bóg, który jest we mnie...
Jak mógłbym ja, nędzny dziwkarz, czynić cuda?

Wtedy ten, który szukał pchły, usiadł na brzegu łóżka i kołysząc bosymi stopami podsunął myśl:

– Może byś zrobił jeszcze jeden cud?

– Przyszedłem nie po to, lecz żeby głosić słowo żywego Boga.

Poszukiwacz pcheł założył jedną stopę na kolano i przewrotnie nalegał:

– Powinieneś zrobić jakiś cud.

Niemowa położył poduszkę na podłodze, usiadł na niej i rzekł:

– Ja więcej nie mówię.

Ergueta złapał się za głowę oszołomiony tym, co widzi. Jednooki medytował życzliwie:

– Tak, powinieneś ożywić umarłego.

– Przecież tutaj nie ma żadnego umarłego!

Jednooki kuśtykając podszedł do Erguety, chwycił go za ramię i prawie siłą zawlókł do bocznego łóżka, na którym leżał bez ruchu jakiś mały człowieczek o okrągłej głowie i dużym nosie.

Niemowa zbliżył się i zacisnął usta.

– Nie widzisz, że nie żyje?

– Zmarł po południu – odburknął jednooki.

– Mówię wam, że ten człowiek nie umarł – gniewnie zawołał Ergueta, przekonany, że kpią z niego, ale poszukiwacz pcheł zerwał się ze swego legowiska, pochylił się nad człowiekiem z okrągłą głową i pchnął bezwładne ciało tak, że z głuchym hukiem spadło na podłogę, a nogi znalazły się na górze między dwoma łózkami, niczym konary świeżo przyciętego drzewa.

– Widzisz, że nie żyje? – powtórzył brodac.

– Zrób cud – błagał jednooki. – Jak mamy wierzyć w Niego, jeśli nie zrobisz cudu? Co ci szkodzi?

Niemowa pochylił nagle głowę i zaczął dawać Erguecie przyzwalające znaki.

Ten pochylił się poważnie nad zwłokami, chciał wymówić słowa Życia, ale nagle ściany sali zawirowały mu przed oczyma, wiatr ponuro zawył w uszach i zobaczył trzech szaleńców oświetlonych błękitnym prostokątem księżycowej

poświaty, z koszulami rozdętymi wichurą, a on sam umykał przed tym mrocznym wirem w stan nieświadomości.

Samobójca

ErDOSain klęczał u stóp Kuternogi może godzinę. Dotychczasowe przeżycia rozplynęły się w jego obecnym odrętwieniu. Wszystko, co wydarzyło się w ciągu dnia, wydawało mu się dziwnie obce. Przygnębienie i niechęć krzepły w nim jak błoto na słońcu. Trwał jednak w bezruchu, zniewolony sennością zmęczonego ciała. I marszczył czoło. Wśród mgieł i ciemności rósł w nim nowy niepokój, straszliwy lęk, że błąka się jak zjawa nad brzegiem granitowego doku. Szare wody poznały jego ściany, na różnej wysokości, brudnymi pasami. Żelazne szalupy wiozły niewyraźnych ludzi ku dalekiemu miastu. Tam spotkał kobietę wystrojoną jak kokota, z diamentowym naszyjnikiem, opartą łokciami o stół w jakiejś knajpie i kryjącą twarz w upierścienionych dłoniach. A kiedy mówiła, ErDOSain drapał się po nosie.

Nie wiedział, dlaczego to robi, więc przypomniał sobie, że właśnie wtedy zjawily się cztery panienki w spódniczkach do kolan i ze złotymi włosami rozsypanymi wokół ich końskich twarzy. Podeszły do niego i postawiły na stole jeden talerz. Wtedy ErDOSain zapytał: „Jak to możliwe, żebyście zarobiły na chleb zajmując się tylko tym?” A artystka, kokota z diamentowym naszyjnikiem, odparła, że tak, że te cztery dziewczyny utrzymują się z jałmużny, i zaczęła swym kobiecym głosem opowiadać o jakimś rosyjskim księciu, którego stara się wprowadzić w nocne życie, bo nie wypadało mu zajmować się tym co owe cztery panienki. I dopiero wtedy ErDOSain zrozumiał, dlaczego drapał się w nos, kiedy słuchał tej ślicznotki.

Jego przygnębienie wzrosło, gdy zobaczył, jak milczący ludzie odwracają głowy i wchodzi do wagonów długiego pociągu, którego wszystkie okna są zasłonięte. Nikt nie pytał o trasę przejazdu ani o stację. W odległości dwudziestu kroków od niego aż po ciemny widnokrąg rozciągało się szare

pustkowie. Nie było widać lokomotywy, ale usłyszał przejmujący zgrzyt łańcuchów, kiedy zwolniono hamulce. Mógł podbiec – pociąg sunął wolno – wskoczyć na stopień, stać przez chwilę na pomoście i patrzeć, jak wagony nabierają szybkości. Miał jeszcze czas, żeby wyrwać się z tej szarej pustyni, bez ludzi i miast... ale obezwładniony własnym przygnębieniem wpatrywał się tylko ze ściśniętym gardłem w ostatni wagon ze starannie zamkniętymi oknami.

Kiedy zobaczył, że wtacza się on na zakręt spowitych gęstą mgłą torów, zrozumiał, że na zawsze już zostanie sam na tym burym pustkowiu, że pociąg nie wróci, że będzie wciąż toczył się cicho ze swymi dokładnie zamkniętymi oknami.

Wolno podniósł głowę z kolan Hipolity. Przestało padać. Czuł chłód w nogach, bolały go stawy. Patrzył przez chwilę na twarz śpiącej kobiety, o rysach zlagodzonych błękitem światła wpadającego przez szybę, i z niezwykłą ostrożnością wstał. Cztery panienki o końskich twarzach i płowych rozwichrzonych włosach nie opuściły go jeszcze. Pomyślał: „Powinienem był się zabić... – A kiedy spojrział na rude włosy śpiącej kobiety, myśli jego stały się jeszcze bardziej niespokojne: – Musi być okrutna. A przecież mógłbym ją zabić – ścisnął w kieszeni kolbę rewolweru. – Wystarczyłby jeden strzał w głowę. Kula jest ze stali i zrobiłaby tylko małą dziurkę. No tak, oczy wyszłyby jej z orbit i może z nosa popłynęłaby krew. Biedna! Musiała wiele wycierpieć. Ale na pewno jest okrutna.”

Tajona niechęć kazała mu pochylić się nad kobietą. W miarę jak przyglądał się śpiącej, oczy jego stawały się coraz bardziej szkliste, jak u szaleńca, a dłoń w kieszeni odbezpieczała rewolwer. Gdzieś w oddali rozległ się grzmot, a dziwne odurzenie, które krępowało jego myśli, ustąpiło; ostrożnie wziął swój płaszcz, przymknął drzwi, tak żeby nie skrzypnęły zawiasy, i wyszedł. Na schodach stwierdził z radością, że jest głodny.

Ruszył w kierunku barów przy targowisku Spinetto i szybko minął kilka przecznic.

Na fioletowym grzbiecie chmury płynął księżyc, w jego poświacie chodnik zdawał się być wyłożony arkuszami blachy cynkowej, martwe kałuże błyszczały srebrzyście, a spieniona woda spływała z szumem po granitowych krawężnikach.

Jezdnia była tak mokra, że kostka brukowa wyglądała jak pokryta świeżo stopioną cyną.

Erdosain przemykał wśród granatowych cieni rzucanych przez fasady domów. Wilgoć wisząca w powietrzu kazała mu skojarzyć tę poranną samotność z osamotnieniem pośród bezmiarów morza.

Nie ulegało wątpliwości, że nie przyszedł jeszcze do siebie. Niepokoiły go wciąż te cztery dziewczyny o pociągłych twarzach i wzburzone morze ze swymi stalowymi falami. Śwąd przypalonej oliwy bijący od otwartych drzwi jakiejś jadłodajni przyprawił go o mdłości i wtedy, zmieniawszy plan, ruszył do burdelu, który – jak pamiętał – był gdzieś przy ulicy Paso, ale kiedy tam doszedł, brama była już zamknięta, więc zaskoczony, drżąc z zimna, czując w ustach cierpki smak siarczanu miedzi, wszedł do kawiarni, w której właśnie podniesiono metalowe żaluzje. Po długim wyczekiwaniu przyniesiono herbatę, którą zamówił.

Pomyślał o śpiącej kobiecie. Przymknął oczy i z głową opartą o ścianę, niepoczyszony, pograżył się w smutku.

Nie użalał się nad sobą, mężczyzną zapisanym pod jakimś nazwiskiem w urzędzie stanu cywilnego; to świadomość odrywała się od niego, przyglądała się mu jak komuś obcemu i pytała:

– Kto ulituje się nad tym człowiekiem?

I słowa te, które zdołał zebrać w myślach, niepokoili go i napełniały uczuciem przejmującej tkliwości wobec niewidzialnych bliźnich.

– Staczać się... staczać się coraz niżej.

A przecież inni ludzie są szczęśliwi, kochają kogoś, choć wszyscy cierpią. Rzecz w tym, że jedni zdają sobie z tego sprawę, a inni nie. Niektórzy przypisują to temu, że czegoś nie mają. Ale są to głupie rojenia. A jednak miała ładną twarz. To, co mówiła o awanturnicznym księciu, było logiczne. Ach! móc spać na dnie morza w ołowianej skrzyni z grubymi szybami. Spać całymi latami wśród gromadzącego się piachu, tylko spać. Dlatego Astrolog ma rację. Przyjdzie taki dzień, kiedy ludzie zrobią rewolucję, bo brak im Boga, będą strajkowali tak długo, aż Bóg się pokaże.

Poczuł gorzki zapach cyjanku; widział poprzez powieki mleczną jasność poranka i poczuł się jakby rozpuszczony,

jakby już był na dnie morza, a piasek zasypywał jego ołowianą kryjówkę. Ktoś dotknął jego pleców.

Otworzył oczy, właśnie gdy kelner mówił:

– Tutaj nie wolno spać.

Chciał coś odpowiedzieć, ale chłopak oddalił się, żeby obudzić innego śpiocha. Był to gruby mężczyzna, który położył łysą głowę na stole, na skrzyżowanych ramionach.

Drzemiący nie zareagował na słowa kelnera i wtedy zbliżył się zdumiony właściciel, mężczyzna z wąsami wielkimi jak kierownica roweru, i potrząsnął gościem tak, że ten złamał się wpół na krześle, ale nie spadł, bo zatrzymał go kant stołu.

Erdosain podniósł się zdziwiony, a szynkarz i kelner wymienili spojrzenia i patrzyli krzywo na tego dziwnego faceta.

On zaś siedział ciągle w tej samej niedorzecznej pozycji. Głowa przechylona na jedno ramię pozwalała przyjrzeć się jego twarzy, płaskiej, ospowatej, z czarnymi szklami okularów. Strużka czerwonej śliny, sączącej się z sinych ust, poplamiała jego zielony krawat. Łokieć nieznanomego przyciskał do stołu zapisaną kartkę papieru. Zrozumieli, że nie żyje. Zadzwonili na policję. Erdosain nie odchodził, zaciekawiony tym widokiem nieszczęsnego samobójcy w ciemnych okularach, którego skóra pokrywała się z wolna sinymi plamami. A gorzka woń migdałów wisząca w powietrzu zdawała się ulatywać z otwartych ust. Najpierw zjawił się jakiś szeregowy policjant, potem sierżant, po chwili dwaj agenci w cywilu i inspektor i wszyscy oni kręcili się wokół nieboszczyka, jakby to była myśliwska zdobycz. Policjant, zwracając się do inspektora, zapytał nagle:

– Nie wie pan, co to za jeden?

Sierżant wyciągnął z kieszeni trupa kwit hotelowy, trochę bilonu, rewolwer, trzy zalakowane koperty.

– A więc to ten, co zabił dziewczynę z ulicy Talcahuano?

Zdjęli umarłemu okulary i zobaczyli jego oczy, zezujące źrenice, zmatowiałą rogówkę, zaczerwienione powieki, jakby płakał krwawymi łzami.

– A nie mówiłem? – ciągnął policjant. – Tutaj jest jego dowód.

– Zesłaliby go na Ziemię Ognistą na dożywocie.

Erdosain usłyszawszy to przypomniał sobie, że dawno temu musiał gdzieś o tym czytać.

A jednak było inaczej. Poprzedniego dnia dowiedział się o tej historii z gazety. Zmarły był oszustem. Porzucił żonę

i pięcioro dzieci dla jakiejś kobiety, z którą miał troje dzieci, ale przed dwoma dniami dość mając już konkubiny zjawił się w hotelu przy ulicy Talcahuano z jakąś siedemnastolatką, swoją nową kochanką. O trzeciej nad ranem łagodnie zakrył jej głowę poduszką i strzelił z rewolweru prosto w skroń. Nikt w hotelu niczego nie słyszał. O ósmej rano morderca ubrał się, zostawił uchylone drzwi i przywoławszy pokojówkę powiedział jej, żeby nie budziła pani do godziny dziesiątej, bo jest bardzo zmęczona. Potem wyszedł i dopiero o dwunastej odkryto zwłoki.

Niezwykłe wrażenie wywarła na Erdosainie myśl, że morderca spędził pięć godzin ze zmarłą, pięć godzin przy zwłokach dziewczyny w głuchą noc... i że musiał ją bardzo kochać.

Ale czy i on nie myślał o tym samym przed kilkoma godzinami, kiedy był z tamtą rudowłosą kobietą? Była to podświadoma reminiscencja czy też leżący tu samobójca...?

Przyjechała karetka i załadowano zwłoki.

Potem przesłuchiwano go. Erdosain powiedział, co jako świadek widział, i zaintrygowany wyszedł na ulicę. Thukło się mu po głowie jedno ogólne i bolesne pytanie.

Przypominał sobie teraz, że trup miał zabłocone nogawki spodni i brudną, przeupoconą koszulę. Co więc takiego zrobił, że zakochała się w nim ta dziewczyna? Istnieje zatem miłość? Morderca kochał przecież mimo swoich dwóch żon i ośmiorga rozsianych po świecie dzieci, mimo całego tego rozpustnego życia złodzieja i oszusta. I wyobraził go sobie, jak w ciemną noc, w hotelu odwiedzanym przez prostytutki i osobników o nieokreślonej profesji, w pokoju z podartą tapetą przygląda się woskowej, zimnej twarzy dziewczyny na poplamionej krwią poduszce. Przez pięć ponurych godzin przygląda się zmarłej, która przedtem obejmowała go nagimi ramionami. Tak rozmyślając doszedł w bolesnym osłupieniu do Placu Once.

Była piąta rano. Wszedł na stację, rozejrzał się dookoła, a ponieważ był śpiący, zaszył się w kącie poczekalni. O ósmej wyrwał go z głębokiego snu hałas walizek przesuwanych przez jakiegoś podróżnego. Przetarł pięściami obolałe powieki. Na bezchmurnym niebie błyszczało słońce.

Astrolog oczekiwał go na stacji Temperley. Erdosain natychmiast rozpoznał jego krępa postać z czapką nasuniętą na oczy i z obfitymi opadającymi wąsami.

- Jest pan bardzo blady – rzekł Astrolog.
- Jestem blady?
- Żółty.
- Źle spałem... i na dodatek widziałem dziś rano samobójcę...

- Dobra, tutaj ma pan czek.

Erdosain obejrzał go. Opiewał na piętnaście tysięcy trzysta siedemdziesiąt trzy pesos; na okaziciela, ale z datą cofniętą o dwa dni.

- Dlaczego dał pan wcześniejszą datę?

- Budzi to większe zaufanie. Urzędnik bankowy wie, że gdyby ten czek ktoś zgubił, to w chwili gdy zjawi się pan po odbiór pieniędzy, już by czekało polecenie wstrzymania wypłaty.

- Protestował?...

- Nie... uśmiechał się. Ten facet myśli, że nas wszystkich wsadzi do mamra... aha ... zanim pan pójdzie do banku, radzę panu wstąpić do fryzjera i ogolić się...

- A tamtego już pan uprzedził?

- Nie, obudzimy go, jak przyjdzie na to pora.

Za kilka minut miał przyjechać pociąg. Erdosain spojrzawszy uśmiechnięty na Astrologa i rzekł:

- Co by pan zrobił, gdybym teraz uciekł?

- Jest to równie niemożliwe jak to, że nadjeżdżający pociąg nie zatrzyma się tutaj.

- Przypuśćmy, że jednak.

- Nic z tego. Gdybym przez moment dopuścił do siebie tę myśl, nie pana posłałbym po odbiór pieniędzy. Aha... Co to za jeden popełnił dziś rano samobójstwo?

- Jakiś morderca. Ciekawe. Zabił dziewczynę, która nie chciała z nim żyć.

- Same wyrzutki.

- A czy pan byłby zdolny się zabić?

- Nie... Pan rozumie, że jestem przeznaczony do wyższych celów.

Erdosain rzucił dziwne pytanie:

- Niech mi pan powie, czy sądzi pan, że rude kobiety są okrutne?

- Może nie aż tak... raczej bepcłciowe: chłodny dystans, jaki mają do wszystkiego, sprawia wrażenie szorstkości. Smutny Alfons mówił mi, że w swej długiej karierze stręczyciela

znał tylko kilka rudowłosych prostytutek.... Widzi pan. Niech się pan nie zapomni ogolić. Do banku radzę iść o jedenastej, nie wcześniej. Dzisiaj zje pan obiad ze mną, tak?

– Tak, do widzenia.

Za Erdosainem wsiadł do pociągu Major, który skinął przyjaźnie w stronę Astrologa. Erdosain go nie zauważył.

Wciśnięty w fotel myślał teraz:

„Co za niezwykły człowiek! Skąd, do diabła, wie, że go nie oszukam! Jeśli trafi w innych sprawach tak jak ze mną, wygra” – i zmożony kołysaniem pociągu znowu usnął. Za nim siedział Major. Już w banku podszedł z mocno bijącym sercem do okienka, kiedy wywołał go kasjer.

– Chce pan grube czy drobne?

– Grube.

– Proszę tu podpisać.

Erdosain złożył podpis na odwrocie czeku. Myślał, że poproszą go o dowód osobisty, ale obojętny urzędnik w błyszczących zarękawkach odliczył dziesięć banknotów po tysiąc pesos, pięć po pięćset i resztę drobnymi. I chociaż Erdosain chciałby uciec ze strachu, starannie przeliczył pieniądze, włożył je do portfela, portfel wsunął do kieszeni spodni i ściskając go mocno wyszedł na ulicę.

W kłębach białych chmur załśnił jak wypolerowany metal rąbek błękitu. Erdosain czuł się szczęśliwy. Pomyślał, że w innym klimacie i pod niebem zawsze błękitnym, jak to, na które teraz patrzy, muszą istnieć niezwykle kobiety o wytwornych fryzurach i słodkich twarzach, z dużymi migdałowymi oczami ukrytymi w cieniu długich rzęs. I że wonne powietrze spływa tam nieustannie ku miastom piętrzącym się wśród ogrodów, toczy swe koliste wieże ponad rozwichrzonymi pióropusząmi parków i tarasów.

I ożywił się na wspomnienie kwadratowej twarzy Astrologa, w szoferskiej czapce i wąsami opadającymi nad kącikami ust; potem pomyślał, że w stowarzyszeniu mógłby dalej przeprowadzać swe elektrotechniczne doświadczenia, i tak kroczył nędznymi uliczkami nie zwracając uwagi na to, że jego obecność budzi złudne nadzieje mijających go z koszami pod pachą prasowaczek i zaciekawia krawcowe, wracające ze sklepu z ciężkimi tobołkami.

Odkryje Promień Śmierci, straszliwą fioletową błyskawicę, której miliony amperów będą topiły jak воск stal okrętów,

i wysadzi w powietrze betonowe miasta, jakby wzniesione były na górach trotylu.

Widział siebie w roli Pana Wszechświata. W stanowczych słowach wzywał na spotkanie Ambasadorów Wielkich Mocarstw. Znajdował się w ogromnym salonie o lustrzanych ścianach, którego środek zajmował okrągły stół. Wokół tonęli w fotelach wiekowi dyplomaci; łyse głowy, ołowiane twarze, twarde i ukradkowe spojrzenia. Niektórzy postukiwali piórami o szklany blat stołu, inni palili w milczeniu, a olbrzymi Murzyn w zielonej liberii stał nieruchomo przy czerwonych pluszowych kotarach osłaniających wejście. I to on! Erdosain, Augusto Remo Erdosain, były złodziej, były inkasent, podnosił się. Jego popiersie, opięte czarnym frakiem, z czterema palcami prawej dłoni wsuniętymi w kieszeń i plikiem papierów w lewej, odbijało się w kryształach blatu. Już stojąc potoczył lodowatym wzrokiem po kamiennych twarzach Ambasadorów. Był straszliwie blady i obezwładniał go rozkoszny chłód. Żyli w nim Bohaterowie wszystkich Epok. Ulisses, Demetriusz, Hannibal, Loyola, Mussolini przemykali przed jego oczyma niczym wielkie płonące kręgi i gubili się w otchłaniach opuszczonej ziemi, pośród niezemskiego blasku.

Jego słowa padały z krótkim brzękiem, jak mocne uderzenia stali. I omamiony teatralnością tego widowiska, poruszony i gniewny, przyglądał się sobie w jakimś urojonym zwierciadle.

Dyktował warunki.

Wszystkie państwa winny przekazać mu całą swą wojenną flotę, tysiące dział i stopy karabinów. Następnie z każdej rasy wybierze się paruset ludzi, odizoluje się ich na jakiejś wyspie, a reszta ludzkości będzie zniszczona. Promień Śmierci zburzy miasta, wyjąłowi pola, spopieli ludzi i drzewa. Na zawsze zginie pamięć o jakiegokolwiek nauce, sztuce i pięknie. Arystokracja cyników, opryszków, którzy dosyć mają cywilizacji i wszelkiego sceptycyzmu, weźmie władzę w swoje ręce, z nim jako przywódcą. A ponieważ człowiek, żeby być szczęśliwym, musi wesprzeć własne nadzieje jakimś metafizycznym kłamstwem, umocnią kler, przywrócą inkwizycję dla tropienia herezji, która chciałaby podkopywać podstawy dogmatu lub jedność wiary, będącej absolutną jednością ludzkiego szczęścia, a człowiek wrócony do stanu pierwotnego poświęci się, jak w czasach faraonów, pracy na roli. Kłamstwo metafizyczne

przywróci ludziom szczęście, które wiedza wyrwała z ich serc. Jego słowa spadały z krótkim i suchym brzękiem stali. I mówił Ambasadorom:

– Nasza stolica, miasto Królów, będzie cała z białego marmuru, a założymy ją nad brzegiem morza. Będzie miała średnicę siedmiu mil oraz różowe kopuły z miedzi, jeziora i lasy. Zamieszkają tu urzędowi święci, próżniaczy patriarchowie, oszukańczy magowie, fałszywi bogowie. Cała nauka będzie magią. Lekarze będą się tułali po drogach przebrani za aniołów, a kiedy ludzie za bardzo się rozmnożą, błyszczące, fruujące smoki rozrzucają w powietrzu, jako karę za ich zbrodnie, wibriony cholery azjatyckiej.

Człowiek będzie żył w epoce cudów i stanie się krezusem wiary. Nocą pokażemy wśród chmur, dzięki potężnym reflektorom, wstąpienie Sprawiedliwego do Nieba. Wyobrażacie to sobie, panowie? Nad górami pojawia się nagle zielonoliliowy promień, a chmury przemieniają się w ogrody, nad którymi płynie powietrze białe niby płaty śniegu. Anioł o różowych skrzydłach przemyka dróżkami, zatrzymuje się przed bramą Raju i z otwartymi ramionami przyjmuje Sprawiedliwego, człowieka z ludu, w naciągniętym na głowę kapeluszu, z długą brodą i kosturem. Rozumiecie to, wy, zawodowi szubrawcy, urodzeni cynicy? Rozumiecie? Anioł z różowymi skrzydłami przyjmuje człowieka, który na ziemi haruje i cierpi. Zdajecie sobie sprawę, jak genialny jest mój pomysł, jak wspaniały ten prosty cud? A tłumy padną na kolana przed Bogiem i tylko dla nas, smutnych opryszków, niebo nie będzie istniało, dla nas, mających władzę, naukę i znających bezużyteczną prawdę.

Drżał, kiedy to mówił.

– Będziemy jak bogowie. Obdarzymy ludzi wspaniałymi cudami, rozkoszami piękna, boskimi kłamstwami, tchniemy w nich wiarę w przyszłość tak niezwykłą, że wszystkie kapłańskie obietnice zbledną wobec realności tych baśniowych cudów. A wtedy będą szczęśliwi... Rozumiecie to, kretyni?

Zderzenie z przechodzącym posłańcem rzuciło Erdosaina o ścianę. Zatrzymał się wylękniony, ścisnął konwulsyjnie pieniądze w kieszeni i podniecony, dziko uradowany jak młody tygrys na swobodzie, w gąszczu murów splunął na ścianę jakiegoś domu mody i powiedział:

– To miasto będzie nasze!

Za nim szedł Major.

Mrugnięcie

W Temperley czekał na niego Astrolog. Dobrotliwy uśmiech rozjaśnił jego twarz. Erdosain prawie podbiegł do niego, a ten chwycił go w ramiona, przez chwilę patrzył mu w oczy, a potem mówiąc mu „ty”, czego nigdy dotychczas nie robił, zapytał:

– Jesteś zadowolony?

Erdosain zaczerwienił się. Jego świadomość przeniknęła w tej chwili podwójną tajemnicę. Ten człowiek nie kłamie; i poczuł się jego przyjacielem, oddanym mu tak bardzo, że gotów byłby rozmawiać z nim bez końca, opowiedzieć o najintymniejszych szczegółach swego nieszczęśliwego życia, ale zdołał tylko wyjąkać:

– Tak, jestem bardzo zadowolony.

Astrolog zatrzymał się jeszcze chwilę na peronie. Zwracał się do niego teraz jak zwykle, przez „pan”.

– Wie pan? Wielu z nas nosi w sobie duszę nadczłowieka. Nadczłowiek to woła w swym najpełniejszym wymiarze, to przewyżczanie wszystkich norm moralnych i dokonywanie najstraszliwszych aktów, rodzaj naiwnej radości... coś takiego jak niewinna, choć okrutna zabawa.

– Jasne, najlepiej byłoby obudzić w ludziach tę radosną i naiwną dzikość. Przypadło nam zapoczątkować erę Niewinnego Potwora. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że to wszystko nastąpi. To tylko kwestia czasu i odwagi, a kiedy zdadzą sobie sprawę, że dusze ich toną w tej cywilizacyjnej kloace, nim się ostatecznie pogrążą, będą musieli zawrócić z drogi. Rzecz w tym, że człowiek nie spostrzegł jeszcze, że chory jest na tchórzostwo i chrześcijaństwo.

– Jak to, nie chciał pan nawracać ludzkości na chrześcijaństwo?

– Nie, po jakie лихо?... ale jeśli ten plan zawiedzie, pójdziemy w innym kierunku. Jeszcze nie przyjęliśmy żadnych zasad, a najpraktyczniej będzie zebrać wszystkie przeciwne sobie idee. Jak w aptece, będziemy mieli kłamstwa doskonałe i różnorakie, na najwymyślniejsze niedomagania rozumu i duszy.

– Wie pan, przypomina mi pan tego szaleńca elektryka, o którym wspominał pan wczoraj Barsutowi.

– To, co nazywamy szaleństwem, jest tylko nieznaną myślą innych ludzi. Widzi pan, gdyby ten tragarz zwierzył się teraz ze wszystkich myśli, jakie mu chodzą po głowie, zamknąłby go pan w domu wariatów. Naturalnie takich jak my jest niewielu... najistotniejsze jest to, żebyśmy z naszych czynów czerpali siłę i energię. W tym cały ratunek.

– A Barsut?

– Nawet nie podejrzewa, co go czeka.

– A jak się go pan pozbędzie?

– Zadusi go Bromberg ... Nie wiem, to już mnie nie obchodzi.

W pełnym słońcu, obchodząc kałuże, ruszyli w kierunku willi. A Erdosain powtarzał w myślach:

„A nasza stolica, miasto Królów, będzie cała z białego marmuru i zbudujemy ją nad brzegiem morza ... będziemy jak bogowie” – i spojrzawszy błyszczącymi oczyma na swego towarzysza, powiedział: – Wie pan, że pewnego dnia będziemy jak bogowie?

– Tego właśnie te zwierzęta nie rozumieją. Zabili bogów. Ale nadejdzie dzień, kiedy będą biegać drogami wśród znaków na niebie i wołać: „Kochamy Boga, my chcemy Boga.” Co za dzicz! Nie rozumiem, jak mogli zabić Boga. Ale my go ożywimy ... wymyślimy pięknych bogów ... supercywilizowanych ... i dopiero wtedy życie będzie inne!

– A jeśli się nie uda?

– Nieważne ... przyjdzie ktoś inny ... znajdzie się ktoś, kto mnie zastąpi. Tak musi być. Jedyne, czego musimy pragnąć, to żeby nasza idea zakiełkowała w ludzkiej wyobraźni ... w dniu kiedy będzie już w duszach mas, zaczną się dziać piękne rzeczy.

Erdosaina zdumiał jego własny spokój.

Nie bał się już niczego i znowu przypomniał sobie salon z Ambasadorami, a jego dziki wzrok prześlizgiwał się po zmieszanych leciwych dyplomatach. Widział ich łyse głowy, ołowiane twarze, wychwytywał ich twarde i ukradkowe spojrzenia i nie mogąc powstrzymać się, zawołał:

– I po co tyle pieprzyć, żeby skrócić kark jakiemuś bydlakowi!

Tamten spojrział na niego zaskoczony:

– Jest pan zdenerwowany czy też wpada pan w gniew sam z siebie, jak słońce?

- Nie, mam już dość dawnych skrupułów.
- Tacy już są ci młodzi – odparł Astrolog. – Życie ich to jak życie kota między uchylonymi drzwiami.
- Będę przy egzekucji?
- Interesuje to pana?
- Bardzo.

Ale gdy tylko znaleźli się w ogrodzie przy willi Astrologa, nagle mdłości poruszyły trzewiami Erdosaina i wszystko podeszło mu do gardła. Ledwie mógł się utrzymać na nogach. Przedmioty, na które patrzył, spowijała mleczna zawiesina. Ręce ciążyły mu, jakby były z brązu. Szedł bez poczucia odległości; powietrze gęstniało, grunt falował mu pod nogami, chwiami pionowe drzewa załamywały się w jego oczach zygzakowato. Dyszał ciężko, język miał suchy i daremnie starał się zwilżyć nim spierzchnięte wargi i rozpalone usta; i tylko wstyd trzymał go na nogach.

Kiedy otworzył oczy, zstępował już razem z Brombergiem po schodkach do garażu.

Człowiek, który widział Akuszerkę, szedł jak oszołomiony, z potarganą czupryną. Był w spodniach luźno podtrzymywanych paskiem, a rąbek białej koszuli, niby róg chusteczki, wystawał mu z rozporka. Zastaniał usta chustką i ziewał straszliwie. Ale senne, zagubione spojrzenie zdawało się kłócić z jego prostackim zachowaniem. Oczy miał piękne, poważne i dzikie jak u jakiejś bestii, ocienione długimi rzęsami, w owalu delikatnej, dziewczęcej twarzy. Erdosain przyglądał mu się, ale tamten w swym wspaniałym odurzeniu jakby go nie zauważył. Potem spojrział nieprzytomnie na Astrologa, ten dał znak głową, otworzył zamek i weszli we trzech do stajni.

Barsut poderwał się jednym skokiem, chciał coś powiedzieć. Bromberg zatoczył łuk w powietrzu i w stajni dało się słyszeć uderzenie głów o deski. Słońce kładło się w kurzawie wydłużoną żółtą plamą. Od niekształtnej bryły dochodziły głuche pojękiwania. Erdosain z zaciekawieniem śledził tę okrutną walkę, aż nagle spodnie Bromberga, zgiętego nad Barsutem i przyciskającego wyprężonymi rękoma jego szyję do ziemi, zsunęły się z bioder, tak że stał teraz z odsłoniętymi białymi pośladkami i w koszuli do pasa. Głuche pojękiwania ustały. Przez chwilę panowała cisza, a morderca, na wpół nagi, nieporuszony, ścisnął coraz mocniej szyję nieboszczyka.

Erdosain przyglądał się tylko.

Astrolog czekał z zegarkiem w dłoni. Tak stali przez dwie minuty, które dla Erdosaina nie miały końca.

– Wystarczy, gotowe.

Bromberg, ogłupiały, z włosami przyklejonymi do czoła, odwrócił się i z błędnym wzrokiem, zaczerwieniony, podciągał spodnie i zapinał je w pośpiechu.

Zabójca wyszedł z garażu. Erdosain ruszył za nim, a Astrolog, jako ostatni, odwrócił się, żeby raz jeszcze obejrzeć uduszonego.

Ten leżał na ziemi z twarzą ku górze, z opadłą szczęką i językiem przywartym do kącika wykrzywionych warg, które odsłaniały zęby.

I w takich okolicznościach wydarzyło się coś niezwykłego, czego Erdosain nie zauważył. Astrolog przystanął u wejścia do garażu, zwrócił twarz w stronę martwego ciała, a wtedy Barsut uniół ręce na wysokość głowy, potarł szyję i spojrzawszy na Astrologa mrugnął do niego. * Ten dotknął tylko wskazującym palcem runda kapelusza i wyszedł. Przyłączył się do Erdosaina, który nie mogąc się pohamować krzyknął:

– I to wszystko?

Astrolog rzucił mu kpiące spojrzenie.

– A co, myślał pan, że będzie jak w teatrze?

– I jak się pan pozbędzie ciała?

– Rozpuszczę w kwasie azotowym. Mam trzy bańki. No a skoro mówimy o wszystkim po trochu: jak z tą miedzianą różą?

– Poszło wszystko jak najlepiej. Cała rodzina Espilów cieszy się ogromnie. Właśnie wczoraj wieczorem widziałem bardzo ładną próbkę.

– Dobrze, teraz zjemy obiad... nieźle na to zapracowaliśmy. Kiedy jednak mieli wejść do jadalni, Astrolog zapytał:

– Jak to ... nie umyjemy rąk?

Erdosain spojrzał na niego zdziwiony i odruchowo podniósł ręce na wysokość klap marynarki, aby się im przyjrzeć. W milczeniu ruszyli do łazienki, zdjęli marynarki i odkręcili krany. Erdosain wziął kawałek mydła i zakasawszy rękawy koszuli mył się starannie. Wsunął ręce pod strumień zimnej wody, a potem mocno wycierał ręcznikiem. Przed opuszcze-

* Uwaga komentatora: Decyzję o upozorowaniu zabójstwa Barsuta Astrolog podjął w ostatniej chwili i po długiej z nim rozmowie.

niem łazienki Astrolog znowu zachował się dziwnie.

Wrzucił ręcznik do wanny, wziął butelkę z denaturatem i wylał na ręcznik całą jej zawartość, potem cisnął płonąca zapalkę i przez minutę dwie twarze w ciemnym pomieszczeniu oświetlone były sinymi płomieniami pożerającymi tkaninę. Wkrótce pozostała tylko czarna kupka popiołu; Astrolog odkręcił kurek, strumień wody porwał spopielone resztki i wtedy przeszli do jadalni.

Twarz Erdosaina wykrzywił ironiczny uśmiech.

– A więc postąpił pan jak Piłat, co?

– Ma pan rację, i to nieświadomie.

W ciemnej jadalni lekko uniesione żaluzje pozwalały widzieć ogród. Delikatne łądyżki wiciokrzewu pięły się do okien. Przezroczyście owady uwijały się w powietrzu koło drzewka cytrynowego, a białe ściany odbijały matowo na jasnej, wypastowanej podłodze. Frędzle obrusa opadały wzdłuż kanciastych nóg stołu. W glinianym wazoniku bukiet goździków wydzielał ostrą woń, a platerowe sztuce błyszcząły na lnianym i fajansowym; cienie wiły się spiralnie na szklanej wypukłości kieliszków lub też padały trójkątnymi smugami na talerze. W owalnym półmisku były langusty w majonezie.

Astrolog nalał wina. Jedli w milczeniu. Potem Astrolog przyniósł złocisty rosół z żółtkiem, tacę ze szparagami w oliwie, sałatkę z karczochów i wreszcie rybę. Na deser był krem z cynamonem i owocami.

Następnie podał kawę, a Erdosain oddał mu pieniądze, Astrolog przeliczył je.

– Tutaj ma pan trzy tysiące pięćset. Niech pan sprawi sobie parę garniturów. Jest pan porządnym chłopcem, więc trzeba się ubierać przyzwoicie.

– Bardzo dziękuję ... ale wie pan ... jestem taki śpiący, że lecę z nóg. Muszę się trochę zdrzemnąć. Mógłby pan mnie obudzić o piątej?

– Oczywiście, proszę pana za mną – i Astrolog zaprowadził go do sypialni.

Erdosain zdjął buty i zmęczony rzucił marynarkę na oparcie metalowego łóżka.

Powieki paliły go straszliwie, pierś oblał gęsty pot ... i już nie myślał o niczym. Zbudził się o zmroku na dźwięk podnoszonych przez Astrologa żaluzji. Odwrócił się wystraszony, a tamten powiedział:

– No nareszcie! Śpi pan już dwadzieścia osiem godzin – i jakby widząc jego nieufność, podał mu najnowszą gazetę: rzeczywiście, minęły dwa dni.

Erdosain wyskoczył z łóżka myśląc o Hipolicie.

– Muszę już iść.

– Spał pan jak zabity. Nie widziałem nigdy, żeby ktoś tak spał, był tak bardzo zmęczony, że zapomniał nawet o naturalnych potrzebach ... ale à propos, skąd pan wytrzasnął tę historię o samobójcy w kawiarni? Przeglądałem wczorajsze i dzisiejsze gazety. W żadnej nie ma o tym nawet wzmianki. Musiało się to panu przyśnić.

– A jednak mogę panu pokazać tę kawiarnię.

– No to przyśniło się panu w kawiarni.

– Może ... nieważne ... no a to?

– Gotowe.

– Wszystko?

– Wszystko.

– A kwas?

– Wylejemy do ścieku.

– A zatem już? ...

– Tak jakby nigdy nie istniał.

Na pożegnanie Astrolog powiedział:

– Proszę przyjść w środę o piątej. Mamy wieczorem zebranie. Niech pan nie zapomni kupić sobie jakiegoś gotowego garnituru, zanim pan coś obstaluje. Radzę przyjść, bo będzie Poszukiwacz Złota, Alfons i reszta. Porozmawiamy, no i niech pan nie zapomina, że bardzo interesuje mnie ta sprawa gazów duszących. Niech pan przygotuje projekt jakiejś niewielkiej fabryki chloru i fosgenu. Aha, czy mógłby się pan dowiedzieć, co to za diabelstwo ten gaz musztardowy? Niszczy każdą substancję, której nie chroni nieprzepuszczalna warstewka oliwy.

– Fosgen to tlenochlorek węgla.

– Niech pan nie marnuje czasu, Erdosainie. Mała fabryczka. Mogłaby służyć za szkołę rewolucyjnej chemii. Trzeba pamiętać, że całą naszą działalność można by podzielić na trzy działy. Poszukiwacz Złota będzie odpowiedzialny za wszystko, co jest związane z kolonią, pan za przemysł, a Haffner za domy publiczne. Teraz, kiedy mamy pieniądze, nie wolno tracić czasu. Musi pan wziąć się do roboty. Co pan na to, żebyśmy zbudowali w Argentynie fabrykę, która będzie tym,

czym Krupp w Niemczech? Trzeba wierzyć w siebie. Możemy sprawić jeszcze niejedną niespodziankę. Jesteśmy odkrywcami, którzy tylko trzymając się razem wiedzą, do czego dążą. A i to, kto wie!...

Erdosain wpatrywał się przez sekundę w jego kwadratową twarz, potem uśmiechnął się drwiąco i powiedział:

– Wygląda pan jak prawdziwy wódz rewolucji.

I wyszedł, nim Astrolog zdążył coś odpowiedzieć.

Od tłumacza

Przed kilkoma laty na ulicach Buenos Aires, na chodnikach i ścianach domów pojawiło się nagle słowo SILO. Pisane kredą lub węglem, niestarannie, w pośpiechu. Myślałem, że to jakaś firma rozpoczęła w ten dziwny sposób kampanię reklamową przed rzuceniem na rynek nowego produktu, dopóki któregoś wieczoru nie ujrzałem w telewizji twarzy zasępionego mężczyzny w otoczeniu profesjonalnie uśmiechniętych dziennikarzy. Był to Silo. Opowiadał o swoim samotnym pobycie w Andach i długiej wędrówce przez Patagonię. Ostrzegał i prorokował. Przyszłość Ameryki Łacińskiej rozstrzygnie się w jednym z krajów na południowym cyplu kontynentu, mówił na długo przed wydarzeniami w Chile i Argentynie. Z fanatyczną – lub doskonale udawaną – wiarą we własne słowa przepowiadał burzę i podsuwał sposób zaradzenia złu: należy odwołać się do wartości elementarnych, odwrócić od miasta i na nowo odkryć naturę. Pamiętam, jak z jego ust padło określenie „metafizyka władzy” i jak któryś z głupawo uśmiechniętych dziennikarzy napomknął o biblijnym Ezechielu, inny zaś o szarlatanerii. Wydało mi się, że znowu słyszę Astrologa.

Silo był mężczyzną w średnim wieku, o pociągłej twarzy i ciemnych, niespokojnie błyszczących oczach. Był zapewne wnukiem włoskich lub hiszpańskich imigrantów, jak większość dzisiejszych mieszkańców Buenos Aires, którzy teraz chwyтали się jego słów, jakby szukali w nich czegoś więcej niż tylko wyjaśnienia zawiłości polityki. Może pocieszenia?

Argentyna lat dwudziestych (kiedy ukazały się pierwsze książki Arlta) w niczym nie przypominała dziewiętnastowiecznej: ten kraj gauczów i bezludnej pampy wchłonął w końcu ubiegłego stulecia olbrzymie rzesze imigrantów. Pracowity Europejczyk miał – jak wierzyli teoretycy argentyńskiego liberalizmu – zastąpić leniwego gaucza. Stało się jednak inaczej. Nieufni Kalabryjczycy i Galisyjczycy woleli osiąść w Buenos Aires, niż uprawiać rolę w głębi pampy, z dala od miasta. Stolica zaczęła się monstrualnie rozrastać, a jej mieszkańcy w coraz większym stopniu ważyć na życiu całego kraju. Mniej więcej od roku 1916 dzieje Argentyny stają się historią warstw średnich; dawna oligarchia obszarnicza trwa jakby w odrętwieniu. Jej niechęć do gaucza – symbolizującego zacofanie – zaczyna z wolna przemieniać się w nienawiść do cudzoziemców, którzy tracą nagle pewność siebie i swój dawny, dorobkiewiczowski entuzjazm. Najbardziej widocznym przejawem tej dziwnej społeczno-politycznej sytuacji staje się w literaturze argentyńskiej lat dwudziestych działalność głośnych grup Florida i Boedo. Pierwszą, która swą kwiecistą nazwę weźmie od wytwornej śródmiejskiej ulicy Buenos Aires, tworzą pisarze estetyzujący, zlaknieni nowinek formalnych, powiązani z klasą, która tradycyjnie sprawowała w kraju władzę. Boedo jest natomiast symbolem przedmieścia i wartości nowych, ludowych. Ten narzucony przez krytyków i – jak wszystkie dychotomie – bardzo uproszczony podział nie daje oczywiście pełnego obrazu literatury tamtych lat i stąd wszelkie wiązanie Arlta (Argentyńczyka w pierwszym pokoleniu) tylko z grupą Boedo może być mylące, choć słuszne wydaje mi się twierdzenie, że jest to wyraziciel niepokoju i zagubienia warstw średnich.

Rodzice Arlta przyjechali do Argentyny z Europy. Ojciec, Karl, był Niemcem, matka pochodziła z Triestu. Żyli w Buenos Aires skromnie i niezbyt zgodnie. Roberto, któremu dano także na chrzcie imiona Godofredo Christophersen, urodził się w roku 1900. („Urodzić się w Argentynie w 1900 roku to jakby urodzić się za granicą” – pisał Gonzalez Lanuza.) Przysłuchiwał się nieustannym kłótniom rodziców, ale niewiele zapamiętał z ich swarliwej niemczyzny. Pozostała mu tylko z tego okresu – jak powiadają złośliwi krytycy – niechęć do gramatyki hiszpańskiej, spotęgowana późniejszymi niepowodzeniami w szkole. Ulica była dla niego domem, a dom

więzieniem. Szkoła stała się jakby przedłużeniem domu i dlatego przerwał naukę po trzeciej klasie, co pozwala dziś krytykom zastanawiać się, w jaki sposób ten półanalfabeta mógł napisać tyle ciekawych książek. Po wielu perypetiach – praca w porcie, cegielni, na budowie – zawarł dziwną przyjaźń z Ricardo Güiraldesem (patronującym skądinąd snobistycznej młodzieży literackiej z grupy Florida) i zaczął pisać. Miał dwadzieścia lat, kiedy wydał swą pierwszą powieść *Diario de un morfinómano* (*Dziennik morfinisty*). W 1924 r. ukończył drugą: nosiła tytuł *El juguete rabioso* (*Wściekła zabawka*) i opowiadała o młodym złodzieju, który zdradził swego kompana. Dramatyczną wymowę całości popsuł tu jednak *happy end*, końcowa ekspiacja przestępcy. Są już w tej książce wszystkie elementy typowe dla pisarstwa Arlta: zdrada i poniżenie, *acte gratuit* i życiowa niedojrzałość bohaterów, młodych bez względu na ich rzeczywisty wiek.

Sam autor ma dwadzieścia kilka lat, dwie wydane powieści i od dawna jest żonaty z chorowitą dziewczyną, o której mówi przyjaciółom: „Jest w naszej rodzinie niczym kwoka wśród orlików.” Arlt nie był Don Juanem, ale trudno go uznać za człowieka statecznego: po wielu miłosnych przygodach rozpoczął starania o rozwód, a kiedy żona niespodzianie umarła, szybko ożenił się po raz drugi. Prowadził życie niespokojne. W 1929 roku, kiedy ukazała się jego najgłośniejsza powieść *Siedmiu szaleńców* (argentyńskie *Biesy*, jak słusznie zauważają krytycy), miał już stałą posadę w redakcji „El Mundo”, a mimo to borykał się ciągle z kłopotami materialnymi.

Pieniądz stanowi zresztą jakby jądro tematyczne prozy Arlta. Jego bohaterowie zagubieni w ubogiej codzienności szukają rozwiązań magicznych, uciekają w świat fantazji, niekiedy – jak w przypadku rewolucyjnego stowarzyszenia Astrologa – rojeń politycznych. Argentyński pisarz D. Viñas, czołowy przedstawiciel generacji 1955, utrzymuje, że jest to dramat całego argentyńskiego mieszczaństwa, które jedyną możliwość wyrwania się z własnego świata widzi w nieustannym bogaceniu się, dorabianiu się: pieniądz jako środek i cel. Także jako bohater powieści. To rozdarcie między nędzną rzeczywistością a pragnieniami jest tak silne, że znajduje odbicie nawet w języku Arlta: z jednej strony używa on słów i zwrotów, które uważa za wytworne i wyszukane, z drugiej

gwary złodziejskiej *lunfardo*, języka buenosaireńskich peryferii. Krytycy mają za złe Arltowi tę językową niezborną (w większości przypadków nieprzetłumaczalną), oburzają się, że lekceważy hiszpańską składnię i używa słów knajackich często w znaczeniu innym, niż to podają specjalistyczne słowniki. Arlt odpowiada ironicznie: „Istotnie, nie miałem nigdy czasu nauczyć się złodziejskiego żargonu, bo wałęsałem się po spelunkach.” Nie były to czcze przechwałki. Buenos Aires lat dwudziestych to miasto kabaretów i teatrzyków porno, to jedno ze światowych centrów handlu żywym towarem, zmonopolizowane przez mafię Zwy Migdala, argentyńskiego Al Capone. W *Siedmiu szaleńcach* znajdziemy obraz tego fantasmagoryczno-gangsterskiego Buenos Aires, choć błędem byłoby sądzić, że jest to tylko powieść o ludziach marginesu. Myślę również, że mylą się ci, dla których jej głównym bohaterem jest jedynie Erdosain. Bohaterów jest tu co najmniej trzech: Erdosain, Astrolog i – jak już powiedziałem – pieniądz, ten ostatni w ścisłym związku z polityką. Astrolog chce założyć w Argentynie tajne stowarzyszenie. Funduszy dostarczą domy publiczne. Stowarzyszenie będzie miało własną akademię kształcąca przyszłych rewolucjonistów. Jakimś metafizycznym kłamstwem („Jeśli Boga nie ma, zachowajmy to w tajemnicy” – powiada Astrolog) otumani się ludzi znużonych codziennością, spragnionych zmiany... Polityczne fantazje Astrologa są czymś więcej niż rojeniem szaleńca; historia urzeczywistnia je raz po raz i dlatego Astrolog kojarzy mi się nie tylko z osobą „nawiedzonego” Sila, spowinowaconego z doktorem Mabuse, lecz również z obrotnym Guru Maharashi, z Koreańczykiem Sun Myang Moonem, głową niezwykle wpływowego w USA Kościoła Zjednoczenia, wreszcie z Moisesem Davidem (prawdziwe nazwisko David Berg), założycielem sekty Dzieci Bożych, podejrzanym, tak jest, o kierowanie międzynarodowym gangiem handlarzy sprzedających dzieci bezdzietnym rodzinom, głównie w USA.

Twórczość Arlta poróżniła krytyków. H.A. Murena uważa go za artystę-męczennika; wystarczy spojrzeć na tę cierpiącą, pooraną bruzdami twarz – pisze – aby zrozumieć, że to człowiek niezwykle. José Bianco, choć naśmiewa się z podobnych sądów, mimowolnie powiększa cierpiętniczą sławę Arlta, kiedy powiada, że wolał on być dobrym prorokiem niż dobrym pisarzem. Nie wszystkie jednak zarzuty krytyków są

bezpodstawne. Mają oni rację, gdy wypominają Arltowi, że swym niespokojnym bohaterom kazał popełniać zbrodnie z pobudek, powiedzmy sobie, metafizycznych, zamiast przyznać, że kierowały nimi w istocie niskie uczucia: chęć zemsty, gniew, zawiść. Egzystencjalny niepokój pozwala człowiekowi lepiej zrozumieć siebie; tymczasem lęki bohaterów Arlta przeradzają się tylko w słowa i bezzasadne okrucieństwa. Staje się to szczególnie widoczne w powieści *Los lanzallamas* (*Miotacze ognia*, 1931, pierwotny tytuł *Los monstruos – Potwory*), będącej niejako epilogiem *Siedmiu szaleńców*. Dowiadujemy się więc, że Haffnera zastrzelił jakiś mściwy sutener, Barsut zabił Bromberga, Astrolog uciekł z Kuternogą, która sprzedała aptekę szalonego Erguety, Erdosain zabił zezowatą Marię i zastrzelił się w pociągu. Nad jego ciałem pochylił się jakiś staruch, splunął i rzekł: „Anarchista, skurwysyn. Tyle odwagi na nic.”

Śmierć jako najpełniejsza odpowiedź na wszystkie niepokoje. Być może słusznie powiada się również, że Arlt nie ugiął swej wobraźni przed rzeczywistością, że wołał zamawiać, zaklinać rzeczywistość słowami niż starać się ją zrozumieć, ale kto wie, czy właśnie nie dzięki temu jego powieść żyje wciąż własnym urojonym życiem. Kiedy w Buenos Aires zorganizowano w 1955 roku – po obaleniu Peróna – spotkanie młodych pisarzy, mówiło się tam prawie wyłącznie o Arlcie. Pokolenie debiutujące w połowie lat pięćdziesiątych, zwane generacją ojcobójców, obrało go nieomal za swego duchowego patrona. Fantasmagorie Arlta odnajduję również u E. Sábato (*Raport o ślepcach* w powieści *O bohaterach i grobach*) i u Cortazara (*Gra w klasy*), w twórczości Manuela Puiga i najmłodszych argentyńskich pisarzy.

Literatura nie jest zabawą niewinną: Arlt stał się dziś dla nas głównym bohaterem swych książek. Nie dziwi to mnie, bo wiem, że jak Erdosain z *Siedmiu szaleńców* był autorem najdziwniejszych pomysłów, a za jeden z nich (pończochy nasączone w miejscach najbardziej narażonych na uszkodzenie roztworem gumy) otrzymał nawet patent. Jak Erdosain marzył o dalekich podróżach, a nawet – jak Astrolog – nosił się w młodości z zamiarem zorganizowania „Stowarzyszenia ludzi zagubionych w życiu”. Żadnego z tych pomysłów i marzeń, poza krótką podróżą do Hiszpanii w 1935 roku, nie udało mu się wprowadzić w życie. Zmarł na atak serca

w 1942 r., ale historia – powtórzmy to – próbuje raz po raz urzeczywistnić szaleńcze plany jednej z najbardziej złowieszczych postaci, jakie naszkicował, Astrologa, który od blisko pięćdziesięciu lat uśmiecha się do nas cynicznie i jakby triumfująco...

listopad 1977

Rajmund Kalicki

Spis rzeczy

Rozdział pierwszy	5
Zaskoczenie	7
Stany świadomości	9
Uliczne lęki	12
Dziwny człowiek	14
Nienawiść	19
Sny wynalazcy	24
Astrolog	27
Opinie Smutnego Alfonsa	36
Poniżony	44
Po omacku	55
Policzek	59
„Być” przez zbrodnię	68
Propozycja	71
Na drzewie	80
Rozdział drugi	85
Bezład	87
Naiwność i głupota	90
Czarny dom	93
Zawiadomienie	96
Przygnębianie	99
Porwanie	103
Rozdział trzeci	107
Batog	109
Przemowa Astrologa	116
Farsa	130
Poszukiwacz Złota	142

Kuternoga	147
W melinie	155
Rodzina Espilów	168
Dwie dusze	175
Życie wewnętrzne	189
Zbrodnia	192
Podświadomość	197
Objawienie	208
Samobójca	214
Mrugnięcie	223
Od tłumacza	230

Współczesna Proza Światowa

Tytuły roku 1978

Roberto Arlt – Siedmiu szaleńców
Albert Paris Gütersloh – Baśń o przyjaźni
Joseph Heller – Paragraf 22
Akos Kertész – Makra, czyli Cena przegranej
Jaan Kross – Między trzema atakami dżumy
Menyhért Lakatos – Krajobraz widziany przez dym
Juan Marsé – Jeśli powiedzą ci, że padłem
Ota Pavel – Śmierć pięknych saren
Ramón José Sender – Z życia Ignacia Morel
Gerti Tetzner – Karen W.
John Updike – Muzeum kobiet
Mario Vargas Llosa – Pantaleon i wizytantki
Richard Wright – Syn swego kraju
Kateb Yacine – Nedźma